

BARBARA ROSIEK

BYŁAM SCHIZOFRENICZKĄ

Tarczyjuszowi Zębikowi

Jutro...

Być sobą to być mgnieniem

na firmamencie snu,

spojrzeniem w ból.

Być z tobą to być pytaniem,

zagadką i wiarą,

odpowiedzią bez słów.

T.K.

7.06.90

WSTĘP

Pewnego dnia przysła pustka umysłu. Lewitowałam. Ale uczucia kierowały mnie słuszną drogą.

Wybawieniem będzie śmierć.

Maria rodziła każdej nocy po 30 dzieci i rano była zdumiona, że ich nie ma. Maria tworzyła afirmacje. Już nie miała dystansu do tego, by rozróżnić prawdę od choroby.

Szatan zapładniał mnie czasami, ale wywoływałam sztuczne poronienie bez żadnego poczucia winy.

Kto zawinił?

Marysia chciała wszystkich pozabijać. Ile przeciągłego wycia wydobywała z krtani. Czasu nie odczuwała. Tylko ja potrafiłam skłonić ją do uśmiechu.

Obie byłyśmy wybrane.

Dominował Duch Święty. Dlatego Maria nikogo skrzywdziła.

Przez oddział przewijali się alkoholicy i ćpuny. Nazywali nas *czubkami*. Myśmy chociaż miały jakieś szanse na życie, ich topił szatan. Kradzieże, prostytutka, napady, codzienny „*strzał w kanał*”.

Nie żałowałam ich, wiedziałam, że i tak umrą wcześniej niż każdy z nas.

Mam 40 lat. Nadal nie wiem co jeszcze może się przytrafić w moim życiu, ale już jestem gotowa na śmierć.

Schizofrenicy to wybrańcy Boga, mogą uczynić wszystko, ale za szybko się wyczerpują.

Tyle dróg przeszłam w życiu, że nie mogę zdecydować się, ku jakiej śmierci dążę.

Pozostało wyczekiwanie. Nie wiem na co. Może to zagadka całego losu człowieka. Mogłam szukać lub poddać się chorobie i łykać prochy dla odwrócenia stanu rzeczy. Nie chciałam. Byłam obca dla zwykłych ludzi, dopiero pobyty w szpitalach psychiatrycznych ukazywały mi drogę.

Milczałam.

Chyba chciałam żyć. Tylko w szpitalu opowiadałam o szatanie i wierzyłam, że mogę go pokochać.

Po ostatniej próbie samobójczej, pokonałam Ogoniastego. Udręka poza rajem. Marzenia wyczerpywały się.

Czekałam na miłość.

Tę, która nie niszczy twórczego nieszczęścia. Jedynie mnie akceptuje.

Byłam spragniona miłości.

To nieprawda, że schizo nie potrafią kochać. Byli przerażająco wygłodzeni wszelkich uczuć, których nie potrafił im ofiarować żaden zwykły człowiek.

Wybrańcy Boga żyją tak krótko.

Tyle razy umierałam, szukając nieba. Ale to były tylko majaki po zagubionej duszy.

Lubiłam tylko pisać. To „coś” tkwiło we mnie od procesu dojrzewania. I pozostało na dłuższą metę. Cienie przeszłości, cichy lęk, że w końcu odkryją moją drugą naturę.

Nikt nie wierzył w moją chorobę, tylko pacjenci w szpitalu, chociaż i ich zaskakiwałam.

Schizofrenik ma swoistą intuicję.

Bóg go wybrał, by głosił prawdę. Ale oprócz psychiatrów nikt nie chciał tego wysłuchać.

Zapisywałam wszystko. Było to odebrane jako kolejny symptom choroby.

A ja wiedziałam co robię. Przygotowałam się do pisania książki, by świadczyć prawdę daną od Boga.

Dochodziły do mnie różne głosy, że to ja mam rację, ale to było bezsensowne.

A przecież kochałam, tak mocno, że byłam gotowa umrzeć dla idei.

Nawet psychiatra miał wątpliwości jak potrafiłam ukryć swój obłąd. Opowiadałam mu o lęku, halucynacjach, próbach samobójczych – ileż to razy wieszalałam się u niego w szpitalu.

Kończyło się zawsze śmiercią kliniczną. Odratowywano mnie.

Byłam wybrana.

Nie dało się jedynie zwieść Ogoniastego. Czyhał na każdą okazję i kusił, bym odeszła do piekła.

Nie byłam winna.

Byłam jedynie posłańcem, pomiędzy wszystkimi schizofrenikami, telepatycznie odczuwałam myśli.

Nagrywano nas.

Niekiedy to była jedynie pustynia uczuć, innym razem walka z pożądaniem. Nic więcej nie dało się wyczuć.

Nosiłam w sobie wizję zagłady świata. Tak zostałam obdarowana od Boga. Lecz nie słuchano mnie i każdy żył w grzechu. Nie udało mi się przekonać żadnego człowieka.

Milczałam.

Mogłam jedynie pisać dla nielicznych braci i siostr, których spotykałam jak Chrystus na swojej drodze.

Było nas wielu skazanych na zagładę.

Czekałam na słowo.

Byłam oczarowana wizjami innych Maryi, Jezusa, Boga, szatana. To był nasz czas. Mogli nas jedynie spacyfikować lekami, ale myśmy i tak wracali z nową duszą wypełnioną całym

Wszechświatem.

Ale nikt nie mógł nam odebrać marzeń, rozmów z głosami, zadzierzgnięcia pętli.

Powstrzymanie świata od zagłady zależało tylko od nas. Czasami uśmiech i przytulenie przez doktora prowadziło do wiary, że może jeszcze nie wszystko stracone. Czasami była to modlitwa.

Jednak był czas rozczarowań, żalu, utraty wiary. Przechodziłam przez to wszystko. Wtedy szatan od razu kusił do samobójstwa albo fizycznego zbliżenia z nim. Miałam orgazm.

Zagłady świata się nie bałam. Kres wszystkiego podniecał mnie. Być ostatnim pokoleniem na naszym globie. Nie przeczuwałam jedynie obrazu zagłady i śmierci wszystkiego. Ale nie marnowałam czasu, pisałam wiersze, byłam poetką wyznającą miłość do swego psychiatry.

Ktoś nasrał w umywalce.

Pobyt w szpitalu miał dziwne i zaskakujące stany. Sama często tego doświadczałam, trulałam się prochami, płukano mi żołądek, by bez obaw przespać się pod kroplówkami.

Spotykałam te same twarze, znajomych, powracali niemal wszyscy. Było rodzinie.

Głód miłości opisywałam w wierszach. Było to jak samowyzwolenie. Chyba już nic nie umiałam robić. Czekałam na dotyk, uśmiech, troskę, przytulenie.

Chemia była tylko dodatkiem do całości choroby, kiedy inaczej nie dało się uspokoić choroby i wiekuistego lęku.

Szatana też nie udało się wygonić. Miałam przynajmniej z kimś pogadać.

Chciałam umrzeć.

Jednak Bóg miał inne zamiary wobec mnie. Miałam jakąś misję do spełnienia, tu, na Ziemi, i czekałam kiedy się odezwie. Przyszedł do mnie i zabronił odchodzić bez Jego woli.

Wszystko miało swoje znaczenie. Nawet cierpienie kiedy inni cierpiący pytali – *dla czego ja*. Nie potrafili odczytać sensu swego cierpienia. Mnie też nie rozumieli, a więc w końcu

zamilkłam.

Była niczyja.

ROZDZIAŁ I

To zdarzyło się naprawdę. Ból, który porusza swe jądro do granic wytrzymałości, otwiera się, rozplywa, demaskuje prawdziwe oblicze.

Żyłam w nieświadomości przez 32 lata mego istnienia i dane mi było ponownie narodzić się, ujrzeć prawdę o sobie i mojej rodzinie. Tak niewiele pamiętam z mego życia, wszystko było zamazane chorobliwym oglądaniem rzeczywistości, obroną przed ostateczną utratą siebie, dlatego cały obraz był zafalszowany i taką mnie znali różni ludzie, nie przeczuwając prawdziwej tragedii, która się we mnie rozgrywała. Na szczęście prowadziłam dziennik, który dopiero po przebudzeniu potrafiłam odczytać. Nie wiedziałam, co zapisuję, realność zlewała się z fantazjami, rojeniami, halucynacjami, które były tak namacalne, że stały się w końcu jedynym rzeczywistym światem, w którym potrafiłam się poruszać. Powoli moja świadomość otwierała się jak skorupa zbyt twardego orzecha, pękała, ukazywała fragmenty wnętrza, z początku rozsypane i niepewne, po to, by stać się całością.

Przez cztery miesiące analizy udało mi się dojść do przyczyn i skutków wszelkich zdarzeń.

Udało mi się to dopiero, kiedy ostatecznie uderzyłam w siebie, zaplanowałam podświadomie misternie swoje odejście stąd, nie wiedząc, co robię i dlaczego tak postępuję.

Nie potrafiłam zwrócić się wtedy o pomoc do kogokolwiek, tak doskonale nie rozumiałam siebie. Nie mogłam nikomu opowiedzieć o swoich problemach, bo nie wiedziałam, jakimi one są. Gdzieś tam na poboczach świadomości wyczuwałam, że się topię, ale to nie wystarczało, by dokonać zmiany. I prawie by mi się udało umrzeć w całkowitej nieświadomości.

Przeżyłam niemożliwe, wbrew wszelkim prawom medycyny, wbrew logice i siłom zwykłego człowieka. Dlatego nie mogę pozostawić swej prawdy tylko dla siebie. Jest ona dowodem, że można wyjść ze spraw nawet prawie beznadziejnych, kiedy inni sądzą, że nie ma ratunku i są przekonani, że już nic nie da się uczynić.

A wszystko zaczęło się zmieniać, kiedy pokonana przez los i własne życie nie wierzyłam w nic, jedynie w śmierć. I ona miała być ostatnim wyzwoleniem, wybawieniem z udreki, której nie byłam już w stanie unieść.

20 października 1990 roku zapisałam w swoim dzienniku:

Miałam wczoraj piękny sen w narkozie. Ostatni moment świadomości to błękit nieba.

Czy jestem po tym wszystkim płodna? Jakie to ma znaczenie? Sądzę, że już minimalne lub

żadne.

Odpływanie w niebyt. Taka chyba jest śmierć, Tadeuszu. Sen, wieczny sen, lecz już bez snów.

Usiłuję do Ciebie napisać list. I nie mogę się na to zdobyć. Na co jeszcze mogę się zdobyć?

Na śmierć, to pewne, to najłatwiejsze. Straciłam wielu ludzi, którzy byli wokół mnie. Jest Anka, cudowna dziewczyna, kocham ją bardzo, idzie w rozwój jak burza, dobra, wiosenna i ożywcza, a u mnie częściej gradobicie, zniszczenie, pustoszenie somy, może nowy duch się wyzwoli.

Nie boję się. To naprawdę nic strasznego, taki ciepły sen. Najgorsze to, co przedtem, czasami za dużo bólu, za dużo zgrozy. Wiesz, już nie będę matką, lecz czy teraz tego pragnę?

Kiedyś były takie momenty tęsknoty, spychane gdzieś w otchłań, w absurd. Nie starczyłoby mi sił, tych zwykłych, fizycznych, które na początku są tak decydujące.

Granice ciemności. Osamotnienia, opuszczenia. Prawie na granicy samobójstwa. Czy ciągle chorowanie nie jest samobójstwem?

Kilka minut później otrulałam się, nie zdając sobie sprawy z tego, co napisałam, nie przeczuwając, że jest to list pożegnalny. Uczyniłam to będąc pacjentką oddziału ginekologicznego, gdzie leczyłam się na przewlekłe zapalenie jajników. Kiedy zasłabłam leżąc w łóżku, podjęto akcję ratowania mnie. Przez 19 dni walczono o przywrócenie mi życia. Nie pamiętam niczego, jedynie z relacji rodziny udało mi się zebrać informacje, co się wtedy wydarzyło.

I chociaż pozornie momentami odzyskiwałam przytomność, byłam cały czas nieświadoma.

Dzień wcześniej podano mi narkozę, by przeprowadzić punkcję jajnika, podejrzewano ciążę pozamaciczną. Długo nie mogłam się z niej wybudzić, już nie chciałam powracać. Następnego dnia wzięłam śmiertelną dawkę barbituranów i leku nasercowego mającego zatrzymać moje serce. Wierzyłam w to, tak sądzę, i położyłam się do łóżka.

Jednak nikt do końca tak naprawdę nie chce umierać. W ostatnim przeblasku świadomości, że nadchodzi kres tak oczekiwany i wytęskniony, zawołałam, że mi słabo i zwróciłam na siebie uwagę. Co mnie zatrzymało na chwilę, by podświadomie zawołać o pomoc, jaka to siła przeciwstawiła się tej destrukcyjnej?

Rozpoczęła się akcja ratowania mnie, która trwała 19 dni, kiedy nieświadomie walczyłam z ludźmi, którzy nieśli mi pomoc, by im się to nie udało. Nie chciałam wracać, wybrałam wtedy inną drogę, nie chciałam być przywrócona życiu, nie miałam po co się obudzić, zostałam sama jak w pustym teatrze i nie było przed kim odgrywać ról. Wszystko się dla mnie skończyło.

A jednak moja walka okazała się nieskuteczna. Były we mnie dwie moce, które rozpoczęły swój wewnętrzny dialog, które niczym dwa żywioły pochłaniały mnie od środka po to, by wygrać coś, czego nie pojmowałam.

Na drugi dzień pojawiły się napady padaczkowe z powodu zatrucia barbituranami, których nie można było opanować. Czasami rozmawiałam, czasami popadałam w stan nieprzytomności.

Lekarze czekali, aż mój stan zacznie się poprawiać, jednak stale następowało pogorszenie.

Byłam leczona na oddziale neurologii, gdzie pracowałam cztery lata jako psycholog. Od razu na mój temat zaczęły krążyć plotki, przypomniano sobie książkę, którą napisałam, „*Pamiętnik narkomanki*”, i zostałam „oskarżona” o branie narkotyków, tak jakby cztery lata uczciwej pracy w ogóle się nie liczyły, jakbym trafiła tutaj prosto z ulicy. Na szczęście nie wszyscy byli przeciwko mnie, koleżanka broniła mnie przed moim szefem, nie zgadzała się na negatywną opinią.

Napady padaczkowe nasilały się, mój stan stale się pogarszał. W trzeciej dobie wypadłam z łóżka, miałam pęknięte śródstopie i mocno potłuczoną rękę. Opieka na moim oddziale nie była wzorowa, muszę to przyznać, przyglądałam się temu przez cztery lata i niewiele mogłam uczynić, nie było to w mojej gestii, tylko ordynatora.

Zrobiła mi się odleżyna na pięcie. Gnijące za życia własne ciało jest przejmującym przeżyciem.

Po kilku następnych dniach serce nie wytrzymało obciążenia niedotlenienia spowodowanego drgawkami, koleżanka zdecydowała się na przewiezienie mnie na oddział reanimacyjny.

Sądziła, że nie przeżyję nocy. Tam opieką otoczył mnie mój kolega Arek, lekarz, który robił wszystko, by mnie uratować, szukał pomocy w klinikach na Śląsku, lecz wszędzie odmawiali przyjęcia. W końcu na własną rękę, stając przeciwko własnej szefowej, zawiózł mnie na badanie komputerowe do kliniki w Sosnowcu i tam już czekała moja ciotka, lekarz, powiadomiona w końcu przez rodziców. Ciotka jest osobą, która prawdziwie mnie kocha, która

zawsze mnie wspierała w trudnych chwilach. Mój stan był bardzo ciężki, byłam już bez oddechu, kiedy ciotka walczyła o miejsce na OIOM – ie, na początku nie chcieli mnie przyjąć, lecz pod presją ciotki w ostatniej chwili zostałam podłączona do respiratora.

Zastosowano śpiączkę dla wyciszenia napadów padaczkowych. Zaraz po przyjęciu, z powodu źle podłączonej kroplówki do kąta żylnego, wytworzyła się odma lewego płuca. Wykryła to ciotka swym szóstym zmysłem i to ona uratowała mi życie.

Walka trwała cały czas. Szanse miałam niewielkie, właściwie żadne, lecz szef oddziału, docent, mądrze rozgrywał tę partię i powoli rodziła się nadzieja, że jednak przeżyję. Kiedy pozornie odzyskiwałam świadomość, halucynowałam, byłam bardzo niespokojna, pobudzona. Czuwała przy mnie kuzynka Anka, studentka medycyny, córka ciotki. Obie mocno przeżywały moją agonię. Anka w tym czasie skontaktowała się z Tadeuszem i wszystko mu opowiedziała, szukała u niego wsparcia psychicznego i wskazówek, co ma robić, kiedy się wybudzę.

Nastąpiło drugie uśpienie, już krótsze, po którym wybudziłam się szybciej i bez drgawek.

Miałam zaburzenia pamięci, nie wiedziałam, gdzie jestem i co się wydarzyło. I było dla mnie zupełnie naturalną sprawą, że Anka i ciotka są przy mnie, to mnie nie zaskakiwało, nie dziwiło.

Było to tak naturalne, że nie pytałam, co tu wszyscy robią, dlaczego jestem na reanimacji.

Pojawiły się pierwsze oznaki świadomości, zaczęło do mnie docierać, gdzie jestem i dlaczego.

Cały czas wszyscy sądzili, że była to pomyłka lekarska, że źle podano mi narkozę.

Wszyscy oprócz Anki i lekarzy mnie leczących. Tadeusz uświadomił jej, że jest to zamach samobójczy, a lekarze zorientowali się z mego stanu, że musiałam sobie pomóc, by doprowadzić się do agonii.

Niewiele pamiętałam, lecz podtrzymywałam wersję błędu w sztuce lekarskiej. Wydawało mi się niemożliwym, że można powiedzieć rodzinie, że było inaczej. Lekarze z kliniki taktownie milczeli przed rodziną.

1 listopada wyjechałam z OIOM – u na salę chorych. Powoli uczyłam się chodzić, jeszcze nie mogłam czytać i pisać, to przyjdzie z czasem. Nauka chodzenia zajmowała mnie bardzo, odkrywałam w sobie wciąż nowe możliwości, jak małe dziecko, dla którego pierwsze kroki oznaczają nową wolność. Chociaż nieporadne i bezbronne, lecz ciekawe, co będzie za następnym zakrętem.

Mój mózg pracował jak za jakąś kosmiczną mgłą, nie miałam świadomości, że stał się cud, że istnieje. Przychodzili mnie oglądać różni ludzie ze szpitala, stałam się wielką wygraną medycyny.

Anka odwiedzała mnie z cicią codziennie, opowiadała o zainteresowaniu Tadeusza, który był na mnie wściekły. Wprawilo mnie to w stan depresji, nie rozumiałam, dlaczego się na mnie złości, dlaczego moja choroba wywołuje u niego złe emocje, kiedy wydawało mi się, że powinnam wywoływać współczucie i chęć pomocy. Lecz Anka tego nie wyczuwała, przekazywała mi za dużo informacji, które mogły uczynić wiele złego, nie byłam odporna na żadną prawdę, przynajmniej teraz, kiedy usiłowałam sobie odpowiedzieć, co się właściwie wydarzyło.

11 listopada zaczęłam kojarzyć datę, lecz nadal nie potrafiłam policzyć dni pobytu w szpitalu. Na sali miałam dwie wspaniałe pacjentki, które mi matkowały, przynosiły posiłki, wspierały w bólu i smutku. Żołądek po dwóch tygodniach niejedzenia skurczył się i każdy kęs był prawdziwą torturą, ważyłam około 48 kg, z 60 kg. Na szczęście dostawałam dużo leków i mogłam wszystko przespać. Byłam skrajnie wyczerpana trucizną i podawanymi lekami.

Naprzeciwko mego łóżka wisiał ogromny krzyż i po każdym przebudzeniu pytałam Chrystusa, co się stało, dlaczego tak się stało, co ja takiego zrobiłam. Na oddziale pracowała moja koleżanka ze studiów, która także odwiedzała mnie codziennie i wspierała, dodawała otuchy.

Moja rozchwiana psychika była głodna każdego gestu czułości, każdego zainteresowania.

Anka próbowała mnie terapeutyzować, coś jednak powstrzymywało mnie przed powiedzeniem jej prawdy, była to jakaś niesamowita intuicja, czas przyszły pokazał, że się nie myliłam nie chcąc ofiarować jej wyznania. Na razie pozornie wszystko było w porządku, wyczekiwałam przyścia Anki jak zbawionego leku, przynosiła wiadomości od Tadeusza, które były dla mnie najważniejsze. Tadeusz zorientował się, że musi mnie wspierać inaczej i takie informacje przekazywał Ance. Na szczęście nie powiedziała mi do końca wszystkiego w szpitalu, pofrunęłabym z szóstego piętra kliniki prosto na betonowy bruk, nie dałoby się mnie uchronić.

17 listopada powróciłam do domu ze złamaną duszą, z rozpaczą w sercu. Wzbudziło to we mnie paniczny, nieokreślony lęk. Sądziłam, że boję się pozostawienia mnie bez opieki medycznej, że mogą wrócić napady i stanie się coś złego, umrę natychmiast i nikt nie będzie w stanie mi pomóc. Nie rozumiałam wtedy, skąd mam takie totalne poczucie zagrożenia.

Powoli zaczęłam jeść, noga z odleżyną goiła się. Pragnęłam odciąć się od dotychczasowego życia, przeczuwałam, że jest to jakiś punkt zwrotny, najistotniejszy, i wyrzuciłam całą nagromadzoną korespondencję, oprócz listów od Kasi. To była ponownie wielka intuicja, los połączył mnie z Kasią prawdziwą przyjaźnią.

Powoli rozglądałam się po moim królestwie, usiłowałam zorientować się w sytuacji, pytałam siebie nieustannie – dlaczego? Pytałam, dlaczego przeżyłam, kiedy nie miałam na to żadnych szans, ta myśl zajmowała mnie na długo, powracała obsesyjnie, wierciła we mnie otwory, paraliżowała. Wyobraźnia pracowała, nie dawała spokoju. Usypiałam w lęku i budziłam się w lęku.

Nie przeczuwałam absolutnie niczego.

Od 24 listopada zaczęłam ponownie pisać dziennik. Robiłam to intuicyjnie, zapisywałam swe stany świadome i nieświadome i doprawdy nie wiedziałam, co z tego wyniknie. Nie wiedziałam, co kryje się w zapisie, czym jest systematyczne dokumentowanie siebie. Byłam jak rozbitek na tratwie, skazana na nieznane siły w oceanie nieświadomości. Powoli rodziła się nadzieja, że w gąszczu zdań wyłoni się jakiś przyjazny ład, gdzie odnajdę człowieka, który pomoże mi żyć inaczej w nowym życiu.

Wieczorem pojawiał się znajomy lęk. Pytałam siebie, jak unieść to, co się wydarzyło, kiedy wszystko się rozsypało, zapadło. Zderzenie z Kosmosem. *Nauczyłam się chodzić. Potrafię jeszcze wiele. Nie pamiętam.*

Powracało jak bumerang słowo „szantaż”. Takiego wyrażenia użył Tadeusz w rozmowie z Anką. Budziłam się i usypiałam z tym słowem i nie wiedziałam, jak je odczytać. Było na to jeszcze za wcześnie. Jego znaczenie odkryłam dopiero na końcu analizy, która trwała cztery miesiące od momentu, kiedy zaczęłam pracować nad sobą. Na razie w dziecięcy sposób odkrywałam świat, litery zaczęły mieć swoje znaczenie, przestawały się zlewać, tworzyły sensowne zdania.

Pierwsza próba czytania. Przeczytałam bajkę z dzieciństwa, Małą Księżniczkę. Poczułam się lepiej, było to coś znajomego, przywoływało dobre wspomnienia. I zmniejszył się lęk. Mogłam iść dalej.

Już wszystko się stało. Jestem dla kolegów z pracy alkoholiczką, narkomanką i samobójczynią.

No i zwariowałam. Jestem oczyszczona, bo skazana i potępiona przez nich za wszystko.

Teraz jestem już pewna, że nie mogę wrócić na oddział do pracy.

Życie. Nigdy nie sądziłam, że to takie niesamowite słowo. Niepojęte. Cztery lata czekali, aż się potknę i przewrócę.

Żyję. Nie mam nic do stracenia. Darowano mi życie. Jestem wolna. Niebieski ptak. A życie, nawet w piżamie od rana do wieczora, jest życiem.

Pragnę tu podziękować wszystkim, którzy przez 19 dni walczyli o mnie wytrwale, nie pogodzili się z rozsądkiem, nie uwierzyli, że już wszystko stracone, że jest to kwestia godzin, kiedy odejdę.

Pragnę podziękować Kasi, koleżance z pracy, lekarce, która w ostatniej chwili wywiozła mnie na reanimację, i która nie pozwoliła wypowiadać absurdów na mój temat. Czuwała cały czas nade mną na oddziale, korygowała błędy mego szefa w leczeniu, przeżywała moją chorobą jak bliskiej osoby.

Chcę podziękować Arkowi, lekarzowi, który o mnie walczył na reanimacji, kiedy inni mówili mu, że to już koniec i że nie warto się mną zajmować, że nie mam żadnych szans. Nie uwierzył starszym lekarzom i przewiózł mnie do kliniki, a później cały czas razem z żoną

Dorotą, moją przyjaciółką, dowiadywał się o mój stan.

I największe podziękowanie ciotce, która w najkrytyczniejszym momencie swym szóstym zmysłem medycznym wyczuła zagrożenie i uratowała mnie.

Cały personel kliniki był wspaniały, robili wszystko, by mnie przywrócić życiu, dziękuję, panie docencie, za życie. Ile później musieli ode mnie wysłuchiwać, kiedy następowało przebudzenie, ile rojeń i halucynacji im wykrzyczałam.

I wspaniałym pielęgniarkom składam podziękowanie za opiekę, za pielęgnację ciała, które się rozsypywało.

Tylu ludzi było zaangażowanych w ratowanie jednego nie chcianego życia.

Po powrocie z kliniki zostałam sama. Odwiedzała mnie Anka i intuicyjnie wyczuwałam, że nie jest to przyjaźń, dlatego milczałam, bałam się, że po wyznaniu tajemnicy stanie się coś, nad czym nie będę mogła zapanować. I tak dzielnie znosiłam jej antyterapię, sądząc, że mi pomaga. To wykazało, ile mam w sobie siły, pomimo całkowitej klęski życiowej.

Chyba mocniej się boję. To będzie jak przyływy i odpływy morza. Wiara i niepewność.

Prawdziwi przyjaciele sprawdzili się. Nie pytam nikogo co dalej. Na to pytanie muszę sobie sama odpowiedzieć.

Jestem szalona. Odkryłam tę prawdę 29 listopada 1990 roku. Nie wiedziałam, co za sobą niesie. Było to przypadkowe stwierdzenie faktu, przecucie, że to, co uczyniłam, niesie za sobą coś niesamowitego. Pierwsze uderzenie o skałę, pierwsze poruszenie prawdy.

Jeżeli wszystko co złe sprawdza się, można odwrócić sytuację o 180 stopni i doprowadzić do tego, by wszystko co dobre spełniało się. Krok prosto w życie. Cholera, Rosiek, uwierz w to.

Rozpoczął się grudzień 1990 roku. Planowałam spalenie dzienników, bojąc się podświadomie powrotu przeszłości. Gdybym to uczyniła, mogłabym nigdy nie dowiedzieć się prawdy.

Przeczuwałam, że w nich jest coś, co może ostatecznie przytłoczyć. I chociaż wielokrotnie wcześniej je czytałam, nie potrafiłam odkryć sama przed sobą, co zawierają. Z nich pisałam „*Pamiętnik narkomanki*”, drugi tom „*Oswajanie zwierza*”. Wyczytywałam z nich tylko to, co chciałam odczytać, nie potrafiłam wcześniej dojrzeć prawdy. Na szczęście byłam za słaba fizycznie, by tego dokonać.

We śnie byłam zabijana wielokrotnie i tłumaczyłam moim oprawcom, że nie trzeba mnie zabijać, ponieważ już nie żyję. Będzie to ze mnie wylazić, po kawałku jak martwy płód.

To jest jak sen, który powraca i realizuje ciąg dalszy.

5 grudnia udało mi się spalić dwa tomy dzienników. Te najokrutniejsze.

Oczyszczam powoli świat zewnętrzny. Co w środku, trudno przewidzieć, co zrobią ze mną tamte nie chciane wspomnienia.

Po przebudzeniu pojawiała się pusta przestrzeń nowego dnia. W jakim strasznym stanie musiałam być, że to się stało. Kiedy zostanie zniszczona w człowieku największa wartość, nie ma żadnej kontroli i pęd ku śmierci wprowadza w czyn samozagładę. Wszystko przestaje się liczyć – mózg musi natychmiast być wyłączony ze świadomości bez względu na skutki.

Doszłam do pierwszej prawdy.

Cokolwiek uczyniłam ostatecznie przeciwko sobie, wydawało mi się, że było niemożliwe, nie zaistniało, nie dotyczyło mnie, lecz powracało w przetwarzanych fantazjach i zabijało.

Nie znałam jeszcze wartości odkrytego sądu, jeszcze nie pojmowałam siebie w żaden sposób, chociaż podświadomość szykowała się do ponownego ataku, jak myśliwy, który jest pewien, że zwierzyna jest już w sidłach. Na szczęście miałam dużo snów, które pokazywały mi palcem, co się dzieje. I gdybym nie była psychologiem, może nie udałaby mi się autoterapia.

Wszystko ma jednak w życiu sens i znaczenie. Widocznie musiało być i tak, że kiedyś

wybrałam studia psychologiczne po to, by pomagać innym. I pomagałam, po to, by dzięki wiedzy wyzwolić siebie, doprowadzić do prawdziwego przebudzenia, bez leków, bez psychiatrów.

Grudzień to był czas, kiedy nadal się broniłam przed poznaniem siebie.

Jestem zbyt dumna, by opowiedzieć komuś swój życiorys. Dlatego nawet w dziennikach kryję się przed wyznaniem tajemnic. Nie chcę, by śmierć mnie zaskoczyła, zanim zdążę spalić część mego życia. Idę znowu w tym samym kierunku. Jak to powstrzymać?

Trzeba przetrzymać tę zimę, i siebie, i wspomnienia, i szaleństwo, i obsesje, i czerwone pająki zjadające moje wnętrzości.

16 grudnia ponownie przyszedł do mnie Bóg. Nie pamiętam, w jaki sposób odczułam jego obecność, lecz przekonanie, że był, było realne.

Powrót do własnej świadomości, do data, gotowość do przemiany, do rozwiązywania problemów, które tak mocno zaatakowały, doprowadziły do eksplozji.

Czy teraz mogę z tym żyć? Czy teraz jest to możliwe? Czy można żyć własnym życiem w pełni? Czy dotykając śmierci oczyściłam się? Po co było to doświadczenie?

Nie należy ratować tych, którzy byli zbyt blisko. Powrót zdaje się być niemożliwy. Nie pamiętam psychologii.

22 grudnia nastąpił dalszy ciąg skromnej próby odpowiedzi na pytania, które dręczyły przez cały dzień, pomiędzy oglądaniem telewizji, dalszą nauką chodzenia i pierwszymi próbami nawiązywania kontaktów ze światem, odpisywania na listy, rozmowami z Anką, raz w tygodniu, która w końcu mnie zostawiła i wyjechała na dłużej, zamiast być blisko. Sądzę, że samotność przyspieszyła moje przemiany, mogły się one jednak zakończyć kolejną próbą, tym razem skuteczną. Miałam to coś w sobie, co nie pozwalało odejść, kiedy zaczyna się poznawać drogę, kusiło, by zajrzeć, co się dzieje za kulisami teatru, w jaki sposób została wyreżyserowana ta sztuka. I w przerażającej samotności podjęłam walkę, bo nikt nie mógł mi towarzyszyć.

Fobie i obsesje powstają wtedy, gdy nie ma przeróbki wewnętrznej, kiedy ciałem i myślami zawłada świat zewnętrzny.

Jakim trzeba być, by udźwignąć szalony ciężar wnętrza? Zewnętrzna sfera jako wentyl bezpieczeństwa przed tworamia ja? Trzeba to wypośrodkować, by żaden ze światów nie miał przewagi, nie pochłonął i nie zniszczył. Chodzi tu o dyskretną przewagę świata wewnętrznego.

Nie, coś mi tutaj nie pasuje, świat wewnętrzny może być wielki, wspaniały i wcale nie destruktywny.

Może być potęgą i budować, tworzyć nowe przestrzenie, które w sposób zgodny i harmonijny będą stykać się ze światem zewnętrznym. Nie można doprowadzić do stanu, że oba światy zaatakują jednocześnie, tak jak się to stało w październiku.

Pragnę tej wolności duszy, którą przybliżam przez burze, umierania, sensacje, a można tego dokonać odzyskując spokój.

Muszę znaleźć sposób, by ponownie nie narosły we mnie rany, blizny, agresje, obsesje i nie eksplodowały tym razem siłą ostateczną.

Najpierw muszę sobie odpowiedzieć na pytanie, czy chcę żyć.

Stało się, zadałam w końcu to pytanie i poczułam się ponownie pozostawiona w ślepej uliczce. Nie wiedziałam tego, to było takie pozornie proste, a ja tego nie wiedziałam. Jeżeli zadałam sobie w październiku cios ostateczny, to co nagle miało się zmienić w sposobie mego myślenia? To prawda, dotknęłam blisko śmierci, spotkałam się z nią tak mocno, tak namacalnie, czy to miało wystarczyć, by zmieniło się moje życie?

Czy spotkanie w przedsionku wieczności wystarczyło, by zacząć przewartościowywać życie, poczuć je inaczej? Co naprawdę się wydarzyło podczas 19 dni agonii? Jak mocno dotknęłam siebie, by odwrócić bieg destrukcji w budowaniu wszystkiego od nowa?

Leżałam godzinami w łóżku i starałam się dowiedzieć wszystkiego o sobie, co naprawdę się wydarzyło. Ta niepojęta moc, która we mnie tkwiła, w końcu przeskoczyła na inny tor, który miał mnie doprowadzić do prawdy o sobie i prawdy o człowieku.

Dzisiaj nadal nie wiem, czy do końca chciałam ją poznać, dzięki prawdzie ocalałam siebie.

Prawda musiała mi się objawić, nie miałam już nic do stracenia, mogłam jedynie ponowić atak na siebie, lecz byłam ciekawa, co naprawdę się wydarzyło, Ciągle tego nie wiedziałam.

Była to jedyna sprawa, która wtedy trzymała mnie przy życiu. Teraz już musiałam się dowiedzieć.

Stałam na jednokierunkowej drodze, każdy fałszywy krok mógł doprowadzić do upadku w przepaść, powrót w nieświadomość mógł zamienić mnie w słup soli. Nie mogłam się już oglądać za siebie, mogłam podążyć w głąb wspomnienia, w nieświadomość, przywołać obrazy, które zapamiętałam.

Istniały obszary świadomości, których istnienia stale zaprzeczałam, stąd brało się zniewolenie, poczucie, że jest coś, nad czym zupełnie nie panuję i nie potrafiłam tego nazwać.

Nie wiedziałam, co zapisuję, jaki sens ma dziennik;

Światło, gwiazdy, brak snu. Niepokój dłoni, palców, stopy, przesuwanie szczęką ból między żebrami. Noc, noc, ciemność myśli.

Zaczęły mnie „atakować” sny, powracał w nich stale motyw 13, 14 roku życia. Zastanawiałam się, dlaczego tak się działo, co wtedy się wydarzyło w moim życiu. Początek buntu?

Dlaczego te daty były aż tak ważna dla podświadomości. Pozornie wiedziałam, co się ze mną działo, przypominałam sobie jakieś fragmenty zachowań, ale nie potrafiłam ułożyć w całość skomplikowanej lamigłówki życiorysu.

Nie wiem, jak poradzę sobie z kłębowiskiem emocji. Wszystko wychodzi jak z rozprutego gwałtownym cięciem wora – cała obrzydliwość podświadomości.

Czułam, że nie tylko w sobie znajdę odpowiedź, coś mnie popchnęło do czytania Biblii, której nie znałam. Doszłam do Księgi Wyjścia i odłożyłam tekst. Co za symbolika, i ja stałam u progu przejścia w inny wymiar przeżywania świata. Śniły mi się zaślubiny z morzem czyli pakt z nieświadomością.

Czy milczenie moje zakończy się katastrofą? Wtedy byłam u kresu, czy teraz oddalił się?

Czy jakąś potajemną ścieżką jestem bliżej niego? Straszliwej siły, która wciąż wciąga.

A jednak czekam na gest ze strony Tadeusza, czekam, by napisał dla mnie kilka zdań.

W tym samym czasie Tadeusz także czekał, jak potoczą się moje losy, wypytywał o mnie Ankę, czy powtórzę zamach, w jaki sposób przyjmuję informacje od Anki. Nie przeczuwałam, jakie niebezpieczeństwo mi grozi, nie wiedziałam, że Tadeusz nie może mi inaczej pomóc niż na odległość. Był to bardzo trudny okres dla obu stron, w którym mogło zdarzyć się wszystko, kiedy człowiek ma niewielkie pole działania, by pomóc drugiemu. Jest to stan tej bezradności, kiedy trzeba jedynie czekać, aż osoba, której chce się pomóc, sama zacznie potrzebować pomocy, zrobi ten minimalny krok, by można było wyjść jej naprzeciw. W moim przypadku były to przyjmowane od Anki informacje, które powodowały gwałtowne przetasowanie w podświadomości i wzrost napięcia emocjonalnego do działania w kierunku zmiany.

Szef w pracy domagał się, bym przychodziła raz w tygodniu na kontrolę mego stanu psychicznego i poddała się badaniu psychiatrycznemu stwierdzającemu poczytalność. Szef bał się mego powrotu do pracy, wprawdzie widział mnie w stanie pobudzenia, wiedział, że był

obrzęk mózgu i niedotlenienie, ale to nie uzasadniało jego postępowania. W późniejszym czasie dowiedziałam się, jakie plotki krążyły na mój temat, on także miał w nich swój udział.

Ponownie powróciła sprawa narkotyków, już chyba do końca życia zostanę etatową w tym kraju narkomanką, ponownie oskarżano mnie o sprawy, które nie miały miejsca, zastanawiano się nad moją przeszłością, dorabiano fabułę. Początkowo wprowadziło mnie to w stan osłupienia, nie potrafiłam się obronić, potrzebowałam czasu, zanim stanęłam twarzą w twarz z szefem i powiedziałam mu, co o tym myślę. Chciał nawet, bym powróciła do pracy, ale mu nie ufałam, w swej przebiegłej naturze na pewno później znalazłby jakiś sposób, by mnie dręczyć.

Nie chciałam być jego kolejną ofiarą, widziałam, jak przez cztery lata odnosił się do słabszych psychicznie lekarzy. Wołałam odejść.

Kończył się rok 1990, rok, którego miałam nie przeżyć. Podsumowanie było dla mnie pesymistyczne.

Odchodzi ten rok, dekada, wielce niesamowita. Jestem odstawiona na boczny tor zawodowo, zdruzgotana emocjonalnie, podupadła zdrowotnie. Ładny finisz w 31 roku życia.

Rok temu postanowiłam zerwać z całym światem i to mi się udało. Teraz postanowiłam powrócić do życia, radować się nim.

Nie mogłam przewidzieć, że nadchodzący rok będzie przełomowym i pełnym gwałtownych przeżyć, także okrutnych.

2 stycznia 1991 roku dostałam wyczekiwaną kartkę od Tadeusza.

„Droga Basiu, na Nowy Rok przesyłam Ci myśli Hioba, wierząc, że są one najlepsze dla wyjaśnienia tego, co czuję sam, wiedząc o Twoim cierpieniu, świadomym i szalonym.

Ale widać tak być miało, tak chciałaś wyrazić swoją moc – i – niemoc, swój gniew i miłość.

Wiele rzeczy jest dla mnie niezrozumiałych, ale przez to pouczających. W chwili złości napisałem dla Ciebie takie instrukcje, ale dopiero teraz je wysyłam:

Pozostać trudniej niż wskoczyć w przepaść a potem odfrunąć jak otruty motyl

Usłyszeć łatwiej słów kilka Anioła gdy rozbitej lutni prowadzą go widma

Wirują mocniej minuty bezludne wiatr skrzydła rozrywa to już jest południe

Ogrodnik patrzy cicho by nie spłoszyć chwili nad nim niebo i ból i – rój motyli

Całuję Ci mocno

T.”

Czarek, uczeń i przyjaciel Tadeusza, powiedział wcześniej Ance, że jest to psychoza i że od tego są psychiatrzy. Na szczęście mi tego wcześniej nie powtórzyła. Byłby to koniec, zamilkłabym dla świata w poczuciu odrzucenia. I tak te słowa najbardziej bolały, chyba nawet do dzisiaj. Jednak coś przekonało Tadeusza, by do mnie zwrócić się tym symbolicznym tekstem.

Trafił w dziesiątkę, wywołał lawinę w podświadomości.

Czekałam na wiadomość od Tadeusza i nie rozumiałam, dlaczego tak długo z tym zwleka.

Pragnął wyczuć moment, kiedy będę mogła przyjąć jakąkolwiek prawdę, która mnie stąd nie zdmuchnie, nie sprawi, że pograżę się w większej rozpacz. Każdy gest mógł doprowadzić do katastrofy, samobójstwa lub zamknięcia.

Postanowiłam odpisać, ale byłam przekonana, że będę milczała, że nikomu nic nie powiem oprócz uznania faktu, że było to samobójstwo.

Po kilku dniach zorientowałam się, że list, który mu wysłałam, jest zemstą, to wzbudziło we mnie silny lęk, sądzę, że przed oceną.

Pytanie, czy jestem normalna, powracało w każdy wieczór.

Tamta myśl znowu mnie osacza. Czy to naprawdę jest nie do opanowania. Dlaczego taka samozagłada. Dlaczego aż tak?

Czuję się dziwnie, jakby mózg przeszedł próbę ognia. Przerwanie ciągłości czasu istnienia.

A teraz wypełnianie luki, ogromnej dziury, lecz nie wiem jeszcze, czym ją nappełnić, a może ominąć i iść dalej, z pustym miejscem w pamięci. To powraca i domaga się wypełnienia, bo zbyt niepokoi. Nie potrafię.

Zgubiłam zbyt wiele części lamigłówni mego życia.

Może kiedyś uda mi się ta sztuka istnienia, że odnajdę siebie, i spokój w sobie, taka, jaką jestem naprawdę.

Wcale nie mam zamiaru udowadniać, że jestem normalna. Jak długo trzeba w sobie oswajać śmierć drugiego?

9 stycznia 91

Ależ ja jestem nienormalna i dobrze mi z tym. Naprawdę?

Przypominam sobie to, co pisałam w „Oswajaniu zwierza” i co stworzyłam w fantazjach.

Oprócz kilku szczegółów, wszystko stało się.

Freud: Halucynacja – kateksja przechodzi w postrzeżenie, Kateksja to zaspokajanie

impulsów id przez znalezienie odpowiedniej osoby, przedmiotu, idei.

Moje dzienniki, dzienniki. Przytłaczają. Moje życie mnie przytłacza.

Mam wstręt do psychologii. Do siebie?

Myśli krążą wciąż wokół spraw ostatecznych. Dlaczego stale mi się śni taka ohyda, rozpad, gnicie, zniszczenie?

Czy to tak mocno we mnie tkwi?

W poczuciu winy napisałam następny list do Tadeusza, nie czekając na odpowiedź.

„Tadeuszu, do jakiej trzeba dojść rozpacz, by ostatecznie przeciąć nić swego życia, nieodwracalnie, bo przecież z niewiarą, że po tamtej stronie cokolwiek istnieje, totalna samozagłada, bez żadnej nadziei.

Nie potrafię cieszyć się z powrotu do życia. Przeraza mnie zwykły kontakt z ludźmi, ulice, początek dnia, noc, kiedy nasila się lęk. I tamte wspomnienia, tak tragiczne, że aż niewyobrażalne”.

Wraz z listem posłałam Tadeuszowi poemat „Zagubienie”, który napisałam tego dnia, nazywając siebie otrutym motylem. Zapytałam go, dlaczego milczał wobec mnie przez te lata, dlaczego nic mi nie powiedział o mojej chorobie, którą doskonale wyczuwał od samego początku.

Nie pojmowałam tego, skąd taka „zmowa milczenia”.

Wyczuwałam szóstym zmysłem, że jest coś nie tak, że potrzeba mi tutaj bliskiej osoby, która pomogłaby mi unieść ciężar całego zagubienia, bym przetrwała najgorsze chwile. Nie było takiego człowieka, nikt nie wiedział, co się ze mną dzieje naprawdę i co się wydarzyło.

Nikt, ale to nikt z mojej rodziny nie zorientował się, że tonę. Nikt nie był ze mną blisko. Wiedziała bardzo dużo Anka, ale i ona mnie zostawiła, dopiero później dowiedziałam się dlaczego.

Nie chciała towarzyszyć memu zdrowieniu, nie chciała być blisko mnie. Była przy mnie w klinice, kiedy umierałam, lecz z zupełnie innego powodu.

Rozwiązywała sobie własne problemy. Jak tragiczna bywa ludzka podświadomość.

20 stycznia napisałam:

Nie przynależę do świata normalnych ani do świata obłąkanych, dlatego ta samotność ma wymiar skrajnej pojedynczości. Jest mi broniony wstęp do pierwszego, przed drugim bronię się rozpaczliwie. A poza tym nie chcę być ani w jednym, ani w drugim.

W takim razie gdzie?

Są decyzje, które trzeba podejmować samemu, mogą przygnieść jedynie swoim ciężarem.

Do tej prostej prawdy doszłam w końcu i stała mi się pewnym objawieniem. Zaczęłam brać odpowiedzialność za to, co robię.

Wydawnictwo w Katowicach zaakceptowało książkę pt. „Kokaina”, którą pisałam na miesiąc przed samobójstwem. Ta wiadomość dodała mi siłę, pewność, że nie wszystko w moim życiu było klęską, że mogę chociaż liczyć na swój talent i twórczość, która jest wspaniałym lekarstwem, kiedy jest się do końca samotnym.

To wszystko musiało się wydarzyć. W końcu udało mi się dotknąć dna ciemności. Teraz zapragnęłam wyruszyć na poszukiwanie siebie w stronę światła.

28 stycznia przyszedł list od Tadeusza. Przemówił do mnie, zaczął ze mną rozmawiać.

„Droga Basiu,

dziękuję za list i medytacje, zwłaszcza za nie. Mam wrażenie, że to, co piszesz, jest rozdarte tak jak tamta decyzja, którą powzięłaś przeciwko sobie. Masz delikatną pretensję do mnie, że nie powiedziałem Ci tego, co mógłbym. Hm – ale czy mogłem, czy tego chciałaś? Piszesz – „Wiem, że pacjentowi nie mówi się wiele” itd. Ale przecież wiesz także, że nigdy, ale to nigdy nie uznałby Cię za „pacjenta”. Nawet teraz, kiedy zrobiłaś wszystko, aby nim zostać. Być pacjentem to być Dzieckiem, które nie chce być Dorosłym, bo dba o to, aby nie rozpadła się rodzina, aby rodzice się nie rozstali. Więc musi w sobie trwać jako Dziecko, chorujące, zatruwające się, walczące z sobą, zabijające się. Tego wymaga od Ciebie Twoje delikatne Dziecko, które ratuje układ między Rodzicami, ale samo popada w psychotyczny impas. Stać Cię na tak wielki gest wobec bezmiłości, która Cię otacza, a której nie chcesz uznać, bo jest lustrem śmierci. Wolisz wybrać śmierć niż spojrzeć w lustro. OK.

Gdy czytałem Twój „Pamiętnik”, uderzyło mnie to, że nie możesz powiedzieć prawdy. Pełno tam stylistycznych piękności i miodu posmarowanego na kwaśnym chlebie, który nie przemienia się niestety w nic pożywnego. Ponieważ w SSHP nie mogłaś nic zrobić z sobą, bo byłaś wpisana w ten pamiętnikowy miód, podjęłaś rolę pacjenta, który nim nie jest. Nie mogłem w to ingerować. Mogłem tę decyzję tylko poprzeć, zdając sobie sprawę z tego, że jest to „rola”.

Czasem trzeba ją zrealizować do końca, aby przekonać się, że jest to rola wymagająca większego ładunku hysterii. Tobie go zabrakło, gdyż rozbudowałaś swoje cierpienie i wyobraźnię za cenę cielesnego bólu, sztywnienia, znieczulenia. Przy Twoim wybitnym intelekcie (nie znam

lepszego niż Twoja analiza schizofrenii w języku polskim!) masz zawsze możliwość bycia tym, kim chcesz, jak też tym, kim być nie chcesz. Nikt nie jest w stanie narzucić Ci wyboru.

Masz też pewną pretensję, że wypytuję Ankę o Ciebie. Ale to właśnie Ona zaangażowała w ratowanie Ciebie Czarka, Magdę i oczywiście mnie. Od razu zdiagnozowaliśmy Twój gest jako samobójczy. Więc może niezbyt doceniasz wiedzę Anki. Postanowiłem nie odzywać się bezpośrednio do Ciebie, bo Twoja próba, gdyby się udała, byłaby oskarżeniem lekarza, który

Cię leczył. A więc znowu próba zrzucenia odpowiedzialności na kogoś, kto Ci pomaga. Na szczęście ta próba się nie udała. Mówię tu o szczęściu dziecka, które ma teraz szansę przewartościować to, co w nim z Ojca i Matki. Ale szansa może być tylko szansą. Muszę Cię zmartwić – nasze pierwsze spotkanie, choć zakończone próbą podniesienia Ciebie, było pełne niepokoju o depresyjne, automatyczne reakcje, które zaprzeczały optymistycznym wypowiedziom prowadzących zajęcia kolegów. Powiedziałem im wtedy, czego się obawiam. I niestety te obawy zmusiły mnie do milczenia wobec Ciebie. Teraz już ich nie mam. Są w Tobie, wyjawiały Ci się w akcie rozpacz.

Basiu, jeżeli jesteś pacjentką, to tylko samą dla siebie. I tylko sama możesz siebie wyleczyć.

Może pod warunkiem, że nie będziesz tak bardzo się przejmować kontaktami z ludźmi. Mam wrażenie, że uwewnętrzniłaś ich karcące spojrzenia, etykiety i utożsamiałaś się z pacjentem”.

Twój gest zamknął rolę pacjenta. Nie możesz już nim być bardziej niż jesteś. Musisz wybrać inną rolę lub inna rola musi wybrać Ciebie.

Musisz opłakać swój ból i klęski, jakie poniosłaś. Abyś nie musiała się czuć Panem Bogiem otoczenia, Super – Rodzicem, jakąś Nad – Osobą. Abyś mogła być Dzieckiem i Dorosłym jednocześnie.

A więc kimś, kto daruje siebie innym za nic. Co nie znaczy, że ma siebie za nic.

Możesz być wybitną terapeutką. Ale do tego trzeba porzucić istniejący układ, trzeba znaleźć miejsce dla siebie i w sobie wśród obcych. Tam, gdzie nikt Cię nie usprawiedliwi z powodu Twojej osobistej historii, bo nie będzie jej znał. A jeżeli pozna – machnie ramionami. Po negatywnym potrzebny jest Ci gest pozytywny. Wykonasz go sama albo zostaniesz nieporadnym Dzieckiem, które nie chce się narodzić. I zbuntujesz się przeciw Bogu, narzucając mu ponownie swoje nie.

Pozdrawiam Cię serdecznie

T.K.”

ROZDZIAŁ II

Otrzymałam wyczekiwany list od Tadeusza. Powiedział w nim tyle, ile mógł, zachowując resztę w tajemnicy, która mogła mnie powalić. I chociaż sprawa wydawała się beznadziejną, zdecydował się na pomoc.

Zapisałam w dzienniku:

Tak, Tadeuszu, już najwyższy czas przyjąć odpowiedzialność za to, co zrobiłam.

I znowu ten sam błąd, hamuję płacz, a wyc mi się chce, hamuję, bo oni są w drugim pokoju.

Nie mogę jeszcze spalić dzienników. Tam, w nich, wszystko się kryje, część prawdy o mnie.

Nie ma losu i przypadku. Są nasze wybory.

Trzeba być odpowiedzialnym do końca, nawet za własne samobójstwo.

Twoje słowa prawdziwie uderzają o skałę, do której schowałam się w dzieciństwie i być może wydrążę niewielki otwór, poprzez który zacznę się rozszerzać.

Łzy, łzy, Tadeuszu, nareszcie prawdziwe.

Teraz mogę umrzeć lub zacząć nowe życie. Jutro, jutro podejmę decyzję.

Wybrnąłeś w tym liście, Tadeuszu. Nie powiedziałaś mi!!!

Jestem już na tym etapie, że nikt inny nie jest w stanie mi pomóc.

Może psychoza jest jedyną formą istnienia, bym w ogóle tu pozostała.

Pytanie – po co? Może i psychotycy są potrzebni. Może i ja powstanę z absurdu.

29 grudnia

Tadeuszu, chyba nie potrafię sobie pomóc. Każdy może sobie pomóc sam, lecz czy ma być w tym tak osamotniony?

Najpierw broniłam się, by nie zostać pacjentką, zamykano mnie w psychiatrykach, etykietowano, aż w końcu poddałam się i nie potrafiłam zmienić roli. I kiedy wydawało mi się, że już wiem, zadałam ostateczny cios.

Niewiele jest nadziei, niewiele nadziei daję sobie. Znowu trzymam zamiast ryknąć tupnąć, zadławić się płaczem i przemówić.

A ja miałam poczucie, że traktujesz mnie jak śmierdzące gówno. Dlatego nie byłam w stanie do Ciebie podejść. Nie mam zamiaru na nikogo zwałać odpowiedzialności. Nawet nie wiesz, jak koszmarnie czuję się za to wszystko odpowiedzialna.

Jesteś, Tadeuszu, dla mnie najważniejszą osobą, dlatego Twoje milczenie było takie okrutne.

Czasami chciałam Ci coś bez lęku opowiedzieć.

Muszę jednym ciosem miecza rozciąć pepowinę, węzły, kajdany, spętanie, opętania.

Tadeuszu, cały czas z Tobą rozmawiam.

Bezsenność. Ciężar, którym się przywalilam, powoduje miażdżenie klatki piersiowej i brzucha, rozplątuje czaszkę, wylamuje kończyny.

Dławienie się rozpaczą.

To już chyba gryzienie ścian. Łamię zęby, opluwam się i wbijam paznokcie.

Noc, noc, wszędzie noc.

Jest trochę światła.

Mój Boże, jest?

Wpisywałam wszystko do dzienników, a później w prawie nie zmienionej formie wysyłałam Tadeuszowi w listach.

Listy pisałam codziennie, czasami dwa razy dziennie. Tadeusz milczał, czekał cierpliwie, aż się otworzę, aż zacznę pracować. Przeczuwał, czym może to grozić i ufał, że podczas pracy nic sobie nie zrobię, bo będę chciała dowiedzieć się prawdy, okupionej tak koszmarnym bólem istnienia. Nikt nie mógł przewidzieć, jaki krok uczynię. Mogłam skorzystać z ostatniej szansy ratowania siebie.

Podjęłam walkę, można było wyczekiwać na rezultaty.

W tym czasie Czarek przyjechał do Katowic, do Anki i powiedział jej, z jakimi problemami może się spotkać rozmawiając ze mną. Zakładali z Tadeuszem, że Anka jako jedyna osoba, która wie więcej i ma najbliższy kontakt ze mną, zechce mi pomóc i pokierować.

Tadeusz popełnił jeden błąd, zaufał Ance, która deklarowała chęć niesienia pomocy. W jej podświadomości tkwiła już tylko myśl o tym, by we mnie uderzyć. Nie chciała być ze mną, przekazała informacje wprost i wyjechała. Czy zostawia się bliskiego człowieka, wiedząc, że w każdej chwili może się zabić? Anka o tym wiedziała, poinformował ją Czarek, że mogę w niedługim czasie ponowić próbę samobójczą.

Nie chciałam, by Anka mi pomagała, wyczuwałam intuicyjnie, że jest przeciwko mnie.

Była dla mnie osobą bardzo ważną, kochałam ją prawdziwie. Zaufałam Tadeuszowi i w rezultacie opowiedziałam Ance o tym, o czym już sama wiedziałam. W przyszłości wykorzystała

to przeciwko mnie. Jej nienawiść do mnie się spotęgowała, ale w tym czasie była pozornie najbliższej, odgrywała rolę wielkiej terapeutki, a każde słowo, które wypowiadała, mogło być śmiertelne.

Przetrzymałam wszystko, ile sił tak naprawdę ma człowiek, ile zabijających słów jest w stanie unieść.

Był to kolejny cud w moim istnieniu, jakby Bóg szczególnie mnie sobie upodobał. Niosłam taką wiedzę, którą kiedyś miałam ofiarować innym. Czy dlatego przeżyłam to wszystko?

W tym czasie miałam w sobie wiele uczuć złości i żalu do Tadeusza, nie rozumiałam jego motywów działania, nie rozumiałam sposobu prowadzenia akcji ratowania. Żyłam w stanie nieświadomości. Powoli zaczynałam sobie przypominać, co się naprawdę wydarzyło, zaczęłam sama przed sobą przyznawać się do tego, co uczyniłam. Każde posunięcie Tadeusza było logiczne i właściwe. Jedynie z Anką mu się nie udało, tak doskonale się przed nim zamaskowała, ukrywając prawdziwe uczucia do mnie.

Dowiedziałam się od Anki, że był to szantaż, że chciałam uderzyć w matkę. Były to dla mnie wtedy informacje niezrozumiałe, a jednocześnie raniące do granic wytrzymałości. Nie znałam jeszcze prawdy, a tu mi ją objawiano jak nagą broń, na którą mam się nadziać.

Jeżeli wydaje ci się, że kogoś kochasz i że jesteś kochany, i wierzysz w to przez 30 lat, to nagle stwierdzenie, że to wszystko jest jedynie złudzeniem, powoduje otwarcie wrót do piekieł.

30 stycznia 1991

Dlaczego Czarek przyjechał do Katowic, by opowiedzieć Ance o wnioskach Tadeusza z pominięciem mojej osoby? Zapewne koncepcja Tadeusza była taka Anka ma wiedzieć o pewnych sprawach, bo jest blisko i w razie potrzeby ma mi pomóc sobie pomóc. Nie chcę, by to była Anka.

Tadeuszu, jak mogę uczynić dla siebie gest pozytywny, jeżeli czuje do siebie

OBRZYDZENIE.

Silni ludzie nie popełniają samobójstwa. A może właśnie tacy, którym paranoja podszeptuje, że mają boską moc.

Chodzę i wymyślam różne rzeczy, w tramwaju, przy jedzeniu, w łóżku, słuchając. „The Wall”. Inie wiem, co jest fantazją, a co realnym odczuciem. Na pewno jestem w stanie szoku, udręki, obsesji, początku rozpadu pewnej struktury.

Czy gównem można z siebie zmyć?

Już nie krwawię, zastygam w obłędzie.

Jesteś absolutnie niepoczytalna, Rosiek.

Tadeuszu, co jeszcze mogę uczynić? Uratować się.

Tak, tylko ja mogę tego dokonać.

Nadal traktuję siebie jako pacjentkę. Chcę uciec w psychozę, bo nie potrafię stanąć przed lustrem, wypowiedzieć prawdę i zacząć nowe życie.

Z tak zafajdanym sumieniem?

Czuję się jak zbrodniarz.

Pieprzone obsesje. Wyhamować rozpad, pęd do samozniszczenia, obrzydzenie do siebie.

Pozytywny gest, Tadeuszu, dla siebie, powiadasz. Nie potrafię teraz dostrzec dla siebie takiej możliwości. Może się jeszcze dobrze nie rozejrzałam, by go ujrzeć, porażona obsesjami, nie mogę go w sobie odszukać. Gdziekolwiek dotknę, to jest fajno, smród.

Nie ratowałam układu między rodzicami, ten układ mnie nie interesował, fakt, chciałam oszczędzić matkę, fingując wypadek, by mogła po mojej śmierci mieć mniej żalu do świata czy do siebie, by przetrzymała moje gwałtowne odejście. To nie ja ratowałam rodziców, zawsze chciałam, by to małżeństwo się rozpadło, kiedy jeszcze ojciec był alkoholikiem, to matka osaczała mnie miłością i nie pozwalała się dobić.

Wiem, że wyczuleś od razu, co we mnie siedzi. Kiedy mówiłaś Ance, o mnie, takie tam drobiazgi, byłam zazdrosna, że jej wszystko pokazujesz, a nawet czułam się przez was osaczona, że mnie analizujecie, a ja jestem z tego wyłączona. To z Anką, a nie ze mną mówiłaś o mnie. A ja ją wypytywałam i to we mnie rosło. I wizyta Czarka w Katowicach, a ja znowu poza tym, wyłączona. Mogę jedynie się domyślać, po co byty teraz przekazywane jej informacje, jest blisko, mogłaby mi pomóc, aleja nie chcę, by to była Anka.

Mogę dalej być pacjentem, wejść w chroniczną psychozę, i to dopiero będzie gest zamykający sprawę. Jak już wiesz, mogę wejść i w taką rolę.

1 lutego

Jak to jest, że ludzie, w których życiu chcemy coś znaczyć, przechodzą obok, wymykają się, odchodzą?

Tadeusz traktował mnie jak Zbuntowane Dziecko, któremu nic się nie mówi, nie rozmawia o istotnych sprawach, jedynie wciska się, że wszystko jest OK.

Moje obsesje powracają i trwają, trwają. Kotłują się. Jak można żyć w poniżeniu,

poczuciu winy.

Utrata człowieczeństwa? Nakaz moralny. Czy mogę się z tego wyzwolić? Zostałam skrzywdzona, a to ja, ja czuję się winna.

2 lutego

Bóg nie karze samobójców.

Czy mogłabym komuś wszystko opowiedzieć, gdyby mi zapewnił całkowite poczucie bezpieczeństwa i nigdy nie wykorzystał przeciwko mnie? Czy byłabym w stanie to uczynić, nawet gdyby była taka osoba?

Jak długo boli ból?

Boże, dlaczego mnie nie zabrałeś, tutaj już nic po mnie.

Boże, daj mi siłę.

Jestem wściekła na Tadeusza, że przekazał informacje o mnie Ance.

A jednak, Tadeuszu, zabrakło mi boskiej mocy tamtego dnia, by z sobą skończyć, i wcześniej, kilka lat wcześniej, kiedy już dawno powinnam odejść.

Kurwa, pomyliłam się o 10 tabletek.

A może nie utraciłam człowieczeństwa, może jedynie straciłam boską moc i stałam się człowiekiem, słabym i marnym, lecz człowiekiem z szansą.

Boże, czy kiedyś w to uwierzę?

Dlaczego nie chcę pomocy Anki? jak silne może być pragnienie śmierci.

Popadam w chorobę sierocą. Nie mam rodziców, ani kochanka, ani przyjaciela? Ani siebie nie mam. Mój świat nie istnieje.

3 lutego

Kolejny dzień udręki. Nie udało mi się uniknąć żadnego cierpienia.

W kogo był skierowany cios?

Ojciec, który jest niczym, i brak, który jest niczym. Nie wybaczyłam nigdy gwałtu.

Jest gorzej niż źle, tragicznie. Nie ma nic i jest wszystko, co jest rozpaczą.

Pytanie. Jak to PRZETRZYMAĆ?

I to jest prawda. Obudziłam się, by dojść do prawdy. A szloch, płacz oznaczają, że jeszcze do reszty nie skamieniałam. Musiałam się aż zabić, by się narodzić. Teraz już potrafię płakać.

Teraz płacz jest płaczem, a rozpacz rozpaczą.

Codziennie pisany dziennik, zapisane strony rozpacz, które wysyłałam w listach do

Tadeusza.

Zachorowałam na grypę, co było zbawienne w skutkach, mogłam spokojnie leżeć i przysłuchiwać się sobie i snom, mogłam podjąć autoanalizę.

Miałam tylko jedną świadomość, że gdzieś w Warszawie jest człowiek, który czeka na moje listy, na moje odkrywanie siebie, i że mogę mu do końca zaufać. To wiedziałam na pewno, że Tadeusz przyjmie każdą prawdę o mnie, nawet najbardziej niesamowitą i zaskakującą.

Wierzyłam, że ma wielką siłę wewnętrzną, że to potrafi przyjąć i unieść. Wybrałam go po latach całkowitego milczenia, wybrałam go, bo prawdziwie mu zależało na tym bym wygrała swoje życie.

4 lutego

Przez trzy dni leżałam w łóżku i doszłam do prawdziwej rozpacz, do granic prawdy. Teraz muszę dla siebie to opisać – napisać autobiografię po raz pierwszy w życiu.

Lekarz, kolega z pracy, wpisał mi we wniosku rentowym, że jestem niepoczytalna.

Tadeuszu, opowiadam sobie swoje życie od momentu, kiedy matka nie chciała moich narodzin, do momentu aktu samobójczego. Czy to wytrzymam, nie wiem. Czy to kiedyś komuś opowiem, nie wiem.

Nowa świadomość przytłaczała. Nie ułatwiała mi zdrowienia, byłam ostatecznie pograżona we wniosku rentowym i moje szanse na powrót do społeczeństwa malały. Był to prawdziwy nóż w plecy, jeżeli kiedykolwiek chciałabym powrócić do zawodu psychologa. Mój szef i kilku kolegów z pracy nie byli w stanie przyjąć mnie z powrotem, nie byli gotowi na dalszą pracę ze mną. Byłam skażona psychozą, chorobą przewlekłą i jeszcze nie wiem czym w ich wyobrażeniach. Nie zgodziłam się na dołączenie zaświadczenia od psychiatry, nie pomogłam im docisnąć noża.

6 lutego doznałam pierwszego olśnienia i odtąd rozpoczęłam właściwą pracę nad sobą. To, co wcześniej pisałam, było jedynie obrzeżami świadomości. Mimo że wiedziałam tak wiele, nie potrafiłam sobie tego do końca uświadomić, nie przyjmowałam prawdy, którą znałam, jak nie przyjmuje wody nasycona gąbka. Broniałam się wypieraniem, zaprzeczaniem, racjonalizacją, ale choroba była nieubłagana. Sytuacja wymagała natychmiastowego rozwiązania, inaczej mogło dojść do eksplozji.

Wyładowałam całą agresję we śnie. Ale się napracowałam, zabijałam i dobijałam.

Żyję. I jest to fakt oczywisty.

Próbuję siebie ratować, bo rozpoczęłam analizę swego stanu.

Rosiek, szalone dziecko, pacjentka. Są momenty, że nieruchomieję i świat zewnętrzny, który puka do mnie, zmusza do poruszenia, to znaczy, ja się do tego zmuszam, by odpowiedzieć na jakieś pytanie, zareagować.

Byłam taka nieobecna, teraz to czuję.

Tadeuszu, jesteś mądry i dobry. Czarek nie mógł przyjechać do mnie i odjechać. Mógł poruszyć zbyt głęboko rozpacz, a ja mogłam tego nie przetrzymać. Dlatego zrobili to przez Ankę, drogą okrężną, by złagodzić cios informacyjny. Jestem w rozsypce i ładowanie we mnie zbyt wiele może jedynie doprowadzić do spustoszenia i katastrofy. Przecież Tadeusz nie może wiedzieć na odległość, ile jestem w stanie przyjąć bez nowej tragedii. Liczyli na coś innego, że Anka przyjmie to spokojniej. Nie przewidzieli, że dla Anki to też będzie za dużo, nie widzieli jej rozpacz, kiedy umierałam. I ja niczego nie wyjaśniająca, stały jej lęk i niepewność, co jeszcze uczynię. A ja zapatrzona w swoje szaleństwo nie pomagałam jej w niczym.

Tadeuszu, Tadeuszu, co ze mną będzie? Czy wytrzymam samotność? Nie byłam przygotowana na powrót tutaj. Teraz już wiem, że tamta decyzja była ostateczna. Byłam przerażona, że mnie odratowano.

Ojciec mnie zdradził. Ojciec, który chciał mego przyjścia na świat, popadł w alkoholizm i wyzywał mnie, 14-letnią, od kurwy. Znieruchomiałam na przyjazny gest ze strony mężczyzny.

Byłam wtedy czysta, ból był nie do wytrzymania. Zabijałam go w sobie bezsensownym buntem, alkoholem, narkotykami, autoagresją. Kłamstwo rodziło kłamstwo, aż przyszedł gwałt, który był dopełnieniem.

Nigdy nikomu o tym nie powiedziałam. Nie, powiedziałam Ewie, lekceważąco, że to dawno i już nieważne. To ona nauczyła mnie z powrotem nie bać się dotyku mężczyzny i ona, na koniec, z powrotem to zniszczyła, byłam tylko kolejną jej ofiarą.

Usiłowałam to odbudować, weszłam w świat mężczyzn, w karate, gdzie jedynym dotykiem było kopnięcie czy cios ręką. Już się tego nie bałam. Wtedy przestałam się bać ciała drugiego człowieka.

To milczenie ojca było wobec mnie takie okrutne. Nigdy mnie nie przeprosił. Nie jesteś moim ojcem, Tadeuszu, nie jesteś. To ojciec traktował mnie jak śmierdzące gówno.

Po sześciu dniach ciężkiej pracy autoanalitycznej zdjęłam z Tadeusza projekcję ojca. Teraz zrozumiałam, dlaczego milczałam wobec niego przez trzy lata naszej znajomości.

Widziałam w nim „niemego” ojca, który jest surowy i ocenia, któremu nie mogę zaufać, bo mnie „skrzywdził”.

Tadeusz pierwszy do mnie przemówił i mogłam mu odpowiedzieć. Odczułam ogromną ulgę, że nie jest moim „ojcem”, stał się przyjacielem, wobec którego mogłam się obnażyć, opowiedzieć życie na tyle, na ile pamiętałam, i w jakim momencie prawdy o sobie byłam.

Pierwszy krok, chyba najtrudniejszy, został zrobiony. Oto zwierzałam się prawdziwemu przyjacielowi, który chciał mnie wysłuchać, nie potępiał i radami podprowadzał na właściwe tory. W gąszczu ścieżek do nieświadomości mogłam zgubić się całkowicie, lecz on czuwał i wiedział, że odnalazłam furtkę do swego wnętrza.

7 lutego przyjechała do mnie Kasia, jedyna osoba, z którą nie zerwałam kontaktu listowego i zrobiłam pierwszy pozytywny gest wobec siebie – ofiarowałam się w przyjaźni, opowiedziałam jej w skrócie, co się ze mną działo przez ostatnie miesiące. Nie opowiedziałam historii mego życia, dla mnie samej była ona mglista.

Wyznałam prawdę o schizofrenii, skamienieniu, bezmiłości, przegranej rodzinie, kiedy dziecko nie jest superdzieckiem i nie może spełniać oczekiwań rodziców i żyć według ich wyobrażeń.

Demon śmierci podstępnie czuwał.

9 lutego

Boże, jaka byłam okrutna wobec siebie. Jeszcze sobie nie ufam. Nadal stanowią dla siebie zbyt wielkie zagrożenie, lecz być może...

Projektuję na pewnych mężczyzn gwałciela. Czego od nich oczekuję? Przytulenia zamiast skrzywdzenia.

Wolałam umrzeć. Jak teraz unieść prawdę? Jak siebie teraz unieść?

Dzisiaj nie czuję ulgi. Dzisiaj ponownie czuję przerażenie, bo znowu dotknęłam prawdy i moja rozpacz się pogłębiła.

Tadeuszu, co ze mną będzie?

Jak to wytrzymać? Czy wyznanie prawdy wystarczy, by wejść w życie? Nie. Potrzeba to wszystko przewartościować. Czy zdążę, czy dam sobie szansę?

Jak ja to zrobiłam, że zniszczyłam siebie, tak, właśnie tak, po prostu zniszczyłam siebie.

10 lutego

Tadeuszu, miałam sen. Jeździłam konno po lesie, ścigana przez tajemniczego mężczyznę o

bardzo silnej władzy, chcącego mnie skrzywdzić – gwałciciela? Wszystkie ścieżki urywały się w gąszczu, a ja znalazłam się w pułapce, w małej skrzyni. Jak niewolnica. Nadal jestem zniewolona, nadal czuję się jak w pułapce.

We śnie pomagał mi przez chwilę brat, który mnie opuścił, zostawił w lesie.

Kiedy byłam mała, nie chciałam być dziewczynką, weszłam w męskość, bo to mój brat był wybrany przez matkę, on był jej wyczekiwany dzieckiem, nie ja. Chciałam zająć miejsce brata, nie wystarczyła mi miłość ojca. A potem ojciec zaczął pić i już nikt mnie nie kochał, a do tego zdradził mnie przekleństwami, moralnym znęcaniem się. Obcy mężczyzna dopełnił gwałtu, brutalnego gwałtu seksualnego. A ja skamieniałam do końca. Ile projekcji było później.

Tadeusz i Czarek byli dla mnie ojcem i synem, czyli moim ojcem i bratem.

Jestem skrajnie wyczerpana. W ciągu 10 dni doszłam do zarodka samej siebie i być może się rozwinę, narodzę, urosnę. Jeżeli po drodze nie dokonam aborcji. Nie wiem, czy moja matka chciała mnie usunąć, nie pozwalał jej na to, na poziomie świadomym, nakaz religijno –moralny. Nie wiem, co czuła, co myślała.

Wiem, że mnie nie chciała. Teraz ja muszę siebie chcieć, by się narodzić.

To rodzice zapędzili mnie do pułapki – gwałtu.

Czy dokonam aborcji, czy wyrzucę z siebie całą resztę?

Oto, Boże, moje poczęcie, co z tym uczynię?

To początek, Boże, co dalej, co jest we mnie dalej pomiędzy aborcją, gwałtem, a ostatnią sceną bezmiłości, kiedy raniono mnie do końca i ostatecznie?

I na koniec ta psychopatka, przy której zaczęłam silniej odczuwać potrzebę czułości, zaczęłam przełamywać lęk przed ciałem człowieka. Za kawałek czułości pozwalałam sobie na utratę człowieczeństwa, na spełnienie aktu zniszczenia przez ponowny „gwałt”, tym razem przez mężczyznę i kobietę.

Boże, nie, a jednak stało się.

11 lutego

Tadeuszu, „gwałciciel” okazał się w końcu łagodny, ciepły i czuły. Projektowałam na męża Ewy, Adama – gwałciciela, po tamtym okrutnym i niszczącym gwałcie szukałam mężczyzny, który to odwróci.

Byłam dla Ewy kochankiem, a z jej mężem – rywalami, dopóki nie stałam się kochanką Adama na chwilę w tamten wieczór. Ona chciała tego, uczestniczyła, domagała się. Chciała

kochać się z obu kochankami naraz, projektowała na mnie mężczyznę. Chciała się z nami kochać, by mnie poniżyć. Mnie – dawnego kochanka, bym odeszła. Już jej nie byłam potrzebna, mogła mnie zniszczyć do końca.

Tadeuszu, czy ja to wytrzymam?

Z Adama zdjęłam projekcję gwałciciela, z matki projekcję chęci zniszczenia mnie, czyli samozniszczenia. Co muszę zdjąć z ojca? Nałóg? Milczenie – ojciec milczał wobec mnie, a ja milczałam wobec innych.

Kim była Ewa? Moim cieniem, zgwałcona przez dziadka. Kim jeszcze była? Teraz tego nie rozwiążę.

Jednak przed samą śmiercią odzyskuje się świadomość. Odzyskałam ją na moment i zdziwiona stwierdziłam w myślach, że nie oddycham. W rzeczywistości byłam bez oddechu. I zapytałam Boga, dlaczego jeszcze żyję, zamiast zapytać, dlaczego umieram, a Bóg mi powiedział – masz wracać. A mnie było tam tak dobrze, nie chciałam zdrowieć, chciałam iść za światłem, którego poszukiwałam przez całe życie. Wiem, jak się umiera. Kiedy się wchodzi w stan śmierci klinicznej, jest pięknie, jest spokojnie, no właśnie spokojnie, nareszcie bez udręki duszy.

W końcu skrzywdziła mnie kobieta, najpierw matka, a na koniec Ewa.

Zniszczył mnie mój cień – 11.02.91, godz. 20.49!!!

12 lutego

Boże, ja po prostu chciałam umrzeć. W ostatnim akcie świadomości, kiedy na chwilę odzyskałam wewnętrzną świadomość, modliłam się do Boga, by to był koniec. Zaraz potem podłączono mnie do respiratora.

Ja dokonałam aborcji na sobie, Tadeuszu!

Udało mi się dojść do początku prawdy o sobie. Była ona wciąż niewyobrażalna, nie do przyjęcia. Zapisywałam wszystko w dzienniku, całą analizę krok po kroku, kiedy z minuty na minutę odkrywałam siebie i swoje wnętrze, kiedy prawda wychodziła z każdej szczeliny podświadomości, kiedyś tak mocno wypieranej. Objawiałam się sama dla siebie i stałam listy do Tadeusza, a on przyjmował wszystko i czekał na następne. Już wiedział, że idę właściwą drogą.

Zajęta analizą nie pojmowałam, że ona mnie dotyczy, wyglądało to tak, jakbym pisała o kimś zupełnie innym. Tylko w ten sposób mogłam na razie przyjąć prawdę. Jeszcze mi się nie uwewnętrzniała. Stała obok jak książka literacka, którą pisałam. Byłam w niej jedynie postacią literacką, jakąś tam Basią, którą analizuje inna Basia – psycholog. Gdybym nie była

psychologiem, nie potrafiłabym tego dokonać. Widocznie tak miało być.

13 lutego

Aborcji siebie dokonałam na ginekologii!!! Zabiłam siebie na ginekologii. Boże, jak to się wszystko układa.

Tadeuszu, zrobiłam straszną rzecz wobec Ciebie. Walnęłam w Ciebie moim samobójstwem i jednocześnie z deklaracją milczenia. Wybacz mi to.

Boże, świadomość rozświecła się z każdą minutą.

Moje drzewo, które namalowałam przed aborcją – samobójstwem, kula ognista w korzeniach, rozszczepiająca drzewo – schizofrenia od początku istnienia! Śmierć od początku istnienia!

Chciałam to drzewo przestać Tadeuszowi, ale wtedy był „moim ojcem”.

Spośród trzech możliwych dróg, Tadeuszu: samorozwoju, samobójstwa, schizofrenii, wybrałam dwie – samobójstwo i schizofrenię. I ostatecznie, w psychozie, popełniłam samobójstwo.

Dlaczego tak się stało?

Byłam swoją matką i ojcem, i bratem, i nie było mnie. Mój cień mnie zniszczył, bo nie chciałam się z nim zintegrować, broniłam się przed nim zaciekle. I była to walka na śmierć i życie. I wzięłam z matki aborcję siebie, zamiast wybrać życie dane mi od ojca. Żyłam w piekle, wszystko robiłam, by się unicestwić, dlatego nie mogłam sobie poradzić z narkomanią, mimo że byłam w abstinencji, miałam „duszę narkomana”, zależną od gestu matki, która jednym cięciem skalpela mogła mnie zniszczyć. I tak ja wycinałam siebie po kawałku, wyrostek, migdały, wreszcie jajniki, a kiedy nie udało mi się dobić ani operacjami, ani narkotykami, ani alkoholem, więc zrobiłam to ostatecznie.

Milczenie tak okrutne wobec siebie, tak jak ojciec milczał wobec mnie, a kiedy się odzywał, dopełniał aktu zniszczenia moralnego.

Gwałt, kiedy miałam 16 lat, chodziłam z chłopakami, miałam szansę stać się kobietą, lecz po gwałcie wszystko się we mnie zamknęło.

Wybacz, Czytelniku, pewien chaos w zapisie, pragnę wiernie odtworzyć krok po kroku etapy mego przebudzenia, jakże cennego, bez terapeutów, bez leków. Wszystko stało się dzięki poruszeniu podświadomości i mojej w końcu gotowości pracy nad sobą.

Powoli odkrywałam prawdę, oddzielałam od kłamstwa, od zafałszowania mechanizmami

obronnymi. Pragnę wiernie w tekście odtworzyć autoanalizę. Dzień po dniu dowiadywałam się nowych rzeczy o moim życiu, przecież przeżytym, tylko zapomnianym.

Ewa miała wielu kochanków, a ja pozornie radziłam sobie z seksem i brakiem miłości. Akceptowałam, kiedy miała kochanka, nie była taka agresywna wobec mnie, nie raniła mocniej, jej tendencje do niszczenia mężczyzn słabły. I w końcu dwa lata temu, w sierpniu, spotkałyśmy się w łóżku. Nie był to akt homoseksualny. Nadal pragnę mężczyzny jako partnera, pragnę miłości mężczyzny i pragnę kochać.

Zostałyśmy kochankami na miesiąc. Już wtedy chciałam się zabić, jednak miałam przed sobą obóz higieny psychicznej i mówiłam sobie – może tam się uratuję. Jak było na obozie, wiesz, zrobiłeś wszystko, by mnie podnieść, wyczuleś, że jestem na skraju przepaści.

Po obozie powróciłam do mego cienia – Ewy, dręczyła mnie swoją agresją, chociaż czasami potrafiłam się obronić.

Wśród wielu kochanków znalazła męża – moją projekcję gwałciciela, mego animusa. Chyba podświadomie chciałam zająć jej miejsce, chciałam jego ciepła i czułości. I to wszystko stało się tamtej nocy. Zostałam „zgwalcona” ponownie, lecz bez tamtego okrucieństwa. Ewa doprowadziła do tej sytuacji, a ja się poddałam. Broniłam się przed tym, lecz Ewa nalegała, on był gotowy i poszliśmy do łóżka.

Rano chciałam się powiesić, było to miejsce święte dla mnie, domek babci, która mnie kochała.

Zbrukałam je.

Byłam opętana przez Animusa – gwałciciela i przez 16 lat szukałam go po to, by przekonać samą siebie, że mężczyzna nie jest okrutny. Gwałt był bardzo brutalny, jedynie, czego nie zrobił gwałciciel, to nie zabił mnie na koniec.

Tym samym byłam przez całe życie okrutna wobec siebie, to było we mnie z Animusa.

Wszystko się połączyło – aborcja emocjonalna matki, animus – niszczyciel olus, ojciec znęcający się moralnie, i obojętny brat.

Ewa zaczęła niszczyć innych, ja niszczyłam siebie.

Czuję ulgę i ból. Jak unieść taką prawdę?

Miałam prorocze sny, topiłam się w gnojówce w domku babci, i tak się stało w rzeczywistości, w tym miejscu.

Na tym polega schizofrenia, jest się swoim ojcem i matką jednocześnie.

Tadeuszu, szukałam ciepła w mężczyźnie, a ona się mściła.

Ewa niszczyła mnie w każdym geście, ruchu, obdarzając czułością zadawała ból, raniła uśmiechem, poniżała w każdej sytuacji bezbronności.

14 lutego

Śnił mi się obóz koncentracyjny – mam ogromne poczucie bezradności, znowu element zagłady przez innych.

Kiedy byliśmy kochankami, ja byłam kolejnym mężczyzną, na którym trzeba było dokonać aktu zemsty.

Czuję taką ulgę, przerażenie i ból. I poczucie winy, które mnie rozdeptuje.

Tak, tak było. Boże, jaka jestem udręczona. Jak to opanować, doszłam doprawdy i nie czuję ulgi.

Wiedziałam o wszystkim od dawna, a dopiero teraz sobie to uświadomiłam.

Boże, czyja to wytrzymam. Teraz kiedy tyle wiem, nie pozwól mi siebie unicestwić.

Nie, Panie, nie jestem gotowa. Teraz czas na miłość, proszę.

Tego dnia obudziłam się o trzeciej nad ranem w stanie skrajnego napięcia psychicznego i pytałam siebie, dlaczego śnię obóz koncentracyjny, dlaczego stale widzę zagładę, eksterminację. Pytałam siebie, skąd takie przeżycia, przecież nie było mnie w tamtych czasach, kiedy istniały obozy zagłady.

Bruno Bettelheim w swoim eseju o schizofrenii wyjaśnia ten stan rzeczy. Obóz koncentracyjny miał na celu zdeintegrowanie osobowości. Istnieją analogie między tą sytuacją a okolicznościami, które leżą u podłoża cierpienia osoby psychotycznej. Ocalenie z obozu to ponowne zintegrowanie osobowości.

Wiąże się to z nieprawidłową więzią z matką od urodzenia. Jest to reakcja na sytuację całkowitej bezsilności, druzgocący wpływ na osobę, która była na nią absolutnie nie przygotowana, niemożność wyzwolenia się z niej, prawdopodobieństwo, że nigdy się nie skończy, a będzie to trwać do końca życia. Jest to fakt, że życie było w każdej chwili zagrożone, wreszcie to, że było się bezbronnym.

Skrajne doświadczenia prowadzą do radykalnych zmian w strukturze osobowości. Pojawiają się tendencje samobójcze, niemożność jedzenia, katatonie, depresja, urojenia prześladowcze, utrata pamięci. Więźniowie z obozów reagowali w sposób schizofrenopodobny.

Dziecko schizofreniczne czuje się i żyje dokładnie tak, jak więzień obozu

koncentracyjnego, czuje się pozbawione nadziei i zdane na łaskę irracjonalnych i destruktywnych sił.

W takich okolicznościach ego nie jest w stanie uchronić osobowości przed niszczącym oddziaływaniem świata zewnętrznego – nie ocenia adekwatnie rzeczywistości, ani nie przewiduje przyszłości. Dla rozwoju schizofrenii dziecięcej wystarczy, by małe dziecko było przekonane, że jego życiem rządzą bezwzględne, irracjonalne moce, które mają totalną kontrolę nad jego egzystencją i dla których egzystencja nie przedstawia żadnych wartości.

Tak więc psychologicznym źródłem schizofrenii dziecięcej jest subiektywne poczucie dziecka, że żyje stale w sytuacji skrajnej, że jest całkowicie bezsilne wobec śmiertelnych zagrożeń, na łasce bezwzględnych mocy, pozbawione jakiegokolwiek więzi osobistej, przynoszącej mu zaspokojenie jego potrzeb.

Nie mogąc unieść ciężaru tego poranka, kiedy we mnie objawił się obóz koncentracyjny i poczucie totalnego zagrożenia, zadzwoniłam do Tadeusza o siódmej rano.

Rano zadzwoniłam do Tadeusza. Jeszcze nie otrzymał najważniejszych listów, lecz czuję, że idę do przodu.

I stało się.

Powiedział, że jeżeli jeszcze czuję się winna, to znaczy, że się nie narodziłam.

I Boże, w poczekalni u dentysty, półtorej godziny później, narodziłam się.

Od razu wysłałam kartkę do Tadeusza: Nie czuję się winna. Ostatnim i pierwszym poczuciem winy było to, że się urodziłam, że żyję. Tadeuszu, przegryzłam ścianę – macicę. Urodziłam się 14 lutego 1991 o godz. 8.24.

Boże, ja cały czas żyłam w potępieniu siebie za to, że żyję. Jestem. Amen.

Tadeuszu, czuję ogromną ulgę, radość i brak tego, który by mnie przytulił, nie ojca, nie kochanka, lecz przyjaciela, by był blisko.

We wrześniu 90 roku pisałam „Kokainę” i misternie przygotowywałam się do śmierci.

Motyw powieści – jest to wyznanie dziewczyny, której śmierć daje miesiąc świadomości czasu.

Dziewczyna woli umrzeć niż pokochać, jest w ostatnim stadium kokainizmu – psychozie.

Opisałam mój cień.

I teraz rodzi się we mnie pytanie, dlaczego musiałam aż umrzeć, by się narodzić.

A może to pytanie o potęgę Boga, Basiu?

Dzisiejszy sen o obozie koncentracyjnym pokazał, że jeszcze tkwi we mnie poczucie winy.

To genialne. To niepojęte, to wspaniałe.

Pytanie – dlaczego tak? Skazano mnie, a ja poszłam w to nieświadomie.

I wykonałam za nich wyrok.

Wydawało mi się, że zakończyłam podstawową część analizy mego życia, że odkryłam najważniejszy jego aspekt. I tak było, nie przeczuwałam, co to za sobą niesie.

Od początku mego istnienia żyłam w panicznym poczuciu winy, że istnieję, że się narodziłam, wydrukowanym mi przez matkę, od chwili narodzin, a może nawet od momentu poczęcia w łonie. A później wszystko było już tylko konsekwencją, obwiniałam się o wszystko, co się zdarzyło pomiędzy rodzicami, za wszystko, co sama uczyniłam nieświadomie.

Jaka szczęśliwa byłam przez następne dni, biegałam po mieście, tańczyłam w pokoju, śpiewałam. Sądziłam, że już nic nie może mi zagrażać, przecież przyjęłam swój poród i widmo śmierci odsunęło się raz na zawsze, aż do jakiegoś naturalnego końca w dalekiej przyszłości.

Nigdy wcześniej nie byłam taka szczęśliwa w życiu, nigdy potem.

Już świadomie miałam poczucie pewnej wiedzy, chodziło tu o koncepcję Carla Gustava Junga, na której opierałam się w autoanalizie. Wiedza ta nie dawała mi spokoju, przeczuwałam, że coś jeszcze istotnego dzieje się wewnątrz, coś nieuchronnego, czemu muszę się przyznać, wyjść naprzeciw, bo inaczej zostanę zmiądzona.

Zniszczenie „ja” powoduje psychozę. Opierałam się na koncepcji cienia – personifikacji nieświadomości indywidualnej, sumy zaniedbanych i stłumionych, nie zrealizowanych właściwości psychicznych.

Zadaniem rozwoju ego jest optymalne uwolnienie się od jaźni i zachłannych mocy nieświadomości zbiorowej, to jest zdobycie pełnej autonomii i rozszerzenie pola świadomości.

Nieświadomość indywidualna jest tłumiona przez ego. Druga połowa życia może stać się osamotniona i niepewna, jeżeli nie nastąpi adaptacja do świata wewnętrznego.

Nieświadomość zbiorowa to dziedzictwo duchowe rozwoju ludzkości, obejmuje z jednej strony sferę popędową, a z drugiej sferę archetypów. Archetypy mają jasną i ciemną stronę, przejawiającą się w formie symboli lub personifikacji. Archetypy powstają w sytuacjach granicznych, niebezpiecznych, trudności nie do pokonania; jest to stosunek między płciami (ja – ojciec), potęga dobra i zła (diabeł – Chrystus), narodziny i śmierć (próby samobójcze i zmartwychwstanie).

Nie przewidywałam w połowie lutego 1991 roku, w jaki sposób wykorzystam tę wiedzę do wyzwolenia siebie z choroby.

Obudzenie archetypów i zintegrowanie ich ze świadomością oznacza wyrwanie jednostki z izolacji i włączenie w proces kosmiczny. Archetypy są ostatecznym kryterium zdrowia i choroby, dobra i zła. Symbol to podstawowy język archetypów. Symbole są zawsze tworem nieświadomości.

Cień kolektywny obejmuje zło kolektywne, to jest popędową naturę człowieka – symbol diabła, czarownicy.

Własny cień spotykamy w formie projekcji na osoby tej samej płci. Integracja z cieniem następuje, kiedy wycofujemy się z projekcji na innych ludzi.

Drugi etap to spotkanie z obrazem własnej duszy – animą/animusem. Są to projekcje na osoby płci przeciwnej. Swego partnera wybieramy tak, że reprezentuje on nieświadomy aspekt naszej własnej psychiki.

Jung dawał możliwość wyjścia z psychozy poprzez duchowe odrodzenie dzięki kryzysom psychicznym, które wywołują przebudzenie duchowe – nadświadomość.

Cień to głównie ciemne strony charakteru, mają naturę emocjonalną, mogą wywołać coś w rodzaju obsesji czy opętania.

Skutkiem projekcji jest wyizolowanie osoby ze środowiska, jest to oparte na iluzji. Wprowadzają człowieka w stan autoerotyczny czy autystyczny, który powoduje, że widzi on świat poprzez pryzmat własnych marzeń i nie jest zdolny poznać go naprawdę. Każdy jest źródłem swojej tragedii poprzez projekcje.

Zło absolutne jest doświadczeniem rzadkim i wstrząsającym. Udało mi się go uniknąć w ostatniej chwili, ale do tego dojdę nieco później.

Animus to stosunek córki do ojca i syna do matki. Kiedy ego nie przewycięża animusa, znajduje się pod wpływem odpowiadającym obrazowi ojca. Kiedy ego nie przewycięża animy, pada ofiarą złudzenia – staje się nadczłowiekiem, półbogiem.

Opętanie przez archetypy zmienia człowieka w postać kolektywną, rodzaj maski: diabeł, szatan, zło absolutne, płomień piekielny.

Istnieje możliwość, że człowiek nie utożsami się z osobowością maniczną – taką, która jest w posiadaniu szczególnej władzy, natomiast nada jej konkretny kształt pozaświatowego

„*Ojca w niebiosach*” z atrybutem absolutności i nieświadomość uzyska absolutną

przewagę.

Tu na ziemi pozostanie bezwartościowy człowiek.

Chrystus stał się archetypem, postacią kolektywną. Ma atrybuty życia bohatera – nieprawdopodobne pochodzenie, boski ojciec, narażone na niebezpieczeństwo narodziny, ratunek w ostatniej chwili, przedwczesna dojrzałość, przewyciężenie matki i śmierć, cudowne czyny, tragiczny, wczesny koniec, symboliczne znaczenie rodzaju śmierci, pośmiertne oddziaływanie.

Chrystus urzeczywistnił ideę jaźni, nie ma ciemnej strony natury, jest bez grzechu. Lecz bez zintegrowania zła nie ma całości. Pasja Chrystusa oznacza cierpienie Boga spowodowane nieprawidłowością świata i ciemności tkwiące w człowieku. Kiedy człowiek wkracza w nieświadomość, wchodzi w sferę boską. Tam bierze udział w cierpieniu Boga.

Im bardziej człowiek jest oddzielony od nieświadomości, tym potężniejsze postacie przeciwstawiają się jego świadomości – albo w formie postaci boskich lub częściej w formie stanów opętania. Emocje tworzą cień, stają się niezależne od naszej woli.

Istotą diabła jest nienawiść do Boga, a Bóg pozwala na ową nienawiść. Diabeł jest postacią autonomiczną, nie można go poddać władzy boskiej, bo nie mógłby być przeciwnikiem Chrystusa.

Taka była moja wiedza o świecie psychozy, której jeszcze nie potrafiłam odnieść do siebie, lecz już istniała i pobudzała te piętra nieświadomości, które mogły przynieść albo zagładę, albo wyzwolenie.

Nie przeczuwałam w najśmielszych fantazjach, co się jeszcze wydarzy, do jakiej krainy dotrę po to, by odnaleźć swój cień, animusa i animę, ojca, matkę i wreszcie siebie, ego, które uległo rozbiciu, a teraz miało szansę na powstanie.

Jak ulepić coś, co zostało rozniesione w pył, doskonale przytłoczone archetypami, obsesjami, opętaniem?

15 lutego

Otworzyły się we mnie wszystkie zasklepiione otwory i teraz potrafię ofiarowywać i przyjmować.

Tadeuszu, tak dobrze mi się z Tobą rozmawia. Nareszcie, nareszcie lży radości.

Wiesz, jaką miałam mimo wszystko wolę życia? Zaczęłam chodzić na drugi dzień po przebudzeniu, gdy lekarze przewidywali, że to potrwa miesiąc, jeżeli w ogóle będę chodzić.

Teraz jestem kobietą, a nie chłopcem, nie identyfikuje się z ojcem, moim bratem, nie

chowam się przed brutalnością mężczyzn męskim stylem życia. Nie potrzebuję już zamaskowania.

Oto Barbara Rosiek.

Nie ma lęku?

Tego dnia odwiedziła mnie Anka i posłuchałam Tadeusza i opowiedziałam jej swoje życie.

Żałuję, że to uczyniłam, ale to Tadeusz jej ufał i schowałam głęboko własne obawy. Udała, że przyjęła moją prawdę, że nic się między nami nie zmieniło.

Dwa razy Tadeusz pomylił się co do Anki i dwa razy mogło mnie to kosztować życie. Anka deklarowała przyjaźń i pogodzenie się z moją prawdą, ja wyczytałam z jej twarzy przerażenie, które nie wynikało z troski o mnie. Byłam potrzebna, kiedy interpretowałam jej rysunki, kiedy wskazywałam drogę. Kiedy potrzebowałam wsparcia, Anka cały czas zawałala sprawę. Jej zyciorys był dla niej najważniejszy, inni się nie liczyli. Kiedy we wrześniu, przed samobójstwem, powiedziałam jej, że się sypię, poklepała mnie po ramieniu i powiedziała – poradysz sobie. Wracała właśnie ze spotkania z Tadeuszem, który pokazał jej, jak mnie wesprzeć lecz tego nie uczyniła, zapatrzona egoistycznie w swoje problemy. Oszukała mnie deklarując bliskość, oszukała mnie po to, by w przyszłości mocniej uderzyć.

18 lutego

Miałam halucynację, że się rozrastam, moje ciało zaczęło się powiększać, najpierw rozrastał się mózg, prawie mnie opływał, potem tułów, aż po paluchy stóp.

Wyjście z psychozy, nie wierzyłam, że jest to możliwe. Wiedziałeś, Tadeuszu, co się ze mną dzieje i nie można było nic zrobić.

Moje drzewo dwa lata temu na obozie, rozsypujące się, rozpadające, chore w projekcji słownej, a na rysunku już w połowie rozszczepione.

Boże, czy daleś mi aż tyle sił, by się dobić, a teraz, by się wyleczyć. Nie, to pierwsze to zła moc. Teraz zebrałam w sobie wszystkie siły, by je przeciwstawić tym niszczycielskim, i to mi się udało: Bo gdyby się nie udało, dopełniłabym aktu zniszczenia siebie.

Teraz dopiero wiem wszystko o schizofrenii, Tadeuszu. Dla tych, co wokół, maskowałam się intelektem. Dopieprzyłam Tobie – „ojcu”, wysyłając Ci pierwszy list teraz – popatrz, oto się zabiłam i rób sobie z tym, co chcesz. Bo zdrada jest najtrudniejsza do wybaczenia.

Miałam sen – śniło mi się, że chronię się przed społeczeństwem, które skazuje mnie na schizofrenię.

Byłam w tej rodzinie ofiarą i Bogiem. Psychiatryzy byli matkami. A ginekolog była ostatnią projekcją matki, z rąk której miałam zginąć.

Piękna psychoza. Byłam schizofreniczką, to niepojęte. Rzeczywiście, później w psychozach już tylko tabletki i depta „matka” – psychiatra lub „ojciec”.

Kiedy nie ma miłości – jest śmierć.

Nie wierzyłam, że można wyjść ze schizofrenii, bo nie sądziłam do końca, że jestem chora.

I dawałam sobie boskie prawo poczucia kontroli.

Posłałam Ci tę moją schizofrenie, pracę magisterską, i trzymałeś ją i czekaliśmy. Ty czekałeś, a ja pięknie w to wchodziłam. Po szpitalu krążyłam koło poradni zdrowia psychicznego i czułam, że jest to jakieś gówno, w które chcę znowu się władować. I sama, w pokoju, w czterech ścianach podjęłam straszliwą walkę o życie. W królestwie nie z tego świata, w szklanej kuli. Z Twoją pomocną dłonią –początek to Twój list, który już wszystko we mnie rozpieprzył, ale tak, bym mogła się jeszcze ratować.

W lutym nad ranem ponownie się zapętliliłam i telefon rozpaczy i nadziei do Ciebie. Twoje jedno zdanie – jeżeli czujesz się winna, to się nie narodziłaś. I narodziłam się półtorej godziny później. W ten telefon do Ciebie włożyłam wszystko. Drugi raz doszłam do kresu, lecz teraz nie dałam się.

Jaka potężna może być siła bezmiłości. Jaką potęgą jest miłość i prawda. Dobrze, że jest jeszcze Bóg, który po prostu czuwa.

Tadeuszu, Tadeuszu, Tadeuszu.

ROZDZIAŁ III

Wszystko teraz zaczęło się sypać lawinowo, z minuty na minutę opowiadałam sobie swoje życie, jeszcze chaotycznie, bojąc się sięgania do najboleśniejszych wspomnień, do stale krwawiących ran. Przeskakiwałam lata, zdarzenia, pamięć mnie wciąż zawodziła. Rwałam z siebie po kawałku własne życie, jak obdziera się ze skóry zwierzę, kalecząc czułe miejsca.

Nie miałam już czasu, podświadomie czułam, że muszę się teraz spieszyć, by w końcu wiedzieć, w jaki sposób przegrałam życie i kto mi to zafundował. Napięcie emocjonalne było tak silne, że wypychało mnie ponad prawdę, ponad kłamstwa, w sam środek nieświadomości.

Budziłam się jak po stuletnim śnie, powoli odradzałam.

19 lutego

Nie, Tadeuszu, najtrudniej wybacza się brak miłości. Teraz już potrafię się zaprzyjaźnić z rodzicami.

Dowiedziałam się, że w pracy mnie skasowali jako człowieka, zaczynając od tego, że byłam narkomanką.

Wiesz, Tadeuszu, ja od urodzenia miałam chorobę sierocą do 14 roku życia.

Zwiodłam wszystkich oprócz Ciebie, przecież tutaj funkcjonowałam. I nawet teraz, kiedy wróciłam ze szpitala, wszyscy dali się nabrać, że wracam do zdrowia, oprócz Anki, która wiedziała, że trzyma mnie śmierć za rękę, a ja nie chcę jej wypuścić. Chciałam wrócić do łona matki, pod respirator. I na szczęście Anka była cały czas przy mnie i wyczuwałam jej miłość. I w moim psychotycznym umyśle to się utrzymywało, że jednak ktoś mnie kocha.

20 lutego

Nareszcie odkryłam sens milczenia terapeutycznego. Teraz jestem spokojna, jestem na Początku, poznawszy Kres. Teraz wiele przede mną.

Nie byłam kochana przez rodziców i brata, a Bóg nie mógł mnie kochać, bo w psychozie to ja byłam Bogiem.

Boże, 18 lat byłam w schizofrenii, tak dobrze zamaskowanej, a wcześniej 14 lat w chorobie sierocej – kołysałam się jak dzieci w domach dziecka.

Tadeuszu, tak wiele się zdarzyło, mogłam umrzeć w nieświadomości. Zawarłam pakt ze śmiercią, lecz Bóg nie lubi potajemnych knowań i powiedział swoje nie.

21 lutego

W zasadzie od razu rozpoznano u mnie schizofrenie, lecz rodzice w to nie wierzyli, ani ja.

Byłam ponad to – Bóg. Maskowałam się narkotykami i to jeszcze było do przyjęcia, no tak, uzależniona. Marek Kotański podejrzewał, że coś się dzieje, lecz tłumaczono to początkiem padaczki, która w zasadzie nie odegrała roli w moim życiu. Miałam mi jedynie pomóc w jego zakończeniu.

Na studiach komunikowano mi, że jestem autystyczna, lecz tego nie przyjmowałam. A kiedy szłam w śmierć, wszyscy się tylko obawiali, by to ruszyć – i słusznie, każdy gest mógłby być katastrofą. W Lublińcu, w pracy, byłam dobrze zamaskowana, pacjenci lgnęli do mnie, byłam przecież jedną z nich. Na neurologu weszłam całkowicie w śmierć. I brakowało mi ostatecznego posunięcia, kiedy wchodzi się albo w całkowita chroniczność, albo w samobójstwo.

Udało mi się i jedno, i drugie.

A w Wenecji rozmawiałam z diabłem.

Bóg jest teraz Bogiem, ojciec – ojcem. Kim był gwałciciel? Jaki jest mój animus? Czy gwałciciel był takim moim cieniem, jak Ewa? Czy po prostu tamtej nocy nie spotkałam się z moim rozszczepionym cieniem?

Wszystko wiedziałam, tego że mam psychozę, nie potrafiłam sobie uświadomić. Nie mogłam tego uczynić, bo chciałam wrócić z Ziemi do siebie, jak Maty Księżę, jak Bóg oczywiście.

Gdybym w psychozie była Matką Boską, byłoby mi łatwiej. Nie, coś pieprzę.

Kim byłam w czasie gwałtu?

Noc. Coś mi się przypomina, Tadeuszu, walka, straszliwa walka w czasie gwałtu. Dwa lata później zaczęłam trenować karate w celu samoobrony. Czy w celu ataku? Muszę przejść przez ten gwałt, inaczej przez to nie przebrnę. Walczyłam jak Mężczyzna? Co robi w takiej sytuacji kobieta? Czy była to walka „dwóch mężczyzn”? Od urodzenia chciałam być chłopcem. Potem, na moment, byłam dziewczyną, kiedy chodziłam z chłopakiem, miałam szansę na właściwą identyfikację z własną płcią. Po gwałcie w ogóle nie mogłam się zbliżyć do mężczyzny. W tym czasie zaczęła się moja psychoza, ojciec stał się kolejnym zagrożeniem ze strony mężczyzny.

Sam jego dotyk wzbudzał we mnie wstręt. Zupełnie uciekłam w męskość. Zaczęłam czasami powracać do stanu kobiety po poznaniu Ewy, która i tak projektowała na mnie mężczyznę.

Co było w łóżku, kiedy byliśmy we troje? Byłam mężczyzną i kobietą? Paranoja.

To niepojęte, jak potrafiłam przez ostatnie lata ukrywać halucynacje, oprócz ostatniej fazy.

Odwiedzała mnie śmierć, a raczej była wzywana boską mocą. Na obozie terapeutycznym czułam, że eksploduję, chciałam iść w topiel, w morze. Czułam się winna, że żyję z kobietą, a nie byłam homoseksualna. Ten dziennik zniszczyłam.

22 lutego

Noc – kolejne listy do Tadeusza. Drugi obóz terapeutyczny, włączam Ankę w psychotyczną rodzinę, w rywalizację siostrzaną. Wtedy zorientowałam się, że mam problem różnicowania płci u siebie. I sny – chciałam zniszczyć ojca – alkoholika. Sen mi pokazał, że nie potrafię kochać się jak kobieta.

Byłam bardziej boska po pierwszym obozie, po drugim pojawiło się uczucie prześladowania, opętania. Motyw lustra – osaczenia przez samą siebie. Bałam się powrotu picia ojca. Na początku życzyłam mu śmierci, a to wzbudzało poczucie winy.

Nic nie mogło mnie powstrzymać od dalszej analizy. To była szansa, chociaż Jung był przeciwny głębokiej analizie w psychozach, nie miałam już nic do stracenia. Miałam wszystko do wygrania. Z fragmentów analizy powoli wyłaniał się spójny obraz, który dawał szansę na wyzdrowienie.

Nie liczył się koszmar prawdy, liczyło się jej poznanie, jakakolwiek by ona nie była.

Dlaczego ludzie stale mnie ranili? Nie potrafiłam się obronić żyjąc w świecie fantazji i rojeń, stawiałam się łatwym łupem dla osobowości psychopatycznych. Ludzie żyją projekcjami i mszczą się na innych za nieudane życie.

Piszę ten tekst, jest to obrachunek ze wszystkimi, którzy chcieli mnie zniszczyć. Obrachunek z całą moją naturą. Z paranoją, w którą dałam się wmanipulować. Niestety, dałam się im, pokonali mnie do końca, lecz mimo to wygrałam. Doszłam do jądra świadomości, doszłam do prawdy. I nie mogłam się z nią pogodzić. Nie mogłam w nią uwierzyć. Była dla mnie samej zbyt mocna. Nic dziwnego, że niektórzy się odwrócili, z zazdrości, z zawiści, doskonale egoistyczni, sądzili, że to ich życiorysy są tragiczne. Tak było z Anką.

A ja, pomimo choroby, pomagałam ludziom, godziłam do pewnego momentu dwa światy, a kiedy się rozpadłam, stałam się zbędna, bo to mnie trzeba było pomóc. Są na mnie wściekli, że mimo wszystko to przeżyłam, uniosłam, kiedy powinnam się poddać, załamać. Jaką siłę miałam w bezsilności.

Mój życiorys jest dla wielu nie do uniesienia. Poraża ich niepojętą siłą tragiczną. I jeszcze śmiałam to opisywać, publicznie ogłaszać. Prowokuję, odpowiada mi ciemnota i histeria małych dusz. Zazdroszczą mi buntu, tak jak Anka, która nie miała odwagi sama się przeciwstawić.

Uczę się przed nimi bronić.

Nie wiem, kiedy opublikuję ten tekst i czy w ogóle to uczynię. Wiem, co może spowodować.

Ilu wrogów może mnie zaatakować, lecz ilu przyjaciół mogę zyskać. Takie jest życie, nieustanna walka, może mnie w końcu nie dopadną.

Nie będą mieli już takiej siły. Przez trzydzieści lat swego życia niosłam cały ciężar upokorzenia i samozagłady, nie skarżąc się nikomu. Niosłam swoją tajemnicę doskonale zamaskowana w okrutnym cierpieniu. Wydawało się, że jestem już spokojna, że przeszłość mnie nie dotyczy. Nie było tu bliskiego człowieka, który by odczytał, jaką tragedię noszę. Dopiero Tadeusz wyczuł, że dzieje się coś niedobrego.

23 lutego

Matką Boską była matka Anki, która uratowała ml życie w klinice, kiedy w agonii nie było żadnej szansy, ona znalazła ratunek.

Nigdy nie zgodziłam się na interwencję chirurgiczną w moje serce, bo to ja byłam Bogiem – sercem, który obdarzał miłością.

Momenty pozytywne do 14 roku życia to miłość ojca. W chorobie sieroczej byłam od razu, bo byłam odrzucona przez matkę, lecz ojciec był kochający i opiekuńczy. Zaczął pić, kiedy miałam około 10 lat, to mnie jeszcze nie dotyczyło. Potem w domu rosło napięcie, nie wytrzymywałam tego, zaczęłam się buntować, pić alkohol, rozrabiać w szkole, cała siódma klasa to jedna wielka „awantura o Basię”. I wreszcie ojciec zaczął mnie niszczyć psychicznie, wyzywając od kurwy, to był szok nie do zniesienia. Ojciec upadł jako autorytet.

I na obozie spotkałam Ciebie – ideał ojca, i brata – Czarka, z poczuciem, że was nic nie obchodzi. Uderzyłam w boskość jeszcze mocniej, by to przetrzymać. I paniczny lęk przed Tobą, Tadeuszu.

Dziadek kojarzy mi się z pierwszym przeżyciem śmierci. Umarł, kiedy miałam 4 lata. Babcia też była święta, po prostu mnie kochała, nigdy nie potępiła, nie pozwalała karać.

Ojciec niósł w sobie ogromną wolę życia, przeżył, 6 lat Syberii.

Byłam także moim bratem, niszczyłam jego zabawki, chciałam zająć jego miejsce i

dręczyło mnie od razu poczucie winy, że go krzywdzę. Byłam tak z nim zidentyfikowana, że nie potrafiłam się bez niego poruszać. Brat jest trzy lata starszy i kiedy wyszedł z przedszkola i poszedł do szkoły, wpadłam w panikę. Od razu zaczęłam z nim rywalizować w nauce. Dzięki temu rozwijałam swój intelekt. Musiałam być lepsza chociaż w tym. Brata także obwiniałam o gwałt, że mnie zostawił samą w okresie dojrzewania, nie mieliśmy już ze sobą nic wspólnego, jak dwoje obcych ludzi.

W 14 roku życia pojawiły się narkotyki. Opętanie! Chciałam być narkomanką. Hipy, ćpuny, to mnie nie interesowało, byłam Bogiem, mogłam ćpać sama.

Marzena, młodsza „siostra”, to 18 rok życia, zgwałcona przez ojca! Umierała przy mnie, obok mnie, razem umierałyśmy naprzemiennie. Uciekałam od niej i wracałam. Umarła, kiedy byłam na trzecim roku studiów. Ona, odrzucona przez matkę, błagająca o jej miłość.

Wartościowanie, wartościowanie – zniszczyłam ten dziennik, obejmował cały sierpień – wrzesień 88 roku, kiedy rozpadłam się całkowicie, kiedy mocniej walczyłam z cieniem.

Balam się ciemności – śmierci. Ciemności przestałam się bać po wejściu w psychozę, w niebie jest jasno.

Dzienniki z 18 roku życia – wiesz, narkotyki nie odgrywały takiej istotnej roli jak znacznie później. Wszystko kontrolowałam jak Bóg, nie mogło mi się przydarzyć nic złego, tak sądziłam.

Gwałt uderza we mnie stale. Bóg walczy ze złem? Z pierwszym objawieniem diabła? Wygrywam boską mocą, nie zostałam zamordowana.

Psychiatra kilka dni później powiedziała mi, że mam schizofrenię – to 16 rok życia. To mnie poraziło, „Matka” wciska mi zło – słaby intelekt, co stanowiło dla mnie istotę związku z matką.

I nikt już nie był w stanie wydobyć ze mnie prawdy, oprócz kilku urojeń i to tak zamaskowanych, że funkcjonowałam jako osoba normalna. W kłótniach rodziców usłyszałam, że matka nie chciała moich narodzin. Teraz śmierć była na każde wezwanie.

To chyba było wcześniej, jednocześnie śmierć i psychoza.

16 rok życia – pierwsza hospitalizacja, ja – Bóg zamknięta za kratami psychiatria, leczona insuliną i neuroleptykami, trochę mnie to wyciszyło, lecz nie na długo. W domu było stale piekło, z którego uciekłam właśnie w gwałt. Potem następne szpitale psychiatryczne. Łazili koło mojej schizofrenii i w zasadzie nie wiedzieli do końca, czy jest, ale dostawałam neuroleptyki przez pół roku. Miałam w szpitalu swobodę poruszania, byłam odizolowana od piekła.

Jednak trzeba było wrócić do domu i do szkoły.

Przestałam brać leki, czasami odwiedzałam „matkę” psychiatrę, kiedy narastało we mnie napięcie i lęk. Po cichu bratam narkotyki, przez półtora roku byłam w ciągu. W końcu nie byłam w stanie tego przetrzymać, dom to miejsce piekielne. Łopatkowa załatwiła mi pobyt u

Kotańskiego w Garwolinie. Miałam skończone 18 lat.

Tam zupełnie się zamknęłam, znowu zniewolona boskość, lekarze wymyślają mi padaczkę na podstawie zapisu EEG.

Marek Kotański pytał mnie, czy halucynuję, leczą mnie przeciwpadaczkowo. Ojciec w tym czasie podjął leczenie odwykowe. Miałam wtedy dużo urojeń, w zasadzie wszyscy byli w nie wciągani. Kotański był projekcją ojca ziemskiego. Byłam ponad nim, w niczym mi nie zagrażał.

Pojawiał się stale motyw samobójstwa, co personel wyczuwał, jednak tłumaczyli to głodem narkotycznym. Wcześniej miałam przekonanie, że ojciec mnie nienawidzi. Pojawiła się nienawiść do mężczyzn, w snach mordowałam i byłam zabijana. Miałam stale poczucie winy wobec rodziców z powodu narkotyków. Tęskniłam za domem. Zaczął się pojawiać motyw szatana, wypierałam go.

W 15 roku życia podpaliłam swoją szkołę, już w psychozie, fascynował mnie ogień. Ciągłe gdzieś ten diabeł się przewija w Garwolinie. Pojawił się w snach wyrok śmierci i to, że nie ma go kto wykonać. Psychiatra jest oczywiście projekcją matki. Mój intelekt nadal się rozwijał, miałam najlepsze oceny w szkole ze wszystkich ópunów.

Na oddziale złamałam abstynencję i znowu zawiodłam „rodziców”. Zawsze byłam bliżej terapeutów niż rówieśników, usiłowałam sobie skonstruować rodzinę.

W Garwolinie szłam w potępienie, w szatana. Od początku szłam w ogień, to znaczy byłam i Bogiem, i szatanem?

Halucynowałam i ukrywałam to przed nimi. Zaczęłam słyszeć głosy nakazujące. Widziałam wszędzie ogień.

Popatrz, Tadeuszu, wszystko miałam zapisane. I nie potrafiłam tego odczytać. Zamknęli mnie kilka razy na obserwacji, byłam bez kontaktu, niedorzeczna. Mobilizowałam się i dysymulowałam.

Milicja. To ja im włożyłam w drogę, chciałam, by mnie ukarano, nic im nie mówiłam, stale mnie do siebie wzywali na przesłuchania.

Pobyt w Garwolinie to 78 rok. Halucynowałam, weszłam w Kosmos. Ogień wokół mnie

rozstał się, otworzyła się przestrzeń kosmiczna, przeszłam przez gwiazdy i napotkałam punkt, którego nie potrafiłam określić. Czułam, że jestem poza czasem. Kotański wtedy dla mnie upada, wyzwiał nas od psychopatów. Stale chciałam wejść do nieba. I normalnie uczestniczyłam w życiu oddziału, rozmawiałam z ludźmi, wykonywałam obowiązki, mówiłam, że leczę się z narkomanii. Ponownie mieli sygnały, że coś się ze mną dzieje, ale je lekceważyli.

Byłam pobudzona, rozkojarzona, w silnym niepokoju ruchowym. Znowu halucynowałam, słyszałam wołania, niestety nie mam zapisu o jakiej treści.

Pojawiła się myśl, że może jestem chora, może rzeczywiście mam schi, ale to odrzucałam.

Nakazywałam sobie opanowanie. Zaczęłam czuć potrzebę wzięcia narkotyku, wraz z tym potrzebę uśmiercenia się. Ostry rzut psychozy trwał.

Poznałam Marzenę na sali obserwacyjnej. Opowiadałam o śmierci, pająkach. Miałam jednak przekonanie, że jestem zdrowa psychicznie.

Na rysunku powiesiłam się, przekonywałam samą siebie, że jeżeli się nie unieścię, to wszystko ode mnie zależy.

Miałam przekonanie, że moje ciało to inna rzecz, że mnie nie ma. Powrócił szatan, który wota, że mam się powiesić, bym weszła do piekła.

Skończyłam w Garwolinie 19 lat i uciekłam z oddziału na lubelskie pola makowe. W halucynacjach dominowały zwierzęta – potwory.

Zawiązała się nasza śmiertelna przyjaźń z Marzeną.

Miałam totalny blok na Kościół nie ma w nim Boga, już nie mogło być, omijałam kościoły, twierdząc, że jestem ateistką.

Po powrocie do domu z leczenia dalej trenowałam karate, pracowałam nad ciałem. W domu ojciec już nie pił, miałam urojenia mocy – kreowania życia. W dzień byłam boska, w nocy przychodziła śmierć. Zauważyłam, że zachowuję się jak mężczyzna. W szkole miałam już spokój, to klasa maturalna. Często goliłam włosy, stale przewijał się motyw samobójstwa. W domu był pozorny spokój, rodzice pracowali, brat się uczył.

Miałam pozorną swobodę w decydowaniu. Cały czas byłam w czynnej psychozie, miałam zaburzenia poczucia czasu i przestrzeni. Byłam Tu i Tam. Wypierałam rodziców, prawie ich nie ma w dzienniku. Byłam rozszczepiona na tego drugiego – mężczyznę. On istniał, on Bóg, lecz alter ego, męskie alter ego.

ROZDZIAŁ IV

Wybacz mi, Czytelniku, pewien chaos w zapisie zdarzeń. Chciałam pokazać kolejne kroki budzenia się mej świadomości. Nie chciałam, by to była kolejna książka biograficzna, jakich jest wiele w literaturze, dlatego nie zachowuję chronologii zdarzeń z życiorysu. Pokazuję tutaj odzyskiwanie wiedzy o sobie w procesie autoanalizy, w procesie zdrowienia, niesamowitego przebudzenia po 30 latach psychozy i zdrowia, udręki i sukcesów, porażek, ogromnych przegranych, poprzez zagładę po całkowite zwycięstwo.

Czułam sama, że chaotycznie biegam po moich dziennikach, jakby bojąc się ujrzeć prawdę do końca. Czułam, że znowu stanęłam w martwym punkcie i poruszam się wokół zamiast iść do przodu. Zadzwoiłam do Tadeusza, który ponownie wskazał mi drogę. Wystarczyło jedno hasło – bodziec: przeżyłaś to, bo miałaś silne ciało, inaczej mogłaś zginąć.

Ciało, ciało, wyczułam, że jest to klucz do dalszej pracy. Tadeusz nie mógł mi powiedzieć wprost, bo mogłam ponownie się schować w zaprzeczeniu, wystraszyć.

Siedziałam nad tym kluczem dniami i nocami i znalazłam dalszą prawdę:

Tadeuszu, mam to!!!

13, 14 rok życia – zdrada ojca przez picie, opuszcza mnie, traci autorytet, dowiedziałam się, że matka mnie nie chciała, od razu weszłam w urojenia grzeczności i winy. Dom był piekłem, które chciało mnie wchłonąć. Ojciec oskarżycielem, walczyłam z nim, walczyłam z potępieniem, walczyłam z szatanem. Kusił mnie stale szatan, więc zamieniłam go najpierw na alkohol, potem na narkotyki. Nawet dobrze, że nie mam dzienników z tamtego okresu, musiało się to we mnie samo otworzyć, teraz ma inną wartość.

Nie byłam w stanie już przyjąć tego cienia – szatana, byłam w stanie brać narkotyki, zabijać nimi lęk, przerażenie, seks. Bóg potem zwyciężył na wiele lat, dojdę do tego. Matka była śmiercią, ojciec szatanem, a ja musiałem stać się Bogiem albo od razu zginąć.

Tadeuszu, jestem oszołomiona. Na początku szłam w szatana i śmierć. Uciekałam z domu, okaleczałam się, podpalałam, by ogień piekielny płonął cały czas, wzniecałam pożary – na szczęście nikogo nie skrzywdziłam, a także nie zamknęli mnie w domu poprawczym czy więzieniu.

Dałam się katować milicji.

I moment przełomowy – gwałt, dwa lata później. Walczyłam ze złem i już zaczęta we mnie przeważać boskość. W Garwolinie mocniej się zdeintegrowałam, powrócił motyw szatana, lecz ponownie wyszłam z tej walki zwycięsko. Radziłam sobie z szatanem, lecz ze śmiercią było

trudniej. Nabierałam mocy, stale atakowała mnie boskość, przecież Bóg jest nieśmiertelny.

A może miałam stąd odejść jako Syn Boży? Jak Chrystus?

Ojej, aż strach to dalej analizować, ale trzeba przez to przejść, nie ma innej drogi.

A więc byłam boska, a kiedy diabeł w Wenecji śmiał się, upadłam. Czy wtedy stałam się kobietą? Wiem, że na koniec było nas dwie i dokonałam aborcji na żeńskim pierwiastku. Nie było już Boga, została śmierć. Diabeł w Wenecji powiedział mi, że opętanie jest całkowite, wyśmiewał mnie – boską, upadłą kobietę?

Jeszcze tego nie pamiętam. Nie bałam się diabła, chciałam, by sobie poszedł.

Naśmiewał się z mego seksu – lęku przed orgazmem, lęku przed byciem kobietą, lęku przed dotykiem mężczyzny. Boskość się skończyła, byłam kobietą w panicznym lęku przed cieniem.

W 10 dni później spotkałam się z moim cieniem – kobietą i z projekcją gwałciciela. Miałam dopełnić grzeszności, skalać miejsce święte i być potępioną na zawsze. Teraz czekała mnie już tylko śmierć, znalazłam sposobność, dokonałam aborcji siebie na ginekologii. Kiedy wybudzono mnie w końcu po narkozie i stwierdziłam że żyję, zrobiłam resztę sama. „Matka” mnie uśmierciła. Czy ponownie stałam się boska i przecięłam tę nić?

Nie było już ani szatana, ani matki – śmierci, musiałam odejść.

W klinice po samobójstwie zjadały mnie pająki od wewnątrz. Co to było? Powoli regenerowałam ciało, powróciłam do domu. Zaczęłam być chorym dzieckiem, psychoza trwała. Zaczęłam się bronić. Najpierw dopieprzyłam ojcu – Tobie. Zaczęłam się w końcu bronić!!! Atakowałam, nie wycofywałam się. Nadal halucynowałam, ale to było jakieś inne.

Znowu osaczyła mnie śmierć – planowałam spalenie dzienników. Porównywałam siebie do martwego płodu. Zastanawiałam się, czy mogę odwrócić proces, tylko nie wiedziałam jak.

Kojarzyłam, że mam darowane życie nie przez siebie, odwiedził mnie Bóg. Miałam w końcu poczucie czasu. Pojawił się lęk, niewyobrażalny. Chciałam być sobą. We śnie stale powracał

14 rok życia. Zaczęło się pojawiać niejasne poczucie choroby. Zaczęłam kojarzyć, że po prostu jestem człowiekiem.

I od 1 lutego rozpoczęłam pracę nad sobą.

Przed telefonem do Ciebie 14 lutego śniłam obóz zagłady i rano zapytałam siebie, co to oznacza. I uratował mnie ten telefon. Już nawet nie chcę myśleć, co by się stało, gdybym nie

zadzwoiła do Ciebie lub Ciebie akurat nie było.

22 lutego

Tadeuszu, trzynasty rok życia. Przestałam bać się ciemności, bo byłam skazana na śmierć i potępiona. Poruszałam się w piekle jako dusza potępiona!!! W mocy szatana!!!

Co mnie wtedy chroniło, że tak po prostu nie zginęłam w psychozie?

To prawda, co pisze Kępiński, że psychotycy mają bardzo dużą odporność na choroby i urazy, których by nie zniósł zwykły człowiek. Bo to jest nie do uniesienia.

Sama dokonałam na sobie gwałtu za ojca szatana. Mój Boże, teraz byłam już w pełni potępiona.

Ojciec Boski, Ty, Tadeuszu, potępiłeś mnie. Anka w szpitalu powiedziała mi, że jesteś na mnie wściekły.

Szukałam Boga – ojca, by mnie wyzwolił spod władzy szatana, bym mocniej weszła w boskość – i tak się stało na obozie.

Do Ciebie zawsze pisałam w chorobie, kiedy zawodziło mnie ciało. I Twoje wiersze skierowane do mnie i medytacja o samotności. To wszystko układa się w całość, niepojęte. Nie znam się na religii, lecz jest coś takiego jak „serce Chrystusa”. I mój opór w tej sprawie – syn boży zesłany na ziemię, kuszony przez szatana. Ojej!!!

Padaczka stanowiła również element opętania, miałam nad nią całkowitą kontrolę. Była mi potrzebna po to, by ojciec ziemski – profesor, mną się interesował.

I stałeś się ziemskim ojcem, któremu teraz dopieprzyłam. Ja stałam się kobietą.

Nie miałam Cię pokonać w czasie wartościowania, lecz miałam Cię przekonać, że jestem synem bożym, swego Boga – ojca.

A więc ja, syn – boży, miałam Matkę Boską, która czuwała, szatana – kusiciela i śmierć, która miała stać się spełnieniem, miałam powrócić do Boga – ojca. Wniebowstąpienie.

Dlatego nie znosiłam Bożego Narodzenia, wołałam Wielkanoc.

Ale numer, Tadeuszu, ja rzeczywiście cierpiałam za miliony. Kiedy czytałam Kępińskiego, nie potrafiłam sobie tego wyobrazić jak jest to możliwe.

Popatrz, mam 32 lata. Gdyby nie było „przyspieszenia”, odeszłabym za rok, jak Chrystus.

Ta granica mego ziemskiego bytowania już gdzieś się przewija, poszukam tego.

W nocy drugiego gwałtu stałam się kobietą. Nie powiesiłam się od razu, bo babcia z zaświatów czuwała nade mną. W domu piłam alkohol, ten cień był do przyjęcia. I czekałam, i

pisalam „Kokainę”. Tekst „Kokainy” od razu poszłam do wydawnictwa, jej ciężar był nie do uniesienia w Królestwie Bożym. I już byłam gotowa odejść, wszystko zostało zakończone.

W końcu przełamalam lęk i położyłam przed sobą stos dzienników, by rok po roku przeanalizować zapis. Wyruszyłam w tę podróż zupełnie sama, nie przewidując, co się wydarzy, co mnie zaskoczy i jakie tajemnice mego istnienia jeszcze odkryję.

R.D. Laing tak podchodzi do tej wewnętrznej podróży zwanej schizofrenią. Człowiek wkracza w inny świat, gubi się w nim całkowicie i pada ofiarą lęku, spotykając się u innych jedynie z niezrozumieniem. Jedni ludzie rozmyślnie, inni mimo woli wkraczają lub też zostają wrzuceni w totalną wewnętrzną czasoprzestrzeń.

Czasami ktoś po przejściu na drugą stronę zwierciadła, po przejściu przez ucho igielne, w krainie, gdzie się znalazł, odnajduje własną utraconą ojczyznę, ale większość tych, którzy wkroczyli w wewnętrzną czasoprzestrzeń, znajduje się w krainie im nie znanej, toteż popada w przerażenie i dezorientację.

Ludzie ci czują się zagubieni. Zapomnieli, że kiedyś tu byli, walczą z narastającym chaosem, uciekają się do projekcji i introjekcji. Nie wiedzą i nie rozumieją, co się dzieje, i nie ma nikogo, kto by ich oświecił.

W doświadczeniu utraty ego nie ma nic z patologii, ale znalezienie żywego kontekstu dla wewnętrznej podróży, z którą wiąże się ta utrata, może okazać się bardzo trudne.

Jest to podróż, którą przeżywa się jako posuwanie się coraz dalej w głąb, jako cofanie się ku początkom dziejów własnego życia, jako posuwanie się w głąb i wstecz poprzez doświadczenie całej ludzkości praczłowieka (archetypy), a być może także wyjście poza nie i wkroczenie w sferę istnienia zwierząt i roślin.

W tej podróży jesteśmy wiele razy narażeni na utratę drogi, dezorientację, częściowe niepowodzenia, a nawet całkowitą klęskę, przychodzi nam przeżyć wiele lęków i spotkać wiele duchów i demonów, które możemy pokonać lub które mogą pokonać nas.

Zamiast szpitala psychiatrycznego potrzeba miejsca, gdzie ci, którzy w swej wyprawie dotarli dalej i wskutek tego mogą być bardziej zagubieni, byłoby w stanie znajdować dalszą drogę w głąb wewnętrznej czasoprzestrzeni, jak i drogę powrotną.

Potrzebują oni ceremoniału inicjacji – przy jego pomocy i zachęcie ze strony społeczeństwa, ludzie, którzy byli w wewnętrznej czasoprzestrzeni i z niej powrócili, wprowadzą do niej następnych.

Oznacza to przedsięwzięcie podróży:

I. ze świata zewnętrznego do wewnętrznego

II. za życia pewien rodzaj śmierci

III. przejście od progresji do regresji

IV. od ruchu czasu do zatrzymania się czasu

V. z czasu doczesnego w czas eoniczny

VI. od ego do jaźni, do łona wszystkich rzeczy – do świata prenatalnego – a następnie podjęcie podróży powrotnej:

1. ze świata wewnętrznego do świata zewnętrznego

2. ze śmierci do życia

3. przejście od regresji do ponownej progresji

4. od nieśmiertelności z powrotem do śmiertelności

5. z wieczności w czas

6. od jaźni do ego

7. od kosmicznej fetalizacji do egzystencjalnego odrodzenia.

Być może powinniśmy zachować tę – dziś już starą nazwę, i zrozumieć ją w znaczeniu zgodnym z jej etymologią – schiz – pęknięty, złamany, phrenos – dusza, serce.

Doświadczenia transcendentale, które są czasami dostępne w psychozie, to doświadczenia świata boskiego, które stanowią źródło wszelkich religii. Największemu wstrząsowi ulegają same postawy ontologiczne. Byt zjawisk ulega zmianie, a zjawiska bytu zdają się prezentować nam zupełnie inną twarz. Tracimy wszelkie oparcie, wszystko, czego zazwyczaj trzymamy się kurczowo, i nie pozostaje nam nic innego jak zaledwie parę szczątków naszego umysłu, kilka wspomnień i nazw, jedna lub dwie rzeczy, które pozwalają nam zachować więź ze światem dawno utraconym. A w tej pułapce pojawia się coś nowego – wypełniają ją teraz wizje i głosy, widma i dziwne kształty i zjawy.

Kiedy człowiek popada w obłąd, wówczas dochodzi do zmiany głębokiej w jego stosunku do wszystkich dziedzin bytu. Ośrodek jego przeżyć przesuwają się z ego do jaźni. Czas doczesny traci znaczenie, liczy się jedynie sfera wieczności. Jednak człowiek obłąkany jest zdeorientowany.

Ego myli mu się z jaźnią, świat wewnętrzny z zewnętrznym, naturalny z nadprzyrodzonym.

Wygnany ze sceny bytu, teraz jest obcym, dającym nam rozpaczliwe znaki z pustki zamieszkaney przez dziwne istoty.

Człowiek obłąkany stracił poczucie siebie, swych uczuć, swego miejsca w świecie. Mówi nam, że umarł. Jednakże obłąkanie nie musi być wyłącznie załamaniem. Może być także przełomem! Potencjalnie jest ono zarówno wyzwoleniem i odnową, jak niewolą i śmiercią egzystencjalną.

Egoiczne doświadczenie jest złudzeniem, stanem snu, śmierci uznanego społecznie obłądu, łonem, które trzeba opuścić, a więc dlań umrzeć, i z którego trzeba się narodzić.

Człowiek, który przechodzi przez doświadczenie utraty ego, to jest przez doświadczenie transcendentalne, może, ale nie musi ulec dezorientacji. Jeśli traci orientację, to słusznie może zostać uznany za obłąkanego. Doświadczenie bycia wchłoniętym może być dla niego prawdziwą manną z nieba.

Ale również nie każdy wraca do nas z wyprawy ze świata wewnętrznego.

Mnie prawdziwie udało się przejść przez wszystkie etapy, po całkowite odrodzenie. Miałam szczęście, nie umarłam wtedy w październiku, stał się prawdziwy cud w medycynie, że przeżyłam niemożliwe. Wierzę, że musiałam tu powrócić, by powrócić z jeszcze dalszej podróży, z moich Kosmosów, ba – z Nieba, od boskiego ojca.

Oto, Czytelniku, dalsza wspólna podróż przez moje życie, otworzyłam dzienniki na kolejnym roku – 19 roku życia.

Po wyjściu z Garwolina złapałam się kurczowo rozpoznania padaczki, która maskowała prawdziwe oblicze mego stanu ducha. Jest jakimś sensownym wytłumaczeniem moich doznań.

Chodziłam do neurologa, brałam jakieś leki, które chwilowo łagodziły lęki i stany napięcia.

Brałam także nadal narkotyki, zaczęłam trenować karate. Co jakiś czas halucynowałam, lecz to wypierałam, nie pamiętałam tego.

Walczyłam z nim – moim męskim alter ego. Cały czas w zapisie dominuje nastrój depresyjny.

Przygotowywałam jego powolną śmierć – śmierć narkomana. Uśmierciłam go 5 stycznia 78 roku samobójczą śmiercią. Moje zmartwychwstanie? To mnie przeraziło, czułam się opuszczona, myślałam o śmierci własnej. Wchodziłam w różne choroby somatyczne, było we mnie dużo autoagresji, a także wściekłości.

Chodziłam do szkoły, była to klasa maturalna, uczyłam się bardzo dobrze, chociaż wszystko ciągnęłam jakby ponad ludzkie siły – narkotyki, karate, nauka, halucynacje.

W domu był już spokój, wszyscy sądzili, że nie mam już żadnych problemów, ja sama nabrałam takiego przekonania. Wszystko odbywało się wewnątrz i nie zdawałam sobie z tego sprawy.

Przed samą maturą byłam bardziej zdeintegrowana, zaczęły się kłopoty z intelektem, stałam się bardziej autystyczna, żyłam w całkowitym osamotnieniu – jedynym bodźcem zewnętrznym był pies. W szkole trochę się mnie bali, bo nie wiedzieli, dlaczego byłam taka zamknięta.

Niestety, pies umiera przed samą maturą, byłam w rozpacz, dominował motyw śmierci, osaczenia. Zmobilizowałam się i zdałam maturę. Po niej popadłam w ogromną depresję – z przekonaniem, że jestem zdrowa psychicznie.

Zaczęłam po maturze pracę w pogotowiu ratunkowym jako sanitariuszka. Miałam projekcję gwałciciela, którego oswajam. To 20 rok życia. Jest nim mój lekarz. Szatan niósł pomoc w chorobach somatycznych, przypominał o opętaniu, byłam w jego mocy przez 10 lat, lecz boskość zawsze zwyciężała.

W domu był już spokój, śmierć miałam w pracy, wizję szatana niedaleko. W pracy przeżyłam prawdziwy wstrząs, byłam przy stwierdzeniu zgonu wisielca, który jeszcze wisiał.

Marzena w Warszawie ćpała szaleńczo, słała listy, nie chciała umierać sama. Matką była psycholog, z którą korespondowałam. Miałam śmierć, szatana, Matkę Boską. Stale mi brakowało Boga – ojca.

Prześladowały mnie nocne lęki, pełne udręczenia, przedzierałam się do Boga – ojca i ciągle coś mnie blokowało. Jeszcze nie był mój czas.

Zdawałam po raz pierwszy na studia, na psychologię – i nie dostałam się. Zawiodłam matkę.

Wszystko robiłam cały czas na pograniczu życia i śmierci, każde działanie wiązało się z ryzykiem choroby lub wypadku. Miałam dużo siły fizycznej dzięki karate, pomimo wady serca.

Jedynym przyjacielem był pies, któremu się zwierzałam.

Koszmary prześladowcze, żyłam bardzo intensywnie, miałam dużo dyżurów w pracy, treningi karate, narkotyki, w nocy paniczne lęki. Uspokajałam się trochę, kiedy pracowałam i pomagałam innym. Praca sprawiała mi dużo radości.

Halucynowałam rzadko albo o tym nie wiedziałam – pająki, które zjadają się same, ta halucynacja powróciła na koniec w szpitalu. Lekarz – szatan zakomunikował mi, że serce nie wytrzyma takiego trybu życia.

Wrzesień 1979 – Bóg zaczął mi się przyglądać, pojawił się motyw oczu, a raczej boskiego oka. Miałam kompletnie bezsenne noce, nasilały się przerażające halucynacje. Walka syna bożego z szatanem trwała. Miałam poczucie sterowania, kierowania przez inną siłę. Halucynowałam szczury i smoki. Oswoiłam w sobie szatana, już nie zagrażał mojej boskości.

Rozpacz pogłębiała się, wymykała mi się boskość – panowanie nad sercem. W zasadzie nie miałam żadnych kontaktów koleżeńskich, nie były mi potrzebne.

W styczniu 1980 roku znowu zaatakował szatan, przyszedł do mego pokoju, krzyczałam i przegoniłam go.

W lutym spotkałam się z Marzeną w Warszawie, brałyśmy bez opamiętania polską heroinę, przedawkowałam, poczułam, że boję się śmierci.

Zdecydowałam się ponownie zdawać na psychologię. Cały czas pojawiała się uczucie rozdwójenia, szłam podwójnym nurtem – śmierci i rośnięcia boskiej mocy. Obniżył się lęk przed samobójstwem.

W marcu 1980 pojawiło się pytanie, czy spalę się w ogniu piekielnym, czy wejdę do nieba.

Wyjechałam na wczasy, serce było zupełnie przeciążone i pokazywało, że stanowi zagrożenie, miałam bardzo silne duszności. Zaczęłam odpowiadać głosom, niestety nie mam zapisu, jakie to były głosy.

Skończyłam pracę w pogotowiu ratunkowym i rozpoczęłam naukę. Co jakiś czas słyszałam głosy, ale nic z tym nie robiłam.

28 kwietnia – Są momenty, w których nie mogę się opanować, robię to, czego nie chcę, nie potrafię zatrzymać odpowiedzi na słyszane głosy.

Przeżywałam skrajne stany emocjonalne, depresje, silne pobudzenia, ekstazę.

Czasami spotykałam się z ucłowieczonym szatanem, walczyłam z pożądaniem.

5 maja 1980 – Ponownie widziałam piekło, duchy pokutujące domagające się, bym tam weszła. Halucynowałam, izolowałam się, nikt nie miał pojęcia, co się ze mną działo.

Moja rodzina sobie trwała, każdy miał swoje sprawy. Ujrzałam zagładę świata. Kusił mnie ucieleśniony szatan.

Czułam, że inaczej przeżywam czas.

Zdałam na studia – lipiec 1980, i dostałam się na psychologię. Na studiach źle znosiłam oddzielenie od domu. Miałam przekonanie, że należy poznać zło, by zwyciężyło dobro.

Halucynowałam sporadycznie, bałam się moich wizji. Powróciłam na treningi karate, doskonaliłam ciało. Chodziłam rozkojarzona, ze sprzecznymi reakcjami emocjonalnymi, o czym mówiły mi koleżanki.

Miałam elementy całkowitego wyłączenia się z rzeczywistości.

Tadeuszu, smutek ogarnia mnie wielki. Co ze mną będzie? Zawsze sobie powtarzałam, że wszystko jest możliwe, było to wtedy boskie, a teraz potrzebuję wiary, że normalne życie jest możliwe.

25 lutego 1991

Tak, Tadeuszu, w nocy walczyłam z szatanem, a w dzień byłam boska. I później byłam bardziej boska, a na koniec zawładnęła mną ciemność. I kiedy śmierć mnie zabrała do piekiel, miałam szansę wstąpić do nieba.

Byłam dwoma synami, tym boskim i tym szatańskim na początku?

Ostatecznie Bóg zwyciężył. Kiedy nie weszłam do piekła jako Wielka Nierządnica, poprosiłam

Boga, by przyjął moje ciało, ciało Chrystusa do nieba. To jest zakończenie, pozostał cały środek.

Byłam rozszczepiona od początku psychozy na dwóch synów – Chrystusa i szatana.

Na studiach pojawiła się dziewczyna, która chciała zaciągnąć mnie do kościoła. Nie mogłam tam iść, to ja byłam kościołem albo szatanem.

Zaczęłam siebie podejrzewać, że może jestem chora psychicznie. Zastanawiałam się, skąd u mnie taki brak woli życia, miewałam okresy całkowitego wycofywania się. Istniałam jedynie na treningach.

20 listopada 1980 – Jestem skazana na samotną walkę. Nikt nie jest w stanie mi pomóc.

Jest nicość.

W styczniu 1981 piszę, że wolę kobiety. Podejrzewałam siebie o homoseksualizm, byłam przecież mężczyzną.

10 marca – Chciałam sobie obciąć język, by całkowicie zamilknąć. I przyszła obrona – Ale chyba wtedy nie mogłabym zostać psychologiem.

26 kwietnia 1981 – Wiem, że się zabiję.

21 maja 1981 wypiłam bardzo dużo alkoholu i odwieziono mnie do szpitala w ciężkim stanie.

Tego dnia żyłam w straszliwym napięciu. Po wybudzeniu dysymulowałam, chociaż byłam rozkojarzona i pobudzona. Wezwano psychiatrę, nie zgodziłam się na leczenie w szpitalu psychiatrycznym.

Cztery dni później nadludzkim wysiłkiem zdałam kolejny egzamin w karate, na następny pas.

Miesiąc później zdałam bardzo dobrze egzaminy kończące I rok studiów. Wcześniej pojawiła się chęć obcięcia ucha, musiałam mocno halucynować. Nie potrafiłam tego ocenić.

12 czerwca 1981 – Przeszłam w boskość, przecież śmierć mnie nie dotyczyła. Chciałam objąć miłością wszystkich ludzi. Miałam momenty krytycyzmu. W rzeczywistości przecież mnie nie ma.

Pojawiło się także uczucie nienawiści do ludzi. Miłość i nienawiść – syn boży i szatan ścierali się najmocniej.

Skończyłam 22 lata.

W wakacje ponownie pracowałam w pogotowiu ratunkowym. Odwiedziła mnie Marzena, śmierć była oddalona, nie brałam narkotyków. Miałam poczucie bezkresu.

W sierpniu 1981 musiałam mocniej halucynować, lecz tego nie różnicowałam z rzeczywistością.

Halucynacje stały się realnością. Pojawiły się ponowne kłopoty z sercem – wada serca prowadziła do niewydolności oddechowej i lekarz – szatan sugerował, że muszę się poddać operacji serca w ciągu roku.

Przeżywałam takie stany napięcia, że sama zdecydowałam się na neuroleptyk. Mój brat wziął ślub, to jakby mnie nie dotyczyło, nie odczuwałam żadnych emocji negatywnych czy pozytywnych.

1 września 1981 miałam konsultację kardiochirurgiczną w Katowicach. Lekarz stwierdził, że nie jest mi potrzebna operacja zastawki. Natychmiast wyjechałam na obóz karate, mimo to, że nie wolno mi było stosować żadnych wysiłków.

II rok studiów.

Miałam poczucie rozsypania się, żyłam w nieustannym panicznym lęku, nie można było złapać ze mną kontaktu. Wyjaśniałam to sobie padaczką. To bzdura, problemu padaczki nie ma.

Była jedynie urojeniem. Nie wiedziałam, co się dzieje na zajęciach. Na szczęście dla mnie, wprowadzono stan wojenny. Wróciłam do domu i zaczęłam cierpieć za miliony!!!

Tadeuszu, Tadeuszu, to niepojęte.

Cały czas siedziałam w domu sama, czytając Dostojewskiego. W czasie świąt Bożego Narodzenia ojciec ponownie się upił. Wybaczyłam mu jako Chrystus.

7 stycznia 1982 – Jak to jest w tym moim Królestwie? – Miałam silną potrzebę uwolnienia się. Piszę – Chyba jest jakaś reakcja łańcuchowa, która zaczęła się w dzieciństwie, a biegnie donikąd.

Patrz, Tadeuszu, sama sobie napisałam Biblię, mimo że jej nigdy nie czytałam. Jednak boję się, że tego nie uniosę.

I dalej rok 1982.

Obsesyjnie powracałam do Małego Księcia i powrotu na swoją planetę. O tyle jest to zadziwiające, że dziennik jest pozornie normalny, lecz teraz już widzę i odczytuję tak wiele. I są jasne komunikaty o szaleństwie i bardzo zakamuflowane. Miałam potrzebę wyznawców, bardzo ukrytą. Rosło we mnie poczucie mocy i siły. Potrzeba dopełnienia losu.

Skończyła się przerwa dla studentów, trzeba było powrócić na uczelnię. Byłam oszołomiona nowymi rygorami stanu wojennego, byłam jednak ponad to. Powróciłam na treningi karate, ale już nie potrafiłam poddać się posłuszeństwu i rygorom. Nie chciałam wykonywać poleceń. Przy próbie twardości – jest to silne uderzenie w przeponę – miałam przekonanie, że nie można ruszać „tego ciała”.

Wierzyłam, że idę droga do wyzwolenia. Zaczęłam dobrze funkcjonować, zaliczyłam egzaminy, rozmawiałam więcej z ludźmi, tylko że moje ciało „nie żyje”.

24 maja 1982 – Ponownie po alkoholu byłam w szpitalu. Walczyłam z lekarzami przy próbie ratowania mi życia. Nie pamiętam momentu przejścia w załamanie. Rano uciekłam ze szpitala.

Byłam urojeniowo nastawiona, wydawało mi się, że przyglądają mi się na ulicy, osaczają.

Żyłam w tak silnym lęku, że szukałam pomocy u psychologa. Był to kolejny ziemski ojciec, który jednak zagrażał, bo chciał wejść w świat emocji, więc przestałam przychodzić na spotkania.

22 czerwca piszę – W moim świecie są już tylko cienie. Intelkt rozwijał mi się wspaniale, napisałam bardzo dobre prace semestralne, zaskakiwałam wykładowców analizami.

Skończyłam 23 lata.

29 czerwca – Wszystko i tak będzie cmentarzem.

Śniłam lub halucynowałam, że obcinają dzieciom główki siekierami, pełno krwi wokół.

19 lipca – Nie chcę być sterowana, kontrolowana, osaczana. Mam wybrać. Wybrać!

23 lipca – Mam być osobą, mam ujrzeć sens i koniec. Żegnajcie wszyscy znajomi ludzie.

Mnie dla was nie ma. Istnieje tylko ciało w pewnej korelacji ze światem. A ja jestem u siebie - to wszechmocne poczucie wolności.

2 sierpnia 1982 – Czuję, że To jest blisko mnie, bardzo blisko. Krąży wokół mnie, dotyka moich zmysłów, ale jest pozazmysłowe. Mam wolność, która mnie unosi ponad innych ludzi. – Za to nocami zakrada się lęk, halucynacje stają się silniejsze, ogarnął mnie chaos w walce dobra ze złem.

Wyjechałam do Warszawy, do Marzeny i ćpałyśmy szaleńczo. Po narkotykach zaczęłam nowy rok studiów.

III rok studiów.

Terapeuta wyczuł, że coś się we mnie dzieje, zacytował mi wiersz Bursy o poecie, który cierpi za miliony. Wywołało to we mnie jedynie spazmatyczny płacz i reakcję ucieczki.

Na studiach zaczęła się psychologia kliniczna. Testowałam samą siebie – każdy test wyrzucał diagnozę: schizofrenia z depresją. Przestałam wierzyć w rzetelność testów psychologicznych. Odczuwałam potrzebę odkupienia win. Na zajęciach powiedziałam, że osobowość to ja. Wszłam mocno w naukę, patologia stała się moją pasją, czytam wszystko w bibliotekach. Był to rok względnego spokoju.

9 listopada 1982 Dlaczego rozmawiam tylko z sobą lub Małym Księciem lub Nieistniejącym?

22 listopada – Kim jestem, że muszę tak cierpieć?

23 listopada – Odejść, popełnić samobójstwo, przekroczyć w końcu tę granicę. Koleżanki ze studiów usiłowały coś zrobić, mówiły, że nie można żyć w takiej izolacji. Odczuwają lęk przede mną.

18 grudnia – Ludzkość jest mi miła sercu. Nie mam duszy, wszędzie jest tylko moje ja.

6 stycznia 1983 – Narkomania zaczyna się od głodu miłości – ojciec ponownie się upił, to wyzwoliło chęć zabicia go. Miałam poczucie rozdwojenia, ale zaprzeczałam istnieniu choroby.

7 lutego – Mam poczucie wolności i nieistotności czasu.

*10 lutego – Był to moment wielkiego krytycyzmu, byłam sama w pustym hotelu w Sopocie.
Piszę – Moje życie to jedna wielka pustka uczuciowa, która powoduje, że działam destrukcyjnie.*

*Nie umiem nawiązać kontaktu uczuciowego z drugą osobą. – Powiedziałam o tym morzu.
Znowu zaatakował szum, chorowałam, to dawało mi poczucie jakiegoś bezpieczeństwa.
Wierzyłam, że obserwują mnie ludzie.*

5 marca 1983 – Wolność, a może po prostu śmierć, koniec końca. Samotność. Początek wielkiego milczenia. Żyję pod kloszem, cierpienie, brak kontaktu – wszędzie widziałam zło, w sobie, w innych ludziach, dopadały mnie stany wielkiego pobudzenia. Na zewnątrz się mobilizowałam, ukrywałam przeżycia.

26 kwietnia – Jak poradzić sobie z dążeniem do mocy?

Mieliśmy trening interpersonalny na studiach, dostałam komunikaty od grupy, że na zewnątrz to maska, a w środku prowadzę wielką walkę wewnętrzną, że jestem taka samotna w tłumie. Mówili mi, jak zaskakują ich moje zmienne zachowania. I smutek, jaki mnie ogarnia, jest dla nich nie do przebiccia.

Stale pojawiał się motyw, by zginąć z rąk innych, tak jak w aborcji i jak Chrystus.

4 maja ponownie upiłam się ze świadomością, że będę reanimowana. Stały element śmierci i zmartwychwstania.

Dowiedziałam się o śmierci Marzeny, postanowiłam napisać „Pamiętnik narkomanki”.

Walczyłam w samotności z wizjami, w lęku.

W domu nikt niczego nie zauważa, przecież bardzo dobrze zakończyłam III rok studiów.

Jest OK i nie może być inaczej.

Skończyłam 24 lata.

Wyjechałam na praktykę do szpitala psychiatrycznego do Branic, na oddział odwykowy, tam funkcjonowałam spokojnie, miałam tylko niejasne poczucie odmienności w stosunku do moich koleżanek. Potem pojechałam do sanatorium, lekarz twierdził, że stan mego serca jest zły. W tajemnicy, w lesie, trenowałam karate. Chciałam w lesie odnaleźć polanę, początek nowego życia, znowu miałam przekonanie, że jestem kimś wyjątkowym.

Już każdy powrót do domu wyzwalał głęboką depresję, silne napięcie psychiczne. Nazywałam swój pokój Moim Królestwem.

W sierpniu 1983 kończę pisanie „Pamiętnika narkomanki”.

1 września 1983 przedawkowałam narkotyk – Poczulałam się dzisiaj blisko śmierci. Może jeszcze nie śmierć, ale zanikanie krążenia. Wystraszyłam się. – Ponowne zmartwychwstanie.

16 września – I serce ożywiło się. Olśnienie, że tak miało być. Do tej pory. – Weszłam na szczyty boskości.

IV rok studiów.

Tadeuszu, wiem, kim byłam. Kim teraz jestem? Jaka niesamowitą tajemnicę skrywały te dzienniki. Codzienny zapis psychozy i zdrowia. Kosmos i trochę ziemskości.

Tadeuszu, o mało nie zginęłam w psychozie. W końcu by mi się to udało. Trzy lata temu jechałam na obóz pokonana przez szatana i mogło się zdarzyć wszystko. Uratowałeś mnie na te lata, podniosłeś na szczyt boskości.

Październik 1983 – Odbywałam praktykę w szpitalu psychiatrycznym w Lublińcu. Byłam na oddziale chronicznych schizofreników z grupą ze studiów. Jest to szpital, w którym byłam hospitalizowana w 16 roku życia, powróciły pewne wspomnienia, ale je wyparłam.

10 października – A może to już nie jest obłąd, to moje przeżywanie świata? – Halucynowałam, tkalam misternie urojenia w zasadzie na każdego człowieka, który był w jakiś sposób bliski mi emocjonalnie oraz pracowałam na praktyce, bawiłam się z kolegami, byłam pozornie spokojna, z dużą wiedzą na temat chorób psychicznych, lubiana przez wykładowców i koleżanki. Dwie Basie, które stale działały naprzemiennie.

25 października – Stoję nad grobem, ale widzę, że dół jeszcze nie został wykopany – podałam na zajęciach temat pracy magisterskiej o syntonii u schizofreników. Odczuwałam tęsknotę za wyidealizowaną matką.

28 października – Mam wrażenie, że muszę się spieszyć, bo niewiele czasu mi pozostało – miałam uczucie całkowitego ziemskiego osamotnienia.

14 listopada – Życ trzeba, być trzeba. Tylko dlaczego, no dlaczego to wszystko trzeba? J a i J a i J a i J a, obok mój cały świat.

W listopadzie 83 miałam coraz częściej symboliczne sny, w których Bóg zsyła na mnie anioła i szatana, a także byłam kochanką szatana. Sny wywoływały szalone napięcie, tak że zgłosiłam się do psychiatry i dostałam neuroleptyk, który brałam bardzo krótko.

14 grudnia – Sądzę, że jestem w takim granicznym punkcie, między normą a jakimś stanem psychotycznym – lęk był koszmarny, halucynowałam i bałam się swoich wizji, chciałam nazwać nienazwane.

Miałam wrażenie, że zjadam się od środka, tak jak te pająki. Rok 1983 kończyłam w ogromnym cierpieniu z motywem katastrofy, kata, wyroku śmierci.

Poznałam na IV roku studiów Ewę, w dziennikach jeszcze wypierałam tę znajomość. Jest ona w moim wieku, prowadziła zajęcia z psychologii klinicznej. Żyła w jakimś układzie z kochankiem i rozbijała swoje małżeństwo. Mąż nie był w stanie zaspokoić jej seksualnie. Doszło pomiędzy nami do pierwszych zwierzeń.

1 stycznia 1984 – Halucynowałam całą noc, rozmawiałam z duchem Rafała Wojaczka, który miał schi i popełnił samobójstwo. Przekazał mi posłanie pisania.

Halucynacje się nasilały, wynika to z zapisu, ponownie golilam głowę, miałam stany pobudzenia, nikt się nie orientował, co się ze mną działo. Chodziłam do psychiatry, ale nie potrafiłam mu niczego powiedzieć, nie rozumiałam swego stanu.

29 lutego – Ojciec ponownie upił się i zaczął znęcać nade mną. Doznałam szoku i rzuciłam się na niego, czując, że moja boskość po ataku na ojca została naruszona.

12 marca – Sny, mary, cmentarze i śmierć, przeczucie, że już czas na mnie, a ja nie jestem przygotowana, mimo że trwałam w śmierci od dawna. Popadałam w stany ekstazy. Ewa powiedziała, że boi się mnie takiej.

Kwiecień – Ewa cały czas projektowała na mnie mężczyznę, którego chciała zdobyć.

Pojechałam na trening interpersonalny z grupą ze studiów, powiedziałam terapeutom, że podejrzewano u mnie schizofrenię, pozwolili mi robić to, na co miałam ochotę.

28 kwietnia – Mojemu ciału jest tu dobrze. Dostaje jogę, medytacje. Jestem obok ciała, unoszę się nad nim.

8 maja – Uciekasz, wciąż uciekasz przed własnym cieniem, który i tak siedzi ci na karku. I wciska w niemożliwość.

15 maja – Żyję tak, jakby wisiał wciąż nade mną zaległy wyrok śmierci, który sama na siebie wydałam.

Zaliczyłam bardzo dobrze IV rok studiów, skończyłam 25 lat. Lipiec 1984 – Miałam praktykę na neurologii, na tej samej, gdzie reanimowano mnie kilka razy. Testowałam pacjentów i byłam spokojna w pracy. Mieszkałam w akademiku i tam przeżywałam stany ostateczne i agonalne. Wyzaczyłam sobie datę śmierci na koniec lipca, po zakończeniu praktyki.

16 lipca – W wierszu napisałam: więc idę / idę tam gdzie chcę iść / w ramionach czułych / w twoich ramionach / ze swoim bólem / i z bólem pozostałych.

19 lipca – Przygotowałam sobie leki do otrucia, lecz serce powiedziało „stop”. 5 sierpnia – Moje życie to jedno wielkie, nie dokończone samobójstwo. Poszłam do psychiatrii, byłam bez kontaktu, kazał mi przyjść za kilka dni, bratam neuroleptyk. Zaczęłam rozdawać rzeczy, głównie książki i ubrania. 22 sierpnia – Teraz wiem, że mogę popełnić samobójstwo w każdej chwili.

28 sierpnia upiłam się w Katowicach, nie byłam już w stanie przetrzymać żadnej eskalacji napięcia. Wybudziłam się ponownie na neurologii i tym razem nie uciekłam, zgodziłam się na badania i pozostanie dłużej w szpitalu. Personel traktowałam urojeniowo, ale pozwoliłam być w ich mocy. Rodzina była zaskoczona, ale nikt mnie o nic nie pytał.

Po powrocie ze szpitala ogarnęło mnie Wielkie Milczenie Kosmiczne – musiałam mieć tragiczne, wręcz agonalne noce pełne halucynacji, o jakiej treści nie wiem, nie ma zapisu. V rok studiów.

Rozpoczęłam ostatni rok nauki „granicznie wycieńczona”. Pisałam pracę magisterską, badałam pacjentów w szpitalu psychiatrycznym. Na uczelni nie było wiele zajęć, dojeżdżałam na nie z domu, wyprowadziłam się z akademika po konflikcie z koleżankami.

6 listopada spotkałam się z Ewą w jej domu. Opowiedziałam o gwałcie, ona opowiedziała o swoim, ją zgwałcił dziadek.

20 listopada – Noce agonii i rozpacz. Napisałam opowiadanie „Schizo simplex”, które ukazało się w „Okolicach”. To mnie uratowało przed samobójstwem, czułam się oczyszczona.

Noc, 26 lutego 1991.

Tadeuszu, te noce spędzone na rozmowie z Tobą w całkowitej samotności, listy pisane do Ciebie, które pomagają mi w analizie choroby. Teraz dopada mnie pytanie, czy psychoza naprawdę się skończyła, czy nie powróci. Jeżeli już raz potrafiłam wejść na tę drogę, i to całkowicie do końca, czy to się nie powtórzy.

Kiedy czytam moje dzienniki, to są w większości normalne, chociaż są różne okresy, okresy całkowitego rozbicia myślowego – rozkojarzenia i dezintegracji. Milczenie ratowało mnie przed szpitalami. Dysymulowałam na każdym kroku, aż tak się zapętliłam, że przez ostatnie dwa lata nie miałam żadnego poczucia choroby, wręcz odwrotnie, poczucie pełnego zdrowia.

Akt pozbawienia się dziewictwa, czym był? Był stosunkiem z szatanem. Kiedy się pierwszy raz okaleczyłam mając 15 lat, wbiłam sobie nóż w brzuch, chyba już wtedy chciałam pozbawić się jajników, a także Chrystus miał przebity na krzyżu bok.

Boże, co za koszmary. Dlaczego aż tak okrutna jest psychoza, dlaczego aż tak?

Czy to kiedyś opiszę? Nie wiem, to mnie przeraża, Tadeuszu. To nie wstyd, to jest zbyt tragiczne, może później będzie inaczej. To wszystko jest zbyt świeże, zbyt aktualne.

Ginekologia była piekłem, do którego weszłam na koniec. Ostatnim piekłem, które ujrzałam na ziemi – wiesz, ile dziennie dokonuje się aborcji – wycina się płody, jak obcina się paznokcie, 10 minut i po wszystkim. I chyba chciałam ulecieć ponad piekło do nieba. Nie dałam się matce – śmierci i piekłu.

Jedno jest dla mnie pewne, była psychoza przez 19 lat. Niestety była. Ile okresów niepamięci, przecież halucynacje były rzeczywistością, i urojenia.

Czy mogę w ogóle pracować z ludźmi jako terapeuta? Czy to jest w ogóle wskazane?

Przebijam się przez tyle twierdzeń nieświadomości.

Tadeuszu, czy w ogóle jest możliwe wyjście z chronicznej psychozy? Przecież rozpadłam się do końca, do absolutnego końca.

A teraz dalej dzienniki:

12 grudnia 1984 – Czuję, że jestem inna nawet od tych innych. Trzeba głosić swoją prawdę.

Kończy się rok moich narodzin i śmierci, przepowiadam sobie przyszłość, a ona się sprawdza.

5 stycznia 1985 – Odkrywam siebie, a droga wciąż daleka, bardzo daleka, mimo że blisko śmierci.

8 stycznia – Jestem szalona, ale w moim szaleństwie jest jakaś metoda, niesamowita, która wszystko trzyma w kupie.

11 stycznia – Poszłam daleko w głąb siebie, w straszliwy labirynt i oślepiłam tam wewnątrz, i już niczego nie uda mi się zobaczyć ponad to, co już zobaczyłam. I widziałam samotność, smutek i wielki żal. I chwilę radości, która nie należała do mnie.

13 stycznia – Wiem, że nigdy nie zaznam spokoju. Nie wiem, kiedy odejdę. Chcę wiedzieć, zanim odejdę. Kiedy skończy się czas, będę odpoczywać. Kiedy skończy się mój czas.

22 stycznia – Prościej zrozumieć czwarty wymiar niż moje rozłączenie – znowu był to tydzień agonii, myśli samobójczych. I moment kolejnego zmartwychwstania – urodziłam się 1 lutego 1985 r.

13 lutego – Kiedyś trzeba będzie unicestwić powłokę cielesną – powróciło przekonanie, że

jestem martwa, byt to okres od ukrzyżowania do zmartwychwstania.

16 lutego – Lęk, który jest wszechegzystencją, natchnieniem – moje kontakty z Ewą są sporadyczne, miała nowego kochanka, a ja żyłam pomiędzy jednym a drugim niebytem.

W marcu ujrzałam biblijne obrazy z życia ludzkości, mimo że nie znałam Biblii. Miałam świadomość końca i przemiany.

W maju 1985 skończyłam pisanie pracy magisterskiej. Pomimo przeżywania kosmicznego napięcia, udało mi się nad nią pracować.

16 czerwca – Jak to się dzieje, że milcząco wyrażam zgodę na przypisywanie mi win, których nie popełniłam?

W lipcu ukazało się pierwsze wydanie „Pamiętnika narkomanki”, co mnie uspokoiło, nie miałam obsesyjnych myśli o śmierci. Ujrzałam zagładę świata.

W sierpniu chciałam podjąć pracę na oddziale psychiatrycznym w Częstochowie, ale ordynator nie chce mnie przyjąć z powodu mojej choroby, o której wie. To mnie wprowadziło w stan głębokiej depresji. Postanowiłam podjąć pracę w Lublińcu. Nawiedziły mnie gwałtowne halucynacje, znowu odwiedził mnie duch Rafała Wojaczka.

Odczuwałam bycie w Lublińcu jak na wygnaniu!!!

17 sierpnia – Jestem mocą – miałam nową matkę – była nią moja szefowa na oddziale. I był chłopak, pacjent ze schi, twierdził, że jest czartem, słaby, bezbronny, na pograniczu katatonii.

Nie zagrażało mi nic.

Zapragnęłam głosić prawdę! – miałam spotkanie autorskie z młodzieżą. Działalam, miałam poważne problemy ze snem, sama określałam swój stan jako submaniakalny, napisałam – idę drogą prawdy. Niosłam w sobie „poświęcenie”. Uciekałam w somatykę, miałam chroniczne anginy, cały czas pracowałam na maksymalnych obrotach.

Żyłam w całkowitym uniesieniu, przekonana o zdrowiu psychicznym.

24 października – Miałam sen, że będę żyła 31 lat, i tak by się stało. W tym czasie prawie nic nie jadłam, miałam anemię. Dopiero kiedy wracałam do domu, zaczynałam jeść. Cały czas halucynowałam. Głosy mnie prześladowały, ścigały.

Tadeuszu, dobrze, że mogę Tobie to wszystko opowiedzieć.

12 grudnia – Myślałam o moich pacjentach, co się dzieje, że oni cierpią za miliony, jaki naprawdę jest ich świat, kim są, resztki umownej osobowości, z czym się zmieszały, dokąd uleciały, w jaki sposób się rozpadają. Czym naprawdę jest defekt w schizo? Przejściem w inny

wymiar czasoprzestrzeni? Moja osobowość także się rozpada. Moje ciało się rozpada. Kim jestem pomiędzy schizofrenikami a personelem, bliżej którego końca?

14 grudnia – Bo nie wystarcza dla mnie tylko urodzić się i umrzeć, muszę zbyt często umierać.

Majaki sprawdzają się, spełniają. Dokąd sięgają, gdzie są ich granice? Do momentu absolutnego samounicestwienia.

1986 rok – Żyję ich światem, a może to mój świat – znowu głoszę prawdę, nauczam.

6 stycznia – Nie mogę pisać. Czuję, że moja dłoń jest mi obca. Jest nas teraz dwie (dwóch).

Ciało i to „coś” ponad nim.

Halucynowałam, widziałam płonące miasta, widziałam apokalipsę. Miałam poczucie osaczenia, znowu nastąpił okres „manii”, lęki się nasiliły do granic wytrzymałości.

18 lutego – Do jakiego stanu trzeba dojść? Do środka siebie, w sobie i obok siebie z sobą. Trzeba iść dalej z pokorą zwycięzcy, kiedy nie ma zwyciężonych.

20 lutego w „Na Przelaj” ukazał się o mnie reportaż pt. „Zmartwychwstanie”. W pracy wszystko stało się jasne dla personelu, byłam dla nich ćpunką, degeneratką.

Tadeuszu, jak to można było utrzymać w tajemnicy? Powoli narastały urojenia prześladowcze wywołane realną sytuacją. Personel, głównie salowe i pielęgniarki, był przeciwko mnie.

Wiesz, Tadeuszu, byłam zawsze mocno urojeniowa. Wtedy jeszcze opowiadałam o tym psychiatrom, lecz zawsze urojenia były tak zwarte, że były odbierane jako rzeczywistość.

Byłam nieustannie ścigana, prześladowana, czyhano na moje życie.

15 marca – Listy, telefony, spotkania. I zbyt mało czasu dla siebie. I zbyt duży ciężar sławy.

Moje Królestwo jest pełne lęku – miałam coraz więcej wyznawców i coraz więcej wrogów.

1 kwietnia – Brakuje mi tego jednego miejsca, dlatego nie mogę się odnaleźć.

10 kwietnia – Doświadczylam w nocy stanu rozszczepienia osobowości, czułam, że nie istnieję.

Byłam ponad światem, daleko.

1 maja – Odrzucenie i brak ciepła w dzieciństwie to początek.

Tadeuszu, już wtedy wiedziałam, ale nie potrafiłam tego przyjąć do siebie.

1 czerwca – Czas umierania, czas dojrzewanego do śmierci. Czas rozpacz i nadziei. Czas wolności i odpowiedzialności. Czas istnienia.

5 czerwca – Śniłam, że zakonnicy w kościele składali mi śluby.

22 czerwca – Czy tylko w chorobie psychicznej można dojść do najgłębszych pokładów nieświadomości, w stronę minus nieskończoności?

Skończyłam 27 lat.

W lipcu 1986 nasiliły się urojenia prześladowcze i odnoszące. Kiedy wracałam do Lublina, czułam się na ulicy jak małe zwierzątko, któremu grozi śmiertelne niebezpieczeństwo, żyłam w bardzo silnym napięciu, miałam koszmarne problemy z koncentracją uwagi, przyspieszony tok myślenia, poczucie skrajnej depersonalizacji, pracowałam w poczuciu, że jestem oddzielona od pacjentów szklaną szybą. I stale halucynowałam.

Tadeuszu, stale o to pytam, jak to możliwe, że tak żyłam i nikt się nie zorientował.

Odczuwałam dotyk postaci, która mnie odwiedzała.

25 lipca – W nocy była burza, a ja złapałam piorun w dłoń. – Nasilały się urojenia, które ślicznie dysymulowałam, i halucynacje. Przeżywałam stany ekstazy, nie wytrzymałam tego i przez jakiś czas brałam leki od psychiatrii.

22 września – Schizofrenikom łatwiej żyć w swoim świecie niż tutaj. A jednak ich świat urojony jest pułapką bez wyjścia. Są w nim już tylko koszmary.

18 listopada – Świat urojony to znowu ja. Czasami wydaje mi się, że to już jest blisko, a ponieważ jest urojone, nigdy przybliżyć się nie może. – Był to chyba największy krytycyzm w mojej chorobie. – Gdybym włączyła w mój świat urojony świat moich pacjentów, a ja stałabym się metaurojeniem?

10 grudnia – Odwiedziłam Ewę, byłam u niej przez kilka dni, rzeczywiście wyglądało to jak małżeństwo, nie było jeszcze seksu, była dyskretna gra erotyki. Każde spotkanie z nią wprowadzało mnie w stan szczególnego napięcia. Razem piłyśmy dość dużo alkoholu, to pomagało mi rozluźnić się, znosić jej agresję.

24 grudnia – Najbardziej nie lubię łamania się oplatkiem – to ten element samozjadania, jako Chrystus nie mogłam przyjmować komunii.

1987 rok.

14 stycznia – Odpływam coraz częściej i mocniej. Mogę siedzieć wpatrzona w jakiś punkt

i zrywam kontakt z rzeczywistością. Dziwny to stan.

17 stycznia – Siedząc w kinie poczułam rozdwojenie osobowości. Walkę wewnętrzną dobra i zła. Gdy jest we mnie więcej dobra, chyba rośnie zło, by zrównoważyć siły.

19 stycznia – Na konferencji w pracy (wśród 10 psychiatrów) znowu nie byłam ja albo były nas dwie, gdy patrzyłam na tłum przed sobą, miałam coś zrobić, by zwalić tę ścianę przede mną. Krzyknąć, uciec. Moje ciało chciało się poruszyć nienaturalnie, ale powstrzymałam je.

21 stycznia – Miałam wizję walącego się kościoła, pytałam siebie, czy to ja czuwam, czy Bóg. Już nie potrafiłam pracować, żyłam w oszalamiającym lęku. W pracy grałam z pacjentami w ping – ponga z pragnieniem wyzwolenia się do końca.

Zostałam w pracy sama, moja szefowa poszła na operację tarczycy. Miałam 110 pacjentów, za których odpowiadałam z dochodzącym lekarzem. Było to już dla mnie za dużo. Wtedy właśnie mocniej we mnie uderzył personel. Popadłam w głębszy konflikt z siostrą oddziałową i salowymi, stanęłam w obronie poniżanej przez nich pacjentki. Personel wziął, odwet, szykanowali mnie, twierdzili, że kradnę leki z oddziału, podburzali przeciwko mnie pacjentów.

W marcu nie wytrzymałam tego, poszłam na zwolnienie lekarskie i szukałam pracy w Częstochowie.

8 marca – Dlaczego ingerować, jeżeli ktoś wybrał schizofrenię?

18 marca – Mylą mi się dni, miesiące, lata – byłam mocniej rozkojarzona, trudno było nawiązać ze mną kontakt, nacisk społeczności w Lublińcu był nie do uniesienia.

24 marca – Odrzuca mnie kolejna matka – psychiatra, czyli moja szefowa. Woli, bym odeszła z pracy, niż by trwał konflikt na oddziale. Miałam poczucie winy, że zostawiłam schizofreników samych z psychopatycznym personelem.

1 kwietnia – Zaczęłam pracę na neurologi i wróciłam do domu. Miałam już śmierć wszędzie, cały czas halucynowałam, w pracy byłam spokojniejsza. Oczywiście niczego nie byłam świadoma, byłam przekonana, że jestem zdrowa psychicznie.

19 maja – Pojawia się motyw śmierci w 33 roku życia. Lekarz kardiolog powiedział, że za pięć lat mogą mnie operować, od razu sądziłam, że nie przeżyję operacji. Na razie śmierć zabierała innych, a ja działałam „z misją” tutaj.

Lęk przychodził wieczorem, wycofałam się z życia publicznego, odmawiałam wszelkich spotkań autorskich. Nocami dotykała mnie moja śmierć.

18 czerwca – A mnie w głowie poezja i misterium umierania, dzisiaj byłam daleko, odpływałam nieobecna, oczekująca na srebrny deszcz i ulotny zapach porannych kwiatów.

Skończyłam 28 lat.

27 lipca – Jadąc tramwajem, miałam wrażenie, że życie i ludzie przesuwiają się obok mnie tak, jakbym była w szklanej kuli. Jechałam i nawet ludzie stojący obok mnie byli za szklaną szybą. Byłam bardzo daleko i to mnie zupełnie nie dotyczyło. Czulałam przejmującą samotność.

W sierpniu pojawiła się tęsknota za spotkaniem z Bogiem – ojcem. Halucynowałam, były to jakieś obrazy z przeszłości ludzkości. Na obozie młodzieżowym, gdzie byłam terapeutką, obdarzałam miłością.

30 sierpnia – Mogę już tylko poświęcić się dla innych lub odejść – melancholia, koszmary, pytanie o sens życia, powrót do pracy po wakacjach i całkowita izolacja. Widziałam duchy różnych ludzi.

Październik – A zdawało mi się, że jestem radością życia. Na powierzchni. W środku wielka czerń, ogień, który jeszcze mnie trawi.

25 października – Koszmary nocy, demony, diabły, urojenia prześladowcze. Czy to realne?

Cały czas halucynowałam, Tadeuszu, nie zdawał sobie z tego sprawy. Jak mi się to udawało ukryć? To mnie najbardziej intryguje.

Grudzień – Marzyłam, by poruszać się z prędkością światła, by być falą. A także, by przekroczyć prędkość światła, być w świecie antymaterii.

1988 rok.

Rzeczywistość była już zbędna, przeszkadzała.

Styczeń – Czuję, że jestem osaczona, a jeszcze muszę grać normalną, zdrową. Bywam na innych planetach, wszystko wokół mnie zmienia się, słyszę głosy szeptające mi w uszach.

Teraz wiem, Tadeuszu, że mój mózg jest idealnie zdrowy, wykazało to badanie komputerowe, był jedynie w niewielkim obręku, co jest naturalne w czasie agonii.

Tonęłam we własnym lęku. Jestem realna, a jednak ponad ziemskie wymiary, oszalale morze niepokoju wewnątrz.

Maj – Nie chcę pamiętać mego dzieciństwa, które było koszmarem.

Uważałam, że nie mogę pomagać ludziom, rozmawiałam z Kosmosem, stamtąd nadchodziła nadzieja.

Czerwiec – Przygotowywałam się do obozu w Jastrzębiej, skończyłam 29 lat. Wcześniej spędziłam z Ewą 10 dni. Cały czas Ewa była agresywna wobec mnie i swojego synka. Nie umiałam się przed nią obronić.

W lipcu byłam na stażu do specjalizacji na neurologi w Katowicach. Miałam słaby kontakt z rzeczywistością, mechanicznie testowałam pacjentów. Jeździłam często do Gliwic, do Ewy.

Ewa mnie kusila i od razu zgodziłam się na współżycie, chciałam tego, to było jak opętanie.

Było dużo alkoholu, ona stale mi opowiadała o swoich kochankach. Uderzyła w końcu we mnie, kolejnego kochanka. Kiedy skończyłam staż w klinice, planowałam popełnić samobójstwo, lecz wiedziałam, że będzie obóz, i miałam nadzieję, że tam coś z tym zrobię. Mimo że uważam homoseksualizm za normę, miałam straszliwe poczucie winy.

We wrześniu na obozie udało Ci się mnie podnieść, zwłaszcza po wartościowaniu. Byłeś i czuwałeś nade mną. Było mi Ciebie mało i bałam się Ciebie panicznie. Toczyłam kosmiczną walkę w sobie. Pozwoliliście mi wejść w rolę terapeuty. Stale się bałam, że Ciebie zawiodę.

Na pewno wierzyłam, że jestem zdrowa psychicznie. Powiedzieliście mi, że narkomani mają problem z ciałem, wycofałam się z tego komunikatu. Wyjechałam z obozu uratowana. Byłam całkowitą boskością na ziemi.

Wszystko układa się w całość, całość schizofrenii paranoidalnej.

W październiku dostałam od Ciebie wiersze i esej o samotności. Po obozie spotkałam się z Ewą, pragnęłam jej pomóc, ale nie wiedziałam, że to niemożliwe. Powoli zaczynałam bronić się przed jej agresją. Zaczęłam ją sobie analizować. – Obie w młodości zostałyśmy skrzywdzone przez mężczyzn. Ja poszłam w agresję do wewnątrz, w narkotyki, ona w agresję na zewnątrz – zdobywanie i porzucanie mężczyzn.

Ukazało się drugie wydanie „Pamiętnika”.

14 października – Obdarzam ludzi miłością, ona mnie rozpiera, wypływa ze mnie, spływa na innych jak najcudowniejszy balsam. To lek na cierpienie, przemijanie, samotność.

22 października – Żyję na krawędzi dwóch nierealnych światów, z małą wyspą, dzięki której mam kontakt ze światem – sądzę, że ludzie obawiają się we mnie siły. Ponownie chciałam obciąć sobie język, by całkowicie zamilknąć.

W listopadzie halucynowałam upadki kolejnych kultur ludzkości. Miałam poczucie, że coś

się ze mną zaczyna działać, nie przyjmuję tego do świadomości. Miałam obsesje, że jestem całkowicie odrzucona i prześladowana, w domu odwiedzała mnie śmierć.

17 listopada – Jedno jest cierpienie dla każdego na świecie – brak miłości.

22 listopada – Rozsadza mnie niemy krzyk i płacz, i ból, i sens istnienia.

26 listopada – Doświadczasz mnie, Panie Boże, na każdym kroku jak wybrańca losu – wydawało mi się, że byłam na pograniczu psychozy rozpadu, a to był początek końca, Tadeuszu.

5 grudnia – Jaki jest rozmiar tęsknoty, jak głęboko trzeba się w niej zanurzyć, by przestać krzyczeć? Przytulić się do jej dna. Wtedy nie czujesz wypychania na powierzchnię bólu.

7 grudnia – Wierzę, że kiedyś nastąpi eksplozja. Ten czas jest coraz bliżej, czuję go. (Miałam poczekać do października 1990).

14 grudnia – Niekiedy jestem na granicy psychozy, zupełnie rozbita, z depersonalizacją, urojeniami, halucynacjami, po to, by powrócić do rzeczywistości z jasnym, logicznym umysłem, wycuciem patologii u innych (stale się ludziłam, Tadeuszu, że to kontroluję). Tak jakbym sterowała moim zdrowiem psychicznym, lecz ono zawłada mną często i spadam w otchłań rozpacz, paranoję lęku, rozbijam się na zwiłokrotnione ja.

15 grudnia – Czuję, że ogarnia mnie jakieś szaleństwo, klękam przed nim, przed sobą i wyczekuję na nowe spełnienie.

18 grudnia – A ja uciekam w głąb siebie, w tajemne Królestwo, w którym jedynie sama mogę się poruszać. – Dostałam krótki list od Ciebie, który ponownie mnie podniósł. Patrz, Tadeuszu, trzymałeś mnie tu za rękę, a ja chciałam już tylko ulecieć.

Koniec roku to bardzo słaby kontakt z rzeczywistością. Jak ja w ogóle pracowałam?

24 grudnia – Ile można marzyć o nigdy nie spełnionej miłości? Całą wieczność swego życia.

Zatopić się w sen na jawie, że nadchodzi, i śnić.

25 grudnia – Te kolejne śmierci, ataki przeciwko sobie są obroną przed śmiercią samobójczą, śmiercią ostateczną.

1989 rok.

1 stycznia – Stany depresyjne męczą mnie ciągle, mniej więcej w tym samym czasie, jesienno – zimowym i wiosennym, cyklicznie. Rozpadam się, by się podnosić.

Tadeuszu, w śmierć nie powrócę, bo się urodziłam, lecz czy wróci psychoza?

13 stycznia – Jestem coraz bliżej śmierci, czuję to. Czas mój odlicza się przyspieszony

(zapisywałam to podświadomie, w świadomości byłam przekonana, że nic się nie stanie, że nie uderzę w siebie).

W lutym 1989 skończyłam drugi tom „Pamiętnika”, moje serce było przeciążone napięciem, jakim żyłam, porównywałam siebie do anioła śmierci, halucynowałam.

7 lutego – Przychodzi lęk, niezmienny, wkrada się jak złodziej do Mego Królestwa Cieni i spokojnie mi się przygląda.

19 lutego – Czuję silną potrzebę zerwania wszelkich kontaktów z Ewą, nie wiedziałam, jak jej to powiedzieć, nie potrafiłam się od niej uwolnić. Przesłała mi list, w którym ponownie mi dopieprzyła.

24 lutego – Pisanie książek to czysta schizofrenia. Pisarz zaczyna żyć życiem swoich bohaterów i żyje w stanie permanentnego rozszczepienia jaźni, emocji, swego ja.

28 lutego – To krótkie życie wymyka mi się, ot tak sobie, powoli ze mnie uchodzi.

10 marca – Pierwsza hospitalizacja na ginekologii. Od razu uderzył mnie fakt ilości skrobaneek, to mnie przerażało. Myślałam – morderczynie. – Dlaczego matki zabijają swoje nienarodzone dzieci? – Było to dla mnie piekło, chociaż sobie tego nie uświadamiałam. Za to w wierszach jest śmierć, zagrożenie, wina, kara. Halucynowałam, wszystko było jedną wielką halucynacją i urojeniem. Wszystko ma logiczną ciągłość w życiorysie, tak jak w schizofrenii.

13 marca – Nowe kolejki zbrodni kobiet zabijających swoje dzieci – nagle śmierć przestała mnie przerażać – w wierszach umieram na ginekologii, chociaż to ma dopiero nastąpić za ponad rok.

24 marca – W szpitalu napisałam wiersz, że mnie wyskrobano. Ginekolodzy to doskonała sprzeczność w jednej osobie – ratują i zabijają.

28 marca – Dostałam od Ciebie kartkę, zaprosiłeś mnie do uczestnictwa na obozie jako terapeutki, było to po wydrukowaniu moich wierszy w „Okolicach”. Ile wtedy przewidywałeś, przeczuwałeś?

29 marca – Ginekolog jest katem, płatnym mordercą, morduje na zlecenie matki.

31 marca – Miałam wizję, że w lekarzu – szatanie chcę się schować jak w łonie matki.

15 kwietnia – Nie mam już wielkich szans na życie poza Królestwem, ale wewnątrz to otchłań pełna drobnych gwiazd i nieznanych galaktyk. – W nocy nawiedzał mnie ON – ZŁO ABSOLUTNE.

Osaczały mnie halucynacje. W pracy byłam cały czas napięta i podminowana, jedynie w

kontakcie z pacjentem jeszcze się mobilizowałam. Ewa zaczęła wyczuwać, że powoli wyzwalam się z pod jej wpływu.

3 czerwca – Piszę „Kokainę”. Ta książka wychodzi ze mnie jak noworodek z łona matki.

6 czerwca – Śnię ukrzyżowanie.

10 czerwca – Widziałam atakującego mnie węża, spadającego na kark.

Skończyłam 30 lat.

Listy od Ewy ziały agresją.

27 czerwca – Kiedyś będzie trzeba zniszczyć dzienniki. Jakby płonęła cząstka mnie? Po co więc zaistniały? By powstały dwie książki, których Istnienia biegu nie powstrzymam (dwie księgi tak jak Biblia, a „Kokaina” to Apokalipsa).

5 lipca – Tak mi smutno, odliczam wieczny czas – Ponownie dostałam list od Ewy, miażdżący.

Napisałam jej, że na razie zawieszam naszą znajomość, że potrzebuję czasu, by przemyśleć wiele spraw.

9 lipca – Ewa niszczy każdy związek uczuciowy. Zabija. Najpierw zdobywa, potem porzuca.

Mną jeszcze usiłuje manipulować.

W lipcu wróciła od Was Anka z obozu, wychwala mnie od Was za opowiadanie „Schizo simplex”, to mnie podniosło.

16 sierpnia – Poznałam Kasię na obozie, gdzie byłam terapeutką. Opowiedziała mi swoje życie, nie umiałam tego przyjąć do końca. Na obozie gwałtownie halucynowałam, widziałam duchy pokutujące, które mnie osaczały. Byłam „nieskończonością światła albo ciemności”.

31 sierpnia – Kto walał we mnie tyle niepokoju, matka w życiu płodowym? – Patrz, Tadeuszu, byłam bliska rozwiązania. Bałam się odrzucenia, o Boże, teraz to dopiero odkryłam.

1 września – Przez rok przebyłam wielką wodę, Tadeuszu. Zanurzałam się w podświadomość.

Czy aby nie odchodzę zbyt daleko od świata realnego? – Halucynowałam mężczyznę w masce i odcięte głowy ludzkie.

12 września – Ciągłe żyję na pograniczu dwóch światów, kiedy pomagam innym zaistnieć i kiedy sama odchodzę, halucynuję, rozpadam się. I powstaję.

16 września – Przyjechałam na drugi obóz, czułam się na nim źle, byłeś Ty, którego się

bałam, czułam niesamowity opór, by do Ciebie podejść, porozmawiać.

20 września – Na obozie odkryłam, że u mnie matka jest na miejscu ojca, a ja mam problemy z różnicowaniem płci u siebie.

21 września – Miałam sen, wszystko wylazło, gwałt, walka, chęć zniszczenia ojca alkoholika.

– Na spacerze nad morzem miałam wizję Chrystusa kroczącego przez morze. Uświadomiłam sobie, że chcę powrócić do łona, ale do łona mężczyzny.

Po powrocie z obozu więcej halucynowałam, kontakt z drugim człowiekiem stawał się udręką.

13 listopada – W halucynacjach ujrzałam diabła o szklanych oczach. Tak blisko już? Już czas na mnie w psychozę? Jak żyć, kiedy ujrzało się diabła? Czy to ostateczne ostrzeżenie? – osaczenie osiągnęło piekielne rozmiary. Halucynowałam przez cały czas, było to koszmarne, agonia, rozpacz, nicość, smutek.

5 grudnia – Śniłam, że umieram na moim oddziale, i tak by się stało, gdyby koleżanka nie wywiozła mnie na reanimację. Był to bardzo przyjemny sen, tęskniłam za śmiercią.

11 grudnia – Miłość we mnie tkwi, daleka, obca, przybliżana, oddalana. Wzywam śmierć na ratunek.

26 grudnia – Ile razy trzeba upaść, by podnieść się ostatecznie? (to moja droga krzyżowa) Miałam kompletne poczucie beczasowości.

1990 rok.

Rozpoczęłam kolejny rok w depresji z halucynacjami.

3 stycznia – Kartka od Tadeusza to promyk w ciemności, zbawczy promień w otchłani bez dna.

W halucynacjach byłam mężczyzną. Izolacja autystyczna pogłębia się.

„Czas się we mnie zatrzymał, a ludzie wokół domagają się, by się toczył, domagają się, bym w nim uczestniczyła, a ja nie jestem w stanie tego uczynić, nie jestem w stanie komunikować się z nimi w jakikolwiek sposób”.

3 lutego – Niewidzialny, srebrny sznur, chyba jest wieczny, wspólny, a później, dalej, jest tam światło w tunelu (zobaczyłam to w śmierci klinicznej. Światło oślepiające i uczucie wielkiego szczęścia).

9 lutego – Babcia we śnie mnie ostrzegła, że w jej domu „unurzam się w łajnie” – i tak

się stało w rzeczywistości.

12 lutego – a jednak powraca tęsknota za śmiercią, samobójstwem, tym jedynym, ostatecznym, w jedną noc, bez pożegnania, samotnie wybrany czas już bliski. – Słyszałam nakazujące, złowrogie głosy.

1 marca – Dziwny to stan, kiedy śmierć dotyka zimnymi palcami i szepcze –jestem blisko.

W pracy jakoś funkcjonowałam, nikt nie zorientował się co przeżywałam, w domu izolowałam się, reagowałam agresywnie na każdy telefon.

6 kwietnia – Miałam poczucie, że Bóg obdarzył mnie darem przebaczenia.

9 kwietnia: Witaj Królowo Cieni

Królestwo Nocy witaj cieniu bezsenności rozpaczy bez rozpaczy jasności bez światła

Witaj Basiu musisz się pospieszyć.

Dzisiaj zapragnęłam tę sytuację omówić z Tadeuszem, bo pozornie oczywista dla mnie, w podświadomości ma ukryty sens.

W kwietniu był czas ogromnego napięcia i chaosu, mogłam eksplodować w każdej chwili.

Na szczęście skierowałam działanie na załatwienie wizy do Włoch i innych formalności.

28 kwietnia – Codzienny początek i Kres. Nocne halucynacje przypomniały mi świat duchów pokutujących. Bezczasowość. Tam, dokąd powracamy. Dojdę i ujrzę.

3 maja – Tadeuszu, mój lęk i strach, utrata kontaktu z rzeczywistością. Królestwo Cieni. Wyczekiwanie. – Zaczęłam wyzbywać się wielu rzeczy, książek, ubrań, one mnie osaczały.

Napisałam do Ciebie, że jadę do Włoch wydorosnąć.

13 maja – Człowiek nocy, ciemności, grozy, graniczności. To wciąż ja.

14 maja – W niczym nie potrafię znaleźć ukojenia. Rozsypuję się. Muszę się rozsypać, by powstać z popiołów? Wyrok w sobie nosić, jak samotność, życie i śmierć.

15maja –Boże, wiesz, że ja już potrafię znosić ból, cierpienie i lęk przed śmiercią. Krzyk przerażenia. KRZYK. Czy to obłąd? Dochodzę do kresu? Czym jest?

17 maja – Ciągłe jestem na jakiejś granicy, krawędzi, przepaści, mam wrażenie, że to w każdej chwili może runąć, zapaść się, zniknąć. I nie wiem co dalej.

26 maja – Ponowne zapalenie jajników. Czy wymodliłam tę chorobę? Projekcji nie wywołuje osoba, lecz problem, który tkwi w podświadomości, a więc jaki ja mam problem? Uznawania autorytetu? Ojca? Boga? Zależności? (patrz, Tadeuszu, byłam blisko)

30 maja – Wszyscy czegoś chcą ode mnie, domagają się. Nikt nie chce być ze mną

blisko i nic więcej. Wszyscy od razu pragną, bym pomagała im rozwiązywać ich problemy. A ja chcę się przytulić i znieruchomieć choć na chwilę. – Chodziło o Ankę, która stale się domagała, bym jej wskazywała drogę, interpretowała rysunki i sny, analizowała jej postępowanie.

31 maja – ROZSZCZEPIAM SIĘ. Czuję, jak proces ten pogłębia się. Nie odczuwam potrzeby, by go wyhamować. Te wakacje są pod znakiem choroby. Gorzej, zwiastuna niemocy, śmierci. Tadeuszu, poprzez swoje wiersze powracasz do mnie w takich chwilach.

1 czerwca – Spaliłam prawie wszystko. Pozostały mi jeszcze dzienniki. Czy przeczuwam coś nieuchronnego?

6 czerwca – Druga hospitalizacja na ginekologii – drugi upadek Chrystusa pod krzyżem. W wierszach przekonywałam Boga, że już mogę się w nim zanurzyć. Doszłam do wniosku, że dala nie ma.

„Każdego wieczoru jestem blisko. Jestem tak doskonała, że palcem dotykam zimnego ostrza metalu lub unoszę się nad swoim ciałem. Będziesz wysłuchany po drugiej stronie czasu”.

18 czerwca – Dostałam od Ciebie kartkę, polecałeś mi Wenecję. I przestałeś mi medytację, którą dopiero teraz pojmuję i czuję, Tadeuszu.

„Stan zawieszenia pomiędzy życiem i śmiercią, płomieniem a bólem, radością i smutkiem, między ja i nie – ja”.

Skończyłam 31 lat.

Pojechałam do Włoch z Twoją medytacją. Pojechałam do raju, przywiozłam z niego liście z drzewa figowego. Raj był na pogórzu Alp, pod Turynem. Byłam tam po prostu szczęśliwa w dzień. W nocy choroba podstępnie we mnie galopowała. Nie musiałam z nikim rozmawiać, chodziłam sobie po farmie, rozmyślałam, popijałam włoskie wina.

4 lipca – Wyjazd do Wiednia, wszystko układało się idealnie, jechałam przez całą Austrię do Wenecji, opłynęłam ją, jeszcze nic się nie działo, chociaż byłam w dziwnym niepokoju.

Rano wyjechałam do Turynu.

6 lipca – Tadeusz miał rację. To boskie miejsce. Dotarłam tu na koniec świata. I są konie, cudowne, z którymi rozmawiam, przytulam się do nich, byłam ciągle z nimi.

8 lipca – Jestem od nich oddalona o całe epoki.

13 lipca – Śniłam zagrożenie, utratę pracy, szpital psychiatryczny, śniłam 14 i 16 rok życia.

To lata, których najbardziej się bałam. Śnił mi się gwałt, pisałam – „Dlaczego to mnie

teraz dopada. Czy bliskość z mężczyzną zapowiada lęk, szaleństwo i rozpacz?"

17 lipca – Może zbliżam się do czegoś istotnego w moich snach, lecz jest to zbyt okrutne.

Co mam w swojej podświadomości, kiedy już świadomość jest nie do udźwignięcia. Tylko czasami nagle, niespodziewanie i boleśnie otwiera się tamta rana, która krwawi czystą, tętniącą krwią i zalewa mnie całą, i tak unurzana w swoim lęku, w panice usiłuję zbudować od nowa swój świat.

Stale we Włoszech śniłam pioruny, słońce, ojca. I przyszła do mnie we śnie Marzena, która nigdy wcześniej tego nie robiła.

24 lipca – Śniłam o chłopcu, którego nikt nie chciał, zamykano go w zakładach psychiatrycznych, ale powracał, bo miał brata bliźniaka i walczył o zaakceptowanie w rodzinie.

26 lipca – Wyjechałam do Wenecji. Płakałam aż do Mediolanu za rajem utraconym, napięta, w lęku. W nocy przyszedł diabeł, usiadł przy stole w hotelu i śmiał się ze mnie, z mojej boskości. „Z raję prosto do piekła”. Siedział, skubany, w kącie pokoju i patrzył na mnie przez cały czas. Już go nie potrafiłam przegnać. Tadeuszu, co to był za koszmar. Miałam przy sobie trochę alkoholu, wypiliśmy go, lecz wzbudziło to w nim jeszcze większą radość. „Godzina 3.30

– Czyżby nastąpiło tak błyskawiczne rozbicie struktury?" I nagle nie wiedziałam, co się działo, zapis się urwał. Następny ciąg dziennika jest z pociągu do Wiednia. Wróciłam do Polski.

Za dziesięć dni spotkałam się z Ewą i Adamem w domku babci. Byli tydzień po ślubie.

Nie mam tego dziennika, spaliłam go, cały miesięczny zapis, nie byłam w stanie tego unieść.

A więc pozostaje mi moja pamięć.

Pojechałam do domku wcześniej, piłam sama alkohol, żyłam w jakimś dziwnym napięciu.

Pierwszy wieczór byłam sama z Ewą. Ewa opowiedziała mi, że potrzebowała ojca dla swego synka, poza tym Adam jest świetny w łóżku. Nie było nawet wzmianki o tym, że go kocha.

Na drugi dzień przyjechał Adam. Wieczorem rozpaliliśmy w ogrodzie wielkie ognisko, piliśmy bardzo dużo alkoholu. Poddałam się całkowicie Ewie, ona mnie rozbierała, pieściła, kazała Adamowi mnie dotykać. Byłam podniecona, lecz prosiłam, by przestała. Potem kąpał się Adam.

Ewa wzięła mnie za rękę i wodziła po jego ciele, podbrzuszu, każe dotykać jego członka, który już jest w wzwodzie.

Ciało Adama – mój cień. Zanoszą mnie do łóżka. Adam pieścił mnie, powiedziałam mu, że nie możemy iść na całość, bo mam dni płodne i mogę zajść w ciążę.

Tadeuszu, wiem że muszę przez to przejść.

Ewa zraniła mnie, uderzyła słownie także w Adama, porównała go do jakiegoś wcześniejszego kochanka. Adam mnie pragnął, czułam to, leżał koło mnie i pieścił. Potem wszedł w Ewę, przyglądałam się, Ewy nie było, był tylko orgazm.

Adam wrócił do mnie, chciał we mnie wejść, ja nie wpuściłam, tak jak podczas gwałtu, tak jak mężczyzna. To ja byłam tym mężczyzną, który kopulował z Ewą, w końcu miałam członka, byłam superfacetem, który ma zawsze natychmiast wzwód i może kopulować przez godzinę, bez żadnych problemów.

Ewa dostała napadu hysterii, rzuciła się na ziemię, krzyczała, rzygała. Ja planowałam powieszenie, lecz powstrzymało mnie to miejsce.

Rano rozstaliśmy się. Ewa jeszcze do mnie dzwoniła, chcąc mnie dalej dręczyć, lecz nie dałam się, zerwałam znajomość.

Cały sierpień chodziłam jak potępiona, ratowałam się alkoholem i pracą. Cały wrzesień pisałam „*Kokainę*”. Te miesiące są bardzo zamazane. Są bólem i rozpaczą, totalnym upadkiem, przegraną istnienia, poczuciem winy.

I ostatni dziennik przed śmiercią. Trochę Ci już z niego napisałam. Zaczyna się 23 września:

Medytacja na temat drzewa:

Drzewo jest roztrzaskane na pół jednym cięciem. Jeszcze się trzyma połączone czymś nieokreślonym między korzeniami. Każda ze stron ma ochotę odejść w przeciwny kierunek. Lecz „jądro” je powstrzymuje. Drzewo przystanęło, nasłuchuje. W środek wdzierają się mgła, osacza.

Jest tydzień przerwy w zapisie dziennika. Uśmiercam się w „*Kokainie*”, ostatecznie rozpadnięta, wyskakuję z dziesiątego piętra, a moje ciało nie upada na ziemię. Pracowałam i pozornie nic się nie działo. Wyczekiwałam.

Piszę – Basiu, co sobie chcesz uczynić? Samozniszczenie? Dlaczego?

3 października – Chciałam iść do psychiatry, lecz z tego zrezygnowałam. Mam kłopoty z cyframi, pustka myślowa, jakby działania typu mnożenia czy dodawania ulatywały ze mnie.

4 października – Ponowne zapalenie jajników samoukaranie?

8 października – Moje życie było absolutnie moim pomysłem – ostateczne rozbitcie

schizofreniczne.

9 października – Trzecia hospitalizacja na ginekologii – trzeci upadek Chrystusa pod krzyżem.

Pisałam do Ciebie listy w dzienniku i żadnego nie wysłałam.

13 października W szpitalu czytałam Twoją książkę. – Usprawiedliwia (?) samobójstwo aksjologiczne w chorobie. W moim łonie niosę śmierć.

14 października – Śmierć już jest.

18 października – Ból rozprzestrzeniający się w Kosmos. Tadeuszu bardzo cierpię.

Nie szłam na żadne leczenie, przeżyłam kilka śmierci klinicznych. Chciałam, by Bóg przyjął moje ciało.

Po wybudzeniu stale pytałam siebie, co się stało, jak ja to zrobiłam, dlaczego mi się nie udało.

I potem mozolne dochodzenie do prawdy. Odzyskałam pełną świadomość 7 listopada.

Pierwszy zapis jest z 24 listopada. Uczylałam się w tym czasie chodzić, czytać, pisać. Lęk ponownie zaczął mnie osaczać. Było to prawdziwe zderzenie z Kosmosem.

3 grudnia – Już wiedziałam od Anki, która stale we mnie uderzała, że użyłeś słowa szantaż.

Boli mnie to mocno, nie rozumiałam tego, dlaczego szantaż, ani dlaczego tak boli to stwierdzenie.

We śnie byłam stale zabijana, pytałam się, jak ich przekonać, że jestem martwa, by mnie już nie zabijali. Stale halucynowałam, ale się już tego nie bałam.

10 grudnia – Czy jestem zagrożona samobójstwem? Totalną dezintegracją ku śmierci. Jeżeli tego potrafiłam dokonać, mogę to odwrócić.

11 grudnia – Cokolwiek uczyniłam ostatecznie przeciwko sobie, wydawało mi się, że było niemożliwe, nie zaistniało, nie dotyczyło mnie, lecz powracało w przetworzonych fantazjach i zabijało.

12 grudnia – Idę w tym samym kierunku. Jak to przetrzymać?

16 grudnia – Bóg znowu do mnie przyszedł.

22 grudnia – Jeżeli wymyśliłam wszystkie swoje nieszczęścia, to także mogę wymyśleć dobre rzeczy. Muszę znaleźć sposób, by ponownie we mnie nie rosły rany, blizny, agresje, obsesje i nie eksplodowały tym razem siłą ostateczną. Czy chcę żyć?

28 grudnia – Śniłam zaślubiny z morzem.

2 stycznia 1991 przyszła kartka od Ciebie, na drugi dzień wysłałam pierwszy list.

6 stycznia – Skojarzyłam, że list od Ciebie to zemsta.

16 stycznia – Wysłałam Ci drugi list.

28 stycznia – List od Ciebie, który wywołuje ból, ból, ból. Zaczynam czuć, co mam robić.

Twoje słowa prawdziwie uderzają o skałę, w której schowałam się w dzieciństwie. Teraz mogę umrzeć lub zacząć nowe życie. Wybrnąłeś w tym liście, Tadeuszu. Nie powiedziałeś mi.

2 lutego – A jednak, Tadeuszu, zbrakło mi boskiej mocy tamtego dnia, by z sobą skończyć, i kilka lat wcześniej, kiedy powinnam odejść. Walczę, Tadeuszu, o każde tchnienie tutaj.

3 lutego – W kogo był skierowany cios?

Słowo „szantaż”, które się rozrastało i eksplodowało bólem przerażającym. Usypiałam ze słowem „szantaż” i wybudzałam się z tym słowem.

Oto prawda, Tadeuszu, o mojej schizofreni, którą Ci ofiarowuję.

ROZDZIAŁ V

Powoli zaczęłam dochodzić do całości prawdy o sobie. Pomogła mi w tym znajomość koncepcji Junga. Dzięki niemu zaczęłam poruszać się swobodniej w gąszczu projekcji i nieświadomości.

Moim cieniem kobiecym była prostytutka – Ewa, a także animą, kiedy psychicznie byłam mężczyzną.

W końcu dotknęłam swojego kobiecego cienia – dziwka, kurwa. Chyba wtedy, kiedy miałam stać się dziewczyną, w 14 roku życia, kiedy pozbawiłam się dziewictwa jako chwilowa córka. „Zgwałcił” mnie ojciec – szatan. Dokonałam gwałtu za ojca – szatana.

To już konsekwencja cienia, moim animusem stał się albo diabeł albo Chrystus.

Anka projektowała na mnie starszego brata, teraz jest to projekcja matki – alkoholiczki, dlatego chce mnie zniszczyć.

I na koniec, kiedy na ginekologii nie zabrała mnie jako córki matka – śmierć, stałam się ponownie synem, zabiłam w sobie ojca – alkoholika, a psychicznie chciałam ulecieć jako Chrystus.

Nareszcie to sobie ułożyłam w marcu 1991 roku.

Wygląda to tak: Jeżeli jestem kobietą, to Cień: kurwa – śmierć – autoagresja – Madonna
Animus: diabeł – superfacet – Chrystus

I odwrotnie, kiedy utożsamiałam się z mężczyzną.

W marcu spotkałam się w Warszawie z Kasią, mieszkaliśmy przez tydzień razem i opowiadałam jej dalej swoją historię, w miarę jak sama poznawałam prawdę o sobie. Było to bardzo trudne, spędzaliśmy całe dni i noce na analizie mego życia, to znaczy, ja to robiłam, a Kasia dzielnie to przyjmowała, jak prawdziwy przyjaciel. Były to niesamowite godziny, kiedy odkrywałyśmy się dla siebie od nowa, lecz tylko szczerłość mogła pokazać, na ile jesteśmy w stanie unieść swoje życie. Kasia udźwignęła wszystko i nasza przyjaźń jest nierozzerwalna, jest tym, czego szukałam przez całe życie, prawdziwą przyjaźnią.

Także wtedy w Warszawie spotkałam się z Tadeuszem i Czarkiem. Przyjęłam od Czarka terapeutyczne kłamstwo, że zawsze spostrzegał mnie jako osobę normalną. Już wtedy wiedziałam, że wcześniej powiedział Ance, że jest to psychoza i że od tego są psychiatrzy. I chociaż nie godziłam się na takie traktowanie mnie, to kłamstwo było mi wtedy potrzebne.

Jeszcze nie zakończyłam pracy nad sobą, czułam, że coś jest pomimo tego, że Tadeusz

dalej mnie zwodził, że jest OK. Wiedziałam, że nadal jestem chora, mimo że przeszłam autoanalizę, zdawałoby się, do końca.

W Warszawie halucynowałam, ale umiałam z tym walczyć. Kiedy szłam na spotkanie z Tadeuszem do jego domu, nagle opadło na mnie bezsensowne urojenie, że Tadeusz jest tylko urojeniem, że go sobie wymyśliłam, a listy pisane do niego szły gdzieś w Kosmos.

W końcu stanęłam przed Tadeuszem, który okazał się przyjacielem z krwi i kości. Powiedział mi jedną ważną rzecz wtedy, że gdybym nie spotkała się z diabłem w Wenecji, to mogłabym uderzyć w rodziców zamiast w siebie. Nie powiedziałam nic, lecz to mnie mocno uderzyło, zmusiło do dalszych poszukiwań.

Tadeusz podjął terapeutyczną grę i dalej mi wciskał, że nie była to psychoza, tylko przeżycia z pogranicza. I ponownie dałam sobie to wsunąć. Nie wiedziałam, dlaczego wtedy tak postępowałam, po prostu bardzo chciałam mieć to za sobą i w tym momencie wierzyłam w to i czekałam na jego potwierdzenie, że chorobę mam już poza sobą.

Tadeusz na drugi dzień zorganizował mi spotkanie w Łazienkach z ludźmi, na których mogłam wypróbować dawne projekcje, głównie z superfacetem i matką. Mobilizowałeś mnie,

Tadeuszu, do walki o siebie. Nie mogłeś mi wtedy powiedzieć, że psychoza nadal podstępnie mnie toczy. Chroniłeś mnie przede mną samą.

Nie wytrzymałam napięcia, w jakim żyłam w Warszawie, powróciłam do domu i podjęłam dalszą analizę. Uciekłam znowu przed prawdą, ale mogłam do niej dalej dochodzić tylko w piekle.

W tym czasie moje wydawnictwo w Katowicach wystraszyło się tekstu „Kokainy” i odesłało mi rękopis. To mnie zdezintegrowało i miałam ten tekst w domu, ale panicznie bałam się do niego zajrzeć, przywoływał demona, powodował lęk.

Po powrocie z Warszawy ponownie w dzienniku zaczęłam dalszą część analizy, czyli przypominania sobie, co się w moim życiu wydarzyło. Niewiele tego było w mojej pamięci.

Nie zapisane w dzienniku, umknęło podczas lat narkomanii i psychotycznych przeżyć.

Zmuszałam moją pamięć do pracy i było to bardzo trudne. Nie potrafiłam sobie przypomnieć pozytywnych momentów z mego życia, wszędzie były tylko otchłanie, ból, rozpacz, negatywne zachowanie rodziców wobec mnie, obwinianie, samotność niekochanego dziecka.

A oto dalszy ciąg analizy, jaki w marcu 91 przeprowadziłam, pisząc to oczywiście później Tadeuszowi w listach.

Z bratem zaczęłam rywalizować od początku o matkę, o jej miłość, rywalizowałam w nauce, potem poprzez choroby, by matka się mną zajmowała.

Byłam ukochaną wnuczką dziadka, jedyną wtedy, jak żył, i dla ciotki byłam ważna, bo akceptowałam jej picie, kocham ją taką, jaka jest, zawsze mi się zwierzała, broniłam jej, ukrywałam, chroniłam.

W dzieciństwie to ojciec się mną zajmował, ale i on mnie surowo karał, bił, chciał, bym była według jego wyobrażenia idealną córką.

W przedszkolu tęskniłam za bratem, musiał być w moim polu widzenia, inaczej popadałam w rozpacz. Już w przedszkolu chciałam się zabić, kiedy zamknięto mnie w ciemnym pokoju.

W 7 roku życia przeprowadziliśmy się do nowego mieszkania w nowej dzielnicy, nie miałam się z kim bawić, od tej pory zawsze byłam sama. Brat chodził do szkoły matki, a ja do szkoły ojca – znowu nas rozdzielono. W szkole były stale jakieś problemy ze mną, znałam program z wyprzedzeniem na dwa lata, byłam nadpobudliwa, nie słuchałam nauczycieli.

W czwartej klasie zmieniono mi szkołę, byt to 11 rok życia. Klasa mnie nie zaakceptowała, górowałam nad nimi wiedzą i w sporcie. Piąta i szósta klasa to najlepsze świadectwa, wielka cisza przed burzą, okres pewnego wyciszenia.

W domu były koszarne awantury, najpierw stawałam w obronie matki, potem zaczęłam uciekać z domu, byłam już psychotyczna, oczywiście nie wiedziałam o tym, nikt nie wiedział.

Brat w ogóle się mną nie interesował, nie kocha mnie i nie obchodziło go to, co się ze mną działo.

W 13 roku życia po wielu anginach miałam ciężką postać choroby reumatycznej, był taki okres, że nie chodziłam, miałam zapalenie mięśnia sercowego i od razu uszkodzoną zastawkę mitralną.

W 14 roku życia byłam ponownie w szpitalu z powodu choroby reumatycznej. W szpitalu miałam poważną próbę samobójczą, trulałam się lekami, zostało to odczytane jako atak hysterii.

W domu dochodziło do największych spięć z ojcem. Psychoza się rozwijała. Wyrzucono mnie ze szkoły w siódmej klasie, poszłam do szkoły ojca, gdzie był dyrektorem. Na początku roku szkolnego poważna próba samobójcza, zatrulałam się alkoholem. Gdyby nie obrona organizmu, rano by mnie znalezione martwą, lecz przedawkowałam.

Był to najgorszy okres mego życia. Matka walczyła o ojca, brat był obojętny, a ja sama

niszczona przez ojca, pełna urojeń i halucynacji „zła”, które w sobie nosiłam.

W ósmej klasie nie wytrzymałam niczego, zaczęłam się okaleczać, broniłam się na różne sposoby, poprosiłam ciotkę, by mi wycięła wyrostek, pobyt chwilowy w szpitalu był ulgą i

byłam pod opieką osoby, która mnie kocha. Kiedy zaczęłam uciekać z domu, ciotka cały czas się mną interesowała, kiedy po raz pierwszy zamknięto mnie w szpitalu psychiatrycznym, ona czuwała nade mną.

Babcia stale mówiła rodzicom, że jestem po prostu chora i że trzeba mnie leczyć, a nie karać.

16 marca 91 – Noc. Namalowałam diabła i drzewo, które opasuje wąż. Nie ma wyjścia?

Jak się nie dać chorobie? Boję się, że Anka we mnie uderzy, wykorzysta wiedzę, którą o mnie ma, i uderzy. Nie ufam jej.

17 marca – Tadeusz, najbardziej poruszyło mnie to, co powiedziałeś w Warszawie, że dobrze się stało, że spotkałam się z diabłem w Wenecji, bo mogłabym zaatakować rodziców.

Nie chcę nikogo krzywdzić. Najokrutniej zaatakowałam siebie. Zabiłam rodziców w sobie, by nie zrobić tego w rzeczywistości!!! Ta prawda mnie przeraża. To za bardzo boli.

Noc. Co ze mną będzie, Tadeuszu. Wielkanoc się zbliża, czuję pewną obawę. Przed czym?

18 marca – Grzech, seks, ukrzyżowanie, gwałt. Tam, gdzie był przybity Chrystus, tam ja się przebiłam, uderzyłam w siebie nożem w bok. I na lewym policzku mam blizny jak na całunie turyńskim. Golgota to miejsce czaszki, stąd ta wizja, która stale mnie prześladowuje, wizja rozstrzelivanego mózgu.

Tadeusz, znowu czuję, że to mnie przerasta. Stale żyję na skrajnych emocjach, na ulicy rozmawiam z sobą, przecież Częstochowa to tak wiele miejsc do konfrontacji.

Moje ostatnie drzewo, które teraz namalowałam, wąż skierowany w dół, w korzenie.

Grzech narodzin? Nie wiem. GRZECH POCZĘCIA.

19 marca – Teraz chcę wskoczyć w cień Madonny (nie wiedziałam, że od momentu narodzin

14 lutego 1991 jestem Matką Boską).

Ankę blokuje rywalizacja ze mną. Mogła zrobić tak wiele dobrego po moim samobójstwie.

Wyjechała, zostawiała to do mojej decyzji, albo się dobiję, albo się nie dobiję.

Tadeusz czy to wszystko uniosę?

20 marca – Czy każde samobójstwo jest szantażem? Nawet kiedy zabija się siebie, by w przyszłości nie zniszczyć innych?

21 marca – Mam znowu zapalenie jajników. Jadąc wczoraj do Sosnowca, do ciotki do szpitala, doszłam do analizy mego drzewa. Grzech poczęcia – wskoczyłam na poziom Matki Boskiej. Byłam nią od momentu moich narodzi w lutym i Tadeusz o tym wiedział. Mam stan zapalny prawego jajnika. Uderzam w kobiecość, by nie stać się kobietą seksualną.

Mam być święta w nowym wcieleniu psychotycznym. Powiedziałam to Ance i zaskoczyła mnie jej reakcja, reakcja odrzucenia. Zadzwoiłam do Tadeusza, który stwierdził, że jestem znowu przeciwko sobie i wpadł na pomysł, bym zamieszkała z ciotką, powiedział o tym Ance, która do niego dzwoniła wcześniej. Pozornie na to się zgodziła, a tak naprawdę to ta koncepcja wprowadziła ją w stan wściekłości. Miałam się o tym wkrótce przekonać. Nie przyznała się do tego przed Tadeuszem.

Uciec z domu Anka, nie starczyło jej miłości, czyli nigdy mnie nie kochała, były to tylko projekcje.

Co zrobię tym razem? Co przeczuwa Tadeusz, a czego ja jeszcze nie wiem?

Noc, list do Tadeusza.

Tadeuszu, jestem wkurwiona na samą siebie, nie sądziłam, że to tak głęboko siedzi. Sytuacja jest graniczna, nawet na skraju krawędzi. Chcę żyć, naprawdę chcę żyć. Tak jak mniejszym złem może być pobyt z ciotką. Nie tego chciałam, chciałam samodzielnego życia, lecz albo jest za wcześnie, albo nie mogę się jeszcze przez to przebić. Blokuję mnie brak krzyku.

Krzyczałam na początku psychozy, teraz jeszcze nie potrafię. Już nie potrafię? Znowu podjęłam walkę o minuty, o wszystko.

Wierzyłam, że już się nie zapętłę, a tu takie pieprzone zagrożenie, totalne osaczenie. Halucynacje – pętla, szubienica, wisielec. Nie wolno słuchać głosów.

22 marca – Rodzice nie dają mi żadnej szansy na wolność, a ja w to idę, bo nie potrafię doprowadzić do konfrontacji.

Wychodzę z domu, ratuję się.

Poznałam śmierć, czas już poznać życie. I miłość, tę ziemską. Anka nie oddzwoniła, zawiodła w najważniejszym momencie, stale zawodziła, nie potrafiła mi pokazać żadnego ciepłego gestu.

Tego dnia miałam przerażającą wizję kata w kapturze. Tym katem byłam ja i mogłam uderzyć w moich złoczyńców. Aby się przed tym uchronić, by nie stać się do końca nimi, pojechałam do Katowic do Anki po pomoc. Był to najgorszy stan, w jakim się znalazłam, nie było dotąd mocniejszej sytuacji, dotknęłam w sobie zła absolutnego, a nie chciałam zabijać. I zamiast pomocy spotkał mnie najboleśniejczy cios ze strony Anki. Uderzyła we mnie i „zabiła” wyrażając swoją wściekłość. Zabiła mnie jako Matkę Boską.

23 marca – list do Tadeusza.

Drogi Tadeuszu,

Anka uderzyła ostatecznie. Zniszczyła „matkę”, mnie. Doszło między nami do konfrontacji i rzygnęła na mnie ogromną agresją. Anka mnie nienawidzi. Nazwała mnie pijawką, czyli tym, kim ona sama jest. Nienawidzi mnie za to, że ciocia, a jej matka, zawsze się mną zajmowała, jest zazdrosna o wszystko, nawet o mój życiorys, mój bunt. Zniszczyła mnie w momencie, kiedy potrzebowałam największego wsparcia w chorobie. To taka porażająca zazdrość, także o Ciebie i Czarka, że mi pomagacie, o wszystko.

Anka żyje projekcjami i uderza w ludzi i niszczy ich. Przeraziłam się jej wściekłości. Jest psychopatką. Pragnie podświadomie mojej śmierci, tak jak chce zniszczyć swoją matkę.

Kolejny rzut siekierą w plecy przez bliską mi osobę. Anka wie, jak się zabija. Dlaczego moje życie jest takie okrutne, dlaczego każdy chce mnie zniszczyć?

Tadeuszu, nie chcę terapii, chcę prawdy!

Mogłam zabić rodziców i pojechałam do Katowic do Anki, tak jak mi radziłeś, a ona we mnie uderzyła zamiast mnie wesprzeć.

Drugi raz dałam Ci się nabrać na Ankę. Nie chcesz w niej zobaczyć psychopatki, boja lubisz, ale Anka nie jest taką, jaką ją sobie wyobrażasz. Dowiodła tego.

25 marca – Czy we mnie jest jeszcze jakaś siła pozytywna, która zaowocuje? Sądzę, że tak.

27 marca – Stale zakrada się niedowierzenie. Gdybym nie miała dowodów, tekstów, wierszy, dzienników i pamięci, wszystko byłoby dalej jedynie absurdem.

Wydawało mi się, że mogę wybaczyć Ance. Płakałam przez nią przez trzy tygodnie, ból zdawał się być nie do uniesienia. Byłam z powrotem Chrystusem i chciałam jej ofiarować miłość. To była moja jedyna obrona przed jej zemstą.

Nie posłuchałam głosu, kiedy wracałam z Katowic, by rzucić się pod pociąg. Wydawało

mi się, że ponownie po jej ciosie wyszłam z psychozy. A ja tylko przeskoczyłam z poziomu Madonny na poziom Chrystusa.

W kolejnym liście do Tadeusza napisałam mu, że wyzdrowiałam. Zaczęła mi się odblokowywać pamięć pomiędzy 4 a 13 rokiem życia. Mocne to było, już wtedy byłam psychotyczna, a na pewno prepsychotyczna. Śmierć dziadka w 4 roku życia była bodźcem wyzwalającym objawy chorobowe. Na szczęście rozwijałam się intelektualnie i mogłam funkcjonować.

I nagle wszystko runęło – dziadek zmarł, brat odszedł z przedszkola, tam mnie stale karali.

Zaczęły się objawy wszelkiej nadpobudliwości, niepokoju, agresywności, fantazji i lęków nocnych. Byłam już tylko nieznośnym dzieckiem, z którym walczyli rodzice o posłuszeństwo.

W nocy przeżywałam koszmary, w dzień byłam bojowa, wręcz prowokująca niebezpieczeństwa.

Kiedy miałam siedem lat, ciotka zoperowała mi przepuklinę. Odtąd jej szpital stał się dla mnie azylem bezpieczeństwa, tam zawsze się chroniłam, kiedy czułam się zagrożona.

Boże, kat w kapturze miał topór w dłoni i mogło dojść do najtragiczniejszej sprawy, przez cały czas nosiłam mord w sobie nieświadomie, tak jak oni niszczyli mnie bardziej lub mniej świadomie. Dlatego tak mnie zawsze interesowały kryminały, sprawy sądowe o zabójstwo, zawsze chciałam wiedzieć, dlaczego ludzie zabijają. Teraz już wiem, że to najpierw ich „zamordowano”.

8 – 9 rok życia to nauka religii. Zakonnica powiedziała rodzicom, że jestem chora, pobudzona, że trzeba mnie leczyć. Lecz nie mogłam być chora dla rodziców, kiedy w szkole byłam najlepszą uczennicą.

W 10 roku życia odrzucił mnie Kościół!!! Jakiś ksiądz nie dat mi rozgrzeszenia, bo nie chodziłam na religię. Ojciec wtedy zaczął pić, miałam zmianę szkoły i byłam odrzucona przez klasę.

W szkole zaczęły się konflikty z nauczycielami, rodzice byli przeciwko mnie, dopiero gdy istniało jakieś realne zagrożenie, bronili mnie, głównie ojciec. Robili to, by mnie nigdzie nie zamknięto, bo co by ludzie powiedzieli. Nie wypadało mieć dziecka ani chorego ani przestępczego.

W marcu 1991 jeszcze próbowałam dotrzeć do Anki, wyjaśnić sytuację, nie wiedziałam,

że to niemożliwe, że Anka mnie całkowicie odrzuciła. Nie było już nic do uratowania.

W kolejnym liście do Tadeusza napisałam mu cytata z Simone Weil: *„Każdy niewinny czuje się w nieszczęściu przeklęty. A nawet tak się dzieje a tymi, którzy byli w nieszczęściu i wydostali się z niego dzięki odmianie losu, jeżeli ukaszenie było dość głębokie”*.

Nie wierzyłeś, Tadeuszu, w moje wyzdrowienie. Po samobójstwie sądziłeś, że dla mnie już tylko tabletki i psychiatra. A kiedyś powiedziałaś Ance, bym wycięła jajniki i założyła sektę wyznawców. Ja też bym nie wierzyła, bo nie wierzyłam, że wyjście z psychozy jest możliwe.

Potem zacząłeś wierzyć, że może mam szansę, kiedy mijały miesiące, a ja żyłam i przyjmowałam wszystko, co w swej antyterapii łądowała we mnie Anka. I powoli zaczęłam pracować i dochodzić do kolejnych prawd o moim życiu. I do prawdy o istnieniu człowieka.

Sny są jednak genialne. Zanim odkryłam, że byłam po narodzinach Matką Boską, śniło mi się pytanie – *„Co jeszcze jest w mojej schizofrenii?”* Zadzwoiłam do Tadeusza, który oczywiście zaprzeczył, że nadal jestem chora, ale nie da się oszukać snu.

Jeszcze Tadeusz musiał zaprzeczyć, bo nie byłam gotowa na przyjęcie nowej prawdy, że nadal jestem psychotyczna, a jednak takie „oszustwo” boli.

6 kwietnia – TO NIE PSYCHOZA JEST OKRUTNA, OKRUTNY JEST BRAK MIŁOŚCI I WOLNOŚCI.

Zacząłam w tym czasie przepisywać *„Kokainę”*. Ten tekst wzbudził we mnie wiele negatywnych emocji, żalu, rozpacz, przywoływał śmierć.

Spieszyłam się, jakbym wyczuwała nową katastrofę. Wiedziałam podświadomie wszystko przed samobójstwem i zapisałam to w tej książce. Nie wiedziałam, co zapisuję w ten pamiętny wrzesień 1990 roku, kiedy zdawało mi się, że mój czas się skończył i pozostała mi ostatnia sprawa do załatwienia na ziemi, napisanie Apokalipsy. I trafiłam w dziesiątkę, trafiłam w sedno moich problemów. I chciałam umrzeć, bo dalszy mój los był nie do udźwignięcia.

Jak żyć teraz z tak tragiczną prawdą?

Jak wielka jest samotność psychotyka w świecie. Chyba ta największa. Jak wielka jest samotność prawdy.

W kwietniu 1991 spaliłam linę taterniczą. Było to oszustwo, kolejne oszustwo samej siebie, bo ten los miał się we mnie dopełnić. Los Judasza?

12 kwietnia – Kolejny list do Tadeusza.

Oddałam Ci tamto, Tadeuszu, bo byłam na Ciebie zła. Nie rozumiałam, dlaczego mówiłeś

te wszystkie rzeczy o mnie Ance. Chciałeś, by Anka o mnie walczyła, a ona już tylko planowała moją zagładę. I wykorzystała wszystkie informacje przeciwko mnie.

Usiłuję sobie przypomnieć, czy w październiku 1990, tuż przed samobójstwem, też halucynowałam i głos kazał mi się otruć, bo nie pojmuję, co się wydarzyło. Wiem, że jakaś siła mnie pchnęła do tego, by wziąć prochy. Pewnie tak było.

Trzy tygodnie straszliwego bólu po zranieniu przez Ankę. Jest to najmocniejsze, co się wydarzyło w moim życiu. Nic tak nie boli jak cios zadany przez osobę, która się kocha.

„Gdzieś tam zaczyna się we mnie budzić krzyk. Jęk. Powoli wydobywa się z zaciśniętego gardła. Skarga? Prośba? Protest? Wołanie o miłość? Boję się, że zacznę krzyczeć jak oszalała.

Dlaczego mnie nie kochano? Co się stało?”

„Mogę Ci jedynie pisać o bólu i miłości. Nie wiem, czego jest więcej. Płaczu, to na pewno.

Samotności tak ogromnej, tak rozległej. Nikogo tu nie ma, nie ma mnie kto przytulić i nie ma nikogo by wziąć go w objęcia, dotknąć włosów, opowiedzieć, że boli rana po nożu w plecach i westchnąć z ulgą, że jest blisko.

Nie ma nikogo.

Jak boli darowane życie.”

14 kwietnia – Tylko ja znam cenę, jaką zapłaciłam za wyzdrowienie. Wczoraj miałam halucynacje – Boga, mężczyzny w masce. Bóg pochylił się mi prosto w płaczącą twarz. Co mi chciał przekazać? Bóg był tak blisko, mówił mi o swojej obecności.

Jeżeli potrafiłam do końca umrzeć, czy uniosę miłość, która się nie spełni. Uciekam w psychotyczny kosmos.

16 kwietnia – Wczoraj wieczorem rozmawiałam przez telefon z Tadeuszem. Wyczułam, że znowu traktuje mnie jak chorą. Wcześniej, w ciągu dnia, miałam halucynacje, byłam po drugiej stronie lustra. Halucynowałam, że mordowałam ojca brzytwą. Kiedyś miałam taką brzytwę, po dziadku, lecz zabrał mi ją milicja, kiedy miałam 16 lat. Rano, na szczęście, przyjechała Kasia i zaczęłam przy niej pracować. I znowu zrozumiałam, że jestem – byłam? – Chrystusem. Anka 23 marca zabiła we mnie Matkę Boską i przeskoczyłam z powrotem na poziom Chrystusa, i jako Chrystus wybaczyłam jej to skurwysyństwo. To była moja jedyna obrona.

Napisałam przy Kasi list do Anki, że zwracam jej agresję, że jej nie chcę i sama, za nią,

nazwałam jej uczucia do mnie. Tylko w ten sposób potrafiłam się obronić. Oddałam jej całe gównno, którym mnie zatrula.

Jestem schizofreniczką i tej nocy mogło dojść do ostatecznego rozpadu. Ponownie zaczęłam zdrowieć.

Przyjazd Kasi był wybawieniem. Czułam jej przyjaźń do mnie, tę najprawdziwszą. Przyjaciel, który nigdy nie odwróci się plecami, cokolwiek usłyszysz. Przyjmie całą prawdę.

DLA WYZDROWIENIA KONIECZNA JEST KONFRONTACJA Z RODZICAMI!!!

Nie można stale uciekać przed sobą, wycofywać się, bo to prowadzi do samounicestwienia.

Przy Kasi czułam się absolutnie bezpieczna. To dom doprowadzał mnie do obłądu i skrajnej rozpacz.

Tego dnia, już przed zaśnięciem, miałam halucynację, którą przy Kasi mogłam przeżyć spokojnie. Widziałam pożar, katastrofę, lecz pożar ugasiła straż pożarna. Ten ogień – ogień piekielny – był znowu we mnie, został ugaszony, a ja uratowana.

17 kwietnia – Zdjęłam identyfikację z ciotki, dlatego mogłam oddać Ance agresję. Nie umiałam się przed nią wcześniej obronić, bo ciotka we mnie to hamowała.

Napisałam Tadeuszowi – Jestem schizofreniczką. Pracuję nad tym, czy jestem homo – czy heteroseksualna. To trudne, dlatego, że muszę być Basią, by do tego dojść, a nie Chrystusem czy Matką Boską, superfacetem czy dziwką, tj. Wielką Nierządnicą. Archetypy są niesamowite.

Mimo że nie znałam Bibli, otworzyły się we mnie zdarzenia z pradziejów ludzkości tego typu kulturowego, w którym wyrosłam.

Kasia jest ze mną w najważniejszych momentach, jak prawdziwy przyjaciel.

Psychoza była jedyną formą zaistnienia na brak miłości i wolności, maskowana narkomanią.

Była buntem na „stałe zabijanie mnie” przez bliskie mi osoby, które wcale nie były bliskie, bo podświadomie chciały mnie zniszczyć. Była odpowiedzią na nienawiść!!!

Ojciec, kiedy nie ma matki, traktuje mnie jak drugą żonę. Próbował szantażu, bym nie wyjechała do Warszawy.

Wyjechałam w kwietniu do Warszawy. Czułam dalszą potrzebę pracy i chciałam ponownie spotkać się z Tadeuszem. I stało się tak, jak chciałam. Poszliśmy tylko we dwoje do Łazienek na długi spacer bez terapeutycznych kombinacji, bez konfrontacji z projekcjami, tylko

on i ja. Cały czas traktował mnie jak koleżankę po fachu i porozmawialiśmy sobie o psychologii.

Tadeusz wzmacniał mnie psychicznie, bo przygotowywałam się po powrocie z Warszawy do konfrontacji z rodzicami i do odejścia z domu.

Przed wyjazdem do stolicy byłam sama w domu z ojcem, matka była w sanatorium. Zaczęłam mu mówić o sobie, na początku nie chciał mi dać żadnej szansy na wyzdrowienie, bronił się przed prawdą. W końcu powiedział, że mam rację, przeprosił mnie i powiedział, że mnie kocha. Byłam tak udręczona ostatnimi miesiącami, że nie umiałam tego przyjąć. Było to zwycięstwo połowiczne.

19 kwietnia. Warszawa – Co zrobić z tym, który mnie zgwałcił? On powraca, a ja nie mam koncepcji, jak tę sprawę załatwić. Obwiniam o gwałt ojca i brata. Czy konfrontacja z nimi wystarczy, by sobie z tym poradzić?

Niestety, chyba jest teraz we mnie więcej mężczyzny niż kobiety.

Miałam odrobinę szczęścia w koszmarnym nieszczęściu, że spotkałam Ciebie, Tadeuszu, i bez względu na projekcje, jakimi Cię obdarzyłam, zaczęłam pracę nad sobą.

Czy można wyzdrowieć po takim życiu?

Nie pozwolę, bym całkowicie przeszła na drugą stronę lustra.

Tadeusz: *„Proces indywidualizacji to zrzucenie maski i integracja z cieniem, animusem lub animą, z własne jaźnie, z Bogiem. Kto tego nie potrafi lub nie może, cierpi, choruje, umiera.*

Ktoś nie zdolny do indywidualizacji w gruncie rzeczy sam siebie unicestwia. Archetypy są strażnikami tożsamości, obecnymi w kulturze świata, zbiorowej pamięci, której jednostka pod karą zlekceważyć nie może”.

Tadeusz: *„Alienacja od zbiorowości, alienacja od zbiorowych symboli to skazanie na drogę cierpienia, na drogę winy i grzechu, dewiacji i samobójstwa”.*

A. Kępiński: *„Zarówno przebywanie w obozie koncentracyjnym, jak schizofrenia są przeżyciami przekraczającymi granice ludzkiej wytrzymałości i dlatego ślad, jaki po sobie zostawiają, może być podobny”.*

Wieczorem przychodzi dawny lęk, teraz wiem, że psychotyczny, wszechogarniający. Dlatego tak często śniłam obozy koncentracyjne. W takim lęku żyłam, totalnego zagrożenia i unicestwienia.

Czy można przetransformować „ślad” po takich przeżyciach? Co ze mną będzie? Czy to się uda, Tadeuszu?

20 kwietnia 91 – A we śnie znowu zagłada. Prześladowanie. Tadeuszu, żyję w „*obozie koncentracyjnym*” od 32 lat.

Codziennie mam takie godziny, kiedy dopada mnie ostateczny rozpad, walczę z tym wszelkimi sposobami, jakie znam, i to „*po co?*” stale się we mnie odzywa. Nikt mnie nie kochał poza ciotką. Czy mam w ogóle szansę na życie? Czy nie jest już za późno? Koszmar, jaki przeżyłam i jaki przeżywam, bywa nie do udźwignięcia.

Czy identyfikowałam się z gwałcicielem? Co z dziadkiem, który *mnie* „zostawił” umierając?

Halucynacje wskazują na to i pomagają w analizie. Ale ciągną w stronę piekła, gdzie czyha mord. I ostateczne rozszczepienie. Dlaczego tak walczę? Skąd te siły psychotyczne?

BOJĘ SIĘ, ŻE KRZYK DOPADNIE MNIE NIESPODZIEWANIE.

Kiedy odwracam uwagę od nurtu psychotycznego, powraca spokój. I to wzbudza nadzieję, że szansa na walkę z szaleństwem istnieje.

Tadeuszu, żyję wbrew wszelkiej logice i prawom. Tajemnicę schizofrenii poznałam tak, jak zawsze tego chciałam. To mi się udało. Znam ją do końca. Ale kiedy dłużej wędruję po

Warszawie, dopada mnie myśl, że jest już za późno.

Boję się powrotu do domu, boję się konfrontacji z rodzicami, Ja, Basia, schizofreniczka, mam szansę na całkowite wyleczenie. Wiem, jak to zrobić. Nie wiem jedynie, czy wystarczy mi sił.

Tęsknota za normalnością, może się uda. Nie mam rodziny, nigdy nie miałam. Teraz mam Przyjaciela.

ZABIJANO MNIE, BY MNIE RATOWAĆ, RATOWANO MNIE, BY MNIE DOBIJAĆ.

Jaka bym była, gdyby mnie kochano? Nikt tego nigdy się nie dowie.

Pragnę Ci, Przyjacielu, ofiarować moje zdrowienie. Tak jak ofiarowałam Ci to wyznanie choroby. Kiedyś opiszę to w mojej kolejnej książce i ofiaruję ją zagubionym, by wiedzieli, że jest szansa na powrót.

Nie, nie jest za późno. Nie można być za późno, bo będzie mi dane poznać smak innego życia, wolności, miłości, odpowiedzialności, szaleństwa w twórczości, życia, życia.

24 kwietnia – Byłam z Tadeuszem W Łazienkach. Co to znaczy normalnie przeżywać rzeczywistość?

Powtarzałeś, że mi się uda, nic innego nie mogłaś mi przecież powiedzieć. Podjęłam walkę o siebie.

Akceptacja choroby. Jestem jeszcze w szoku. Muszę ją uznać, by z niej wyjść.

Tadeuszu, Kocham, dlatego wygram.

Skąd we mnie taka moc teraz?

Z PRZYJAZNEJ MIŁOŚCI DO TADEUSZA.

Z AKCEPTACJI CHOROBY.

Z PRZYJAŹNI KASI I PRZYJAŹNI DO KASI.

Z POTRZEBY BYCIA POTRZEBNĄ.

Z POTRZEBY TWÓRCZOŚCI.

Z POTRZEBY INNEGO ŻYCIA.

CZY TO WYSTARCZY?

Boże, przeżyłam wszystko. Teraz proszę o więcej. Proszę o życie. Bo czym jest życie?

Wszystkim. Daje możliwość wyboru.

26 kwietnia – Miałam wczoraj wizję Chrystusa uwalniającego się z krzyża, z podkurczonymi nogami, jeszcze mu została do oderwania bok i dłonie. I będzie mógł zeskoczyć, wyzwolić się. Chrystus przygotowuje się do kolejnego zmartwychwstania.

Nie dopuszczę do tego, by stać się złączyńcą, bo tego bym nie przetrzymała.

Ile emocji wzbudza we mnie Anka, najpierw ból nie do udźwignięcia, potem wściekłość, że dałam się zranić.

Kiedy ja jestem Baską, a kiedy Chrystusem?

Mój kolega Piotr po przeczytaniu moich ostatnich wierszy powiedział, że w nich dystansuję się wobec miłości. Tak, boję się, by mnie nie strawił ogień miłości, bym mogła unieść ciężar niespełnienia.

28 kwietnia – Bycie kochanym to szczęście. Kochać to spełnienie życia.

Ojciec ucieka od konfrontacji, nie daje mi szans na wyzdrowienie. Nie chce ze mną rozmawiać, nigdy nie chciał, zawsze wobec mnie milczeli albo mnie oskarżali.

Każdy powrót do domu jest tylko koszmarem.

3 maja – Pierwsza konfrontacja z ojcem po powrocie z Warszawy. Powiedziałam mu, że zmarnował mi młodość, że ucieka i nie chce mnie wysłuchać, nie chce przyjąć prawdy, że nigdy nie zdobył się na to, by mnie przeprosić. Milczy, ucieka, obraż się. Uważa, że zrobił wszystko, bo

mnie karmił jak psa.

4 maja – Dokończyłam rozmowę z ojcem. Powiedziałam, że mnie zniszczył w 14 roku życia i od tej pory jestem chora. Znowu próbował mnie obwiniać, lecz nie pozwoliłam na to.

Powiedział w końcu – przepraszam i kocham cię.

A potem cichy płacz i ulga.

Prawdziwy przyjaciel przyjmie każdą prawdę. Anka nie uniosła mojej prawdy, zazdrość o moją osobę przysłoniła jej wszystko. Nigdy nie była moim przyjacielem.

5 maja – Namalowałam pusty krzyż. Chrystus już się wyzwolił i chodzi po ziemi od nowa.

W maju wyjechałam na tydzień do Krakowa, do Kasi i tam ponownie, już z dala od piekła, zaczęłam pracować przy niej nad tym, co we mnie siedziało. Nie dokonałam przed wyjazdem konfrontacji z matką. Nie wiedziałam, co jej mam powiedzieć, przecież twierdziła, że mnie kocha, bo cały czas się mną opiekowała. Nie była w stanie sobie uświadomić, że mnie odrzuciła od momentu poczęcia.

Tadeusz:

Toksykomania niszczy tożsamość człowieka jak psychoza. Osoba zmierza do realizowania się jako osobowość, czyli przekształca się z tego, kim jest, w to, kim stać się może. To wychylenie się ku drugiemu człowiekowi, związanie się z nim dzięki własnej wolności może przybrać postać tragiczną, kiedy zmienia się w nienawiść i zniewolenie. Ktoś rezygnuje z własnej tożsamości, z własnych odczuć, ciała, myśli, ruchu, by zakotwiczyć się w cudzym ja.

Istnieją dwa dynamizmy zakotwiczące nas w drugim człowieku: miłość i wolność. Wiązanie się z drugą osobą może przemienić się w dramat, sprowadzić umieranie, antyrozwój, nienawiść i zniewolenie.

Przykładem pułapki wolności i miłości jest toksykomania. Lek staje się na dłużej środkiem mechanicznego samobójstwa. Lek znieczula niedobór miłości i wolności. Samozatrucie jest symptomem zredukowanej do granic własnego ciała przestrzeni życia. W tej przestrzeni rozgrywa się dramat samozbawienia, narkotycznego autyzmu, izolacji i samotności. Dramat nieudanego samostanowienia.

Narkotyk eliminuje w rozwoju duchowym sposoby spontaniczne, naturalne, więc i także dramatyczne. Dochodzi do odrzucenia dróg duchowych w samorozwoju.

Toksykomani są pierwotnie zatruci niepowodzeniami w kontaktach z innymi ludźmi. Tu

załamała się ich pozytywna identyfikacja miłości, tu została pogwałcona ich wolność. Ze strony matki rozpoznali gest nienawiści, ojciec to karzące bóstwo. Wolność jest dla nich syndromem pustki, samotności, opuszczenia.

Pierwotną odpowiedzią na pragnienie miłości i wolności dziecka jest odpowiedź, jaką uzyskuje ono ze strony ojca i matki. Macierzyństwo i ojcostwo mają fundamentalny wpływ na odczytanie własnej tożsamości, wartości i sensu własnego życia. Narodziny to lęk przed wyjściem w przestrzeń kosmiczną, rodzice odczytują mowę dziecka, jego potrzeby. (Jeżeli matka nie chce narodzin to przekazuje to dziecku.)

Pragnienia dziecka mogą być nie zaspokajane i osłabiane. Wtedy podlegają różnym transformacjom, przesunięciom, zatrzymaniom, oporom.

Przekazywanie przemocy, gdy jest długotrwałe i uporczywe, prowadzi do zamknięcia dziecięcych pragnień w granicach własnego ciała – autoerotyzm, narcyzm, autyzm. Jest to dotkliwe doświadczenie własnej tożsamości lub prowadzi do introjeksi – uwewnętrznienia przemocy rodziców, poddania się ich rytuałowi, przyjęcia postawy niewolniczej i włączenie postawy resentymentu, który w późniejszym okresie życia da o sobie znać w sposób negatywny – odrzucenie lub ambiwalentną miłość połączoną ze wściekłością, a potrzebę wolności połączoną z potrzebą zniewolenia.

Introjeksija przemocy, która wdziera się przez rytuał rodzicielsko – opiekuńczy, może doprowadzić do załamania się standardów identyfikacji osobowej, poprzez patologiczną identyfikację z matką lub ojcem, wyrażającą się skrajnymi postawami podporządkowania lub buntu.

Rytuał ssania jest najbardziej elementarnym doświadczeniem brania i staje się matrycą dla wszystkich sposobów brania i dawania, to dalej, w zależności od relacji matki i dziecka, przybiera postać negatywną lub pozytywną.

Dziecko jest skazane na miłość matki. Dziecko domaga się tej miłości, ale nie może jej wyegzekwować. Bo nie da się wyegzekwować żadnej miłości. Dziecko dostaje polecenie – żyj bez miłości. Taki rozdwojony komunikat staje się matrycą rozdwojenia psychicznego.

Odczytuje ono faktycznie dwa komunikaty jednocześnie – żyj – karmienie, bez miłości – brak uczuć. Te komunikaty nadawane podczas karmienia mają wielkie znaczenie dla ukształtowania się tendencji do życia i rozwoju dziecka.

Przymus życia, jakiego doświadcza dziecko podczas karmienia pozbawionego wartości

uczuciowych, jest doświadczany jako przymus cielesny, fizyczny nacisk, spod którego nie może się wyzwolić inaczej jak przez wycofanie.

Przymus życia wiąże się z dotkliwym doświadczeniem swojej odrębności. Dziecko rozpoznaje, że jest kimś innym niż jego matka, że jest inna jego wolność i miłość. To gwałtowne odcięcie dziecka od matki wiąże się z koniecznością zaakceptowania braku miłości i wolności, wybudowaniem tęsknoty za idealną matką i idealną miłością. W strukturę takiej tęsknoty wbudowuje jednocześnie długotrwały, czasem wieczny żal, smutek, nienawiść i wściekłość, które nie pozwalają nawet w przyszłości identyfikować pozytywnie matki i miłości. Istnieje granica możliwości samoobrony i transformacji psychicznej, która złamana zbyt wcześnie, kształtuje osobowość zniewoloną przez negatywny obraz matki – przemoc. Powstaje patologiczny wzorzec identyfikacji osobowej.

Przymus życia zakodowany w przymusie jedzenia niesie jeszcze inny komunikat: „*Możesz jeść tylko to, co ode mnie dostajesz*”. Jeżeli dziecko dostaje tylko pokarm bez miłości, pozostaje zawężone pole wolności, wolnego wyboru. Narkomania jako odbicie rytuałów rodzica, pozbawionych miłości, replika zatrucia psychicznego. Dziecko staje się lustrzanym odbiciem swoich rodziców.

Silne zaburzenia psychiczne są przenoszone i reprodukowane w innych fazach interioryzacji.

Miłość i wolność stają się wartościami pragnień dziecięcych: zależności i niezależności.

Niezaspokojenie tych pragnień w fazie oralnej, poprzez przymus i walkę lub rezygnację, powoduje, że dziecko nauczy się wybierać to, czego nie chce, to, co niszczy jego pragnienia.

Modelem takiego samozniszczenia jest rytuał toksykomanii.

Odsunięcie od piersi to trudniejszy do odczytania komunikat uczuciowy, wywołuje ono niepokój i chęć odzyskania tego, co dawało poczucie bezpieczeństwa.

Patogeny niedobór miłości zmusza do wyłamania się spod rytuału miłosnego, zmusza do buntu, ucieczki odejścia, nawet w formach samobójczych, dla tych, którzy muszą się wydostać spod ciężaru zniewolenia.

Jeżeli dziecko doświadcza dawania „*bez miłości*”, samo bez miłości odda to, co uprzednio dostało. Dramat toksykomanów polega na tym, że nawet nie umieją oddać zła. Przyjmują zło jako wartość. Prowadzi to do zgody na zło, którym jest trucizna zastępująca miłość i wolność, symulująca sens i wartość życia. Patogenie szuka się miłości rodzica zamiast

poszukać jej w innym człowieku.

Fiksacja oralna może być rozszerzona w fazie edypalnej tak, że dziecko spostrzega swoich rodziców nieraz jako byty niemal wyłącznie seksualne.

Kiedy nie ma personifikacji, kiedy dziecko nie przebrnęło swojej wstępnej fazy albo zostało przez rodziców zablokowane, oni sami – rodzice, i ciało dziecka są wartościowane negatywnie, przechodzą w sferę cienia, stają się jego treścią – sferą kary, lęku i zniewolenia.

Introjekcja cienia, zarażenie nienawiścią i złem, domaga się fizycznego dopełnienia w postaci trucizny, wyzwolenia, które zniewala.

ROZDZIAŁ VI

Wyjechałam w maju do Krakowa, do Kasi. Chciałam odpocząć od ostatnich przeżyć, a także dalej nad sobą popracować z dala od miejsca, które wywoływało złe stany emocjonalne.

Spędziłyśmy z Kasią dni pełne wrażeń bycia z sobą, odkrywania siebie w przyjaźni. Pracowałyśmy wzajemnie się poznając.

Był to czas prawdy i odkryć, tak jak poznaje się nieznaną łódź, na którym pragnie się zamieszkać.

7 maja – Kasia powoli mi się zwierza, ofiarowuje siebie w przyjaźni. To cudowna istota.

Wspólnie czytamy „*Kokainę*”, wtedy nie boję się wspomnienia tego tekstu ani tego, co on zawiera.

Lagerkvist. „*Tylko bogowie mają wiele losów i nie muszą nigdy umierać. Są przepelnieni wszystkim i przezywają wszystko. Wszystko z wyjątkiem szczęścia człowieka*”. (Sybilla).

To, co ja przeżyłam, te tysiące agonii i zmartwychwstań, to moje przekleństwo i błogosławieństwo.

Mój los nadludzki na ziemi, moja wędrówka. Będę dalej podążała tą drogą, wypełniała nią siebie i innych.

W miłości i twórczości.

W człowieczeństwie.

W cierpieniu i radości.

W świadomości tajemnicy istnienia, którą poznałam do końca. Stale odczuwam obecność Boga, który przychodzi stamtąd.

Kasia mnie kocha, a ja ją, spełnienie miłości to największe szczęście. Ofiarowanie swojej jaźni drugiemu, w wolności wyboru bycia do końca sobą.

Kasia zaprowadziła mnie na cmentarz krakowski i zobaczyłam na jawie drzewa, które obserwują oczami sędziów. Pomiedzy alejami ogromnego parku wylaniają się, ot tak sobie, setki, tysiące grobów. Tutaj została połączona sprzeczność życia i śmierci. Tutaj jest to naturalne – groby i piękna zieleń, wręcz baśniowa. Tutaj jest to naturalne, że życie przechodzi w śmierć i powraca w cyklu natury, który się spełnia.

10 maja – Kiedy dopada mnie męcząca, wręcz dręcząca bezsenność, rozsypuję się zbyt gwałtownie, wątpię i trzeba mi się potem mocno podnosić.

Ewa zabita we mnie mężczyzną, Chrystusa, i „*Kokainę*” pisałam jako kobieta – Wielka

Nierządnicą. Potem narkoza zabiła we mnie kobietę – Matkę Boską, i jako Chrystus chciałam wstąpić do nieba.

Tadeuszu, coś jeszcze jest w mojej chorobie. JEST, bo mnie męczy.

11 maja – Dokonuję dalszej analizy przy Kasi. Analizy schizofrenii i mego życia.

Tadeuszu, PRAWDZIWY ZŁOCZYŃCĄ W DOMU JEST MOJA MATKA. matka, która nigdy mnie nie kochała, która jedynie przez całe życie wypełniała wobec mnie swój obowiązek bycia matką. Anioł śmierci, który oddziela duszę od ciała.

We mnie zawsze były dwie postacie, mężczyzny i kobiety, w zależności od urojenia przeważała we mnie dana płeć. Zostałam chłopcem w 14 roku życia ponownie, bo ojciec całkowicie zanegował mnie jako dziewczynę. By ratować się przed całkowitym zniszczeniem z jego strony, stałam się męską, była to jedyna forma samoobrony.

To mój ojciec prawdziwie cierpiał, kiedy umierałam, to on cicho łkał, był w prawdziwej rozpacz. To matka jest prawdziwie silna. Zawsze była silna. Zabiła mnie psychicznie, dokonała na mnie aborcji emocjonalnej. Była aniołem śmierci. Ja byłam nią i dokonałam na sobie aborcji. I byłam katem, który zabił Chrystusa, by wniebowstać.

Topór to symbol kary, egzekucji, narzędzie sprawiedliwości, obrony wolności. Dlatego go ujrzałam, jak go trzymam w dłoni.

Sprawa miłości to wybór. Ja byłam matki WYMUSZONYM WYBOREM, z lęku z niemożności przeciwstawienia się nakazowi. I dlatego ukarała za to ojca, dlatego popadł w alkoholizm.

UKARAŁA GO ZA MOJE POCZĘCIE!!!

Podświadomie czułam, że mnie nie kocha, więc zawsze szukałam zastępczej matki. Ojciec mnie wybrał, kochał pomimo karania, które na mnie przynosił, i zdradził, więc był winien.

Dlatego od urodzenia byłam w chorobie sieroczej. Żadnego kontaktu emocjonalnego ze strony matki. Matka mnie okłamała nieświadomie, zajmując się mną, dawała złudzenie, że jej na mnie zależy, by w końcu mnie zniszczyć.

Ojciec nie wytrzymał psychicznych kar ze strony matki, za to, że musiała mnie urodzić, i zaczął pić i przeniósł karę na mnie, na najsłabsze ogniwo w rodzinie, na moją płeć żeńską.

Dlatego też uciekałam w męskość.

Matka była zbyt silna, by się jej przeciwstawił, a ja łatwo stałam się ofiarą.

Poznałam tę moją prawdę do końca w Krakowie. Na szczęście była przy mnie cały czas

Kasia i mogłam spokojniej to unieść.

Nawet mój brat mnie nie kochał. Tak, mam brata, to dziwne, lecz prawdziwe. Był nicością, prawą ręką Matki – śmierci.

12 maja – Cały czas rozmawiam z Kasią o sobie, o niej, o nas. Nie będę żebrała o miłość tych, którzy mnie nie akceptują takiej, jaka jestem.

Ojciec wygrał jedną sprawę z matką – moje poczucie, wygrał swój model rodziny, tylko raz był silniejszy. Nie, dwa razy, kiedy wyszedł z picia alkoholu, a wcześniej, kiedy przeżył Syberię.

Nie potrafię, nie potrafię jeszcze pogodzić się z brakiem miłości ze strony matki. Jest to żal, poczucie krzywdy, ból, ból. Nie potrafię jej wybaczyć tego, że mnie nie kochała.

Zadawano mi ból kłamstwa przez 32 lata. Bo bez miłości nie ma życia. Dlaczego tak długo istniałam? Skąd mam taką siłę?

13 maja – medytacja Kasi dla mnie:

„Tęsknię za Tobą, gdy odchodzisz w inny świat. Tęsknię za Tobą, gdy rozmawiasz z Bogiem czy szatanem. Tęsknię za Tobą, gdy przestajesz nosić swoje imię, stając się Chrystusem.

Tęsknię za Tobą, gdy Cię nie ma tu na Ziemi.

Tęsknię za Tobą, gdy nazywasz siebie swoim imieniem. Tęsknię za Tobą, gdy opowiadasz o innych z tą. Tęsknię za Tobą, gdy jesteś tu na Ziemi.

Tęsknię za Tobą gdziekolwiek jesteś i kimkolwiek jesteś. Tęsknię...

Kasia”

Tadeuszu, jestem tak udręczona domem i tym, co się wydarzyło, tym co mnie tam spotkało, że nawet nie nienawidzę, jedynie obojętność zakrada mi się do serca.

By wyjść z nałogu, nie wystarczy być w końcu pokochanym. Trzeba umieć pokochać drugiego.

Nie sztuka dać się pokochać, sztuką jest odpowiedzieć miłością na miłość.

Tak, Tadeuszu, był to szantaż emocjonalny. Nie wiedziałam, że nie można wymusić na matce miłości i podświadomie ją szantażowałam, by mnie pokochała. Czuję się oszukana. Nie mam po co wracać do domu, nie mam do kogo.

Powroty do domu to kolejne Golgoty. Zawsze mam wtedy wizję rozstrzelwanej czaszki.

15 maja – W halucynacjach widziałam mnicha w czarnym kapturze z bladyszczą twarzą, klęczącego przed ogromnym krzyżem, na którym wił się przerażony Chrystus. Czyżby szatan

modlił się? W jakim celu wstąpił do świątyni?

To niepojęte, jak można tęsknić za osobą, zapachem, gestami, przytulaniem, bliskością.

Nigdy wcześniej tego nie odczuwałam.

16 maja – Powrót do domu. Halucynację. Matka stale rozwija nade mną pajęczą sieć, chce mnie nieustannie dokarmiać. Zniewała mnie nadopiekuńczością, traktuje jak gówniarza. Kat, który czuwa nad ofiarą, by była cała i zdrowa w dniu egzekucji.

A. Kępiński – Schizofrenogenna matka nadopiekuńczością maskuje brak miłości.

A ciało schizofrenika jest bardzo odporne, bo potrafi unieść niewyobrażalne ciosy, zranienia i stresy.

21 maja – Śmierci, znowu z tobą rozmawiam, nieobecność pogłębia się, lecz nie uciekam ani do piekła, ani do gwiazd, ani w przyszłość, ani w przeszłość. Jestem w zupełnie innej czasoprzestrzeni, tak odmiennej, to wymiar ponad wymiary. Zjednoczenie schizofreniczne.

Wracając z Krakowa do domu wydawało mi się, że już jestem silna i mam wszystkie problemy rozwiązane, bo doszłam do końca prawdy o tym, co się wydarzyło. Jechałam z nadzieją, że jestem poza mocą matki i ojca, że nie mogą już mi zrobić żadnej krzywdy.

Nie umiałam stanąć przed matką i opowiedzieć jej o swoim cierpieniu, nie umiałam jej powiedzieć, że mnie nie kocha, bo nie ma takiej świadomości, że oszukuję siebie przez całe życie. Jediną metodą było odejście z tą, bo czułam, że ponowny kres jest coraz bliżej, a przecież nie chciałam umierać. Musiałam albo umrzeć, albo wyrzucić jej prawdę, albo odejść stąd. Matka nie dała mi żadnej szansy na zdrowie, inaczej musiałyby przyznać, jak bardzo cierpiałam.

21 maja c.d. – Dopadają mnie myśli rezygnacji i udręczenia tym, co się wydarzyło. Dzisiaj osaczyło mnie pragnienie śmierci i samobójstwa. Dzisiaj żałowałam, że mnie odratowano.

Tęsknota za wniebowstąpieniem. Jestem dwupłciowa?

23 maja – Boli mnie całe moje istnienie.

24 maja – Jak unieść taką rozpacz, jakich sił trzeba, by unieść to wszystko, udźwignąć pogodzić się z losem. Miałam poznać coś, co mnie przerasta. Rozpacz się dopełnia. Kim jestem?

Nie mogę tak po prostu polecieć w Kosmos.

To śmierć w przebraniu mnicha w czarnym habicie przyszła modlić się pod krzyżem, na którym wił się przerażony Chrystus. Kim trzeba być, by wybaczyć idealną zbrodnię, która

prowadzi do samobójstwa dziecka, emocjonalną aborcję?

25 maja – Czy można mocniej oszaleć? Czy istnieje kres szaleństwa? Jestem tu i tam, idealnie rozdzielona na dwa światy. Teoria podwójnego wiązania spełniła się na mnie. Nadopiekuńcza matka na zewnątrz, która wewnątrz podświadomie nienawidzi i nigdy sobie tego nie uświadomi. Dlaczego aż tak okrutny jest człowiek w oszustwie. W prawdziwym obozie było mniej więcej wiadomo, kto jest katem, a kto ofiarą, kto jest prawdziwym złoczyńcą.

Czuję się całkowicie pokonana, przegrana, zdruzgotana. Czuję się w pułapce. To moja matka przegrała życie, ja jeszcze mam szansę, by je wygrać.

„Każdy niewolnik ma moc zrzucenia więzów” – Cezar.

Czym jest właściwie schizofrenik? Odrodzeniem się wszystkich archetypów w jednej osobie?

26 maja – Wybudzam się teraz z porannym lękiem związanym z matką, w przeciwieństwie do lęków nocnych, związanych z ojcem. Nie można po wyzwoleniu być dalej w obozie, dlatego mój ojciec nigdy nie chciał pojechać w odwiedzinach do Związku Radzieckiego, po koszmarze Syberii.

Dzisiaj jest Dzień Matki. Nie mam matki. Nigdy nie miałam, była mi katem od początku. Przetrzywanie czasu.

Ciągły konflikt, ciągłe poczucie niższości, stały problem matki, niemożność pogodzenia się z wyrokiem na mnie, to jest do końca zaprzeczenie temu wyrokowi i krzyknienie – Ja mam prawo żyć jako ja Basia – jako byt w pełni wartościowy.

Dworzec w Częstochwie. Zadzwoiłam do Tadeusza i spytałam, czemu nie mogę wyzdrowieć.

Powiedział, że siedzę w miejscu, gdzie zaczęła się choroba. Postanowiłam wyjechać do Warszawy, do księdza Pawła, który mi obiecywał pracę i jakieś mieszkanie.

Czekałam na pociąg do Warszawy. Przetrzyłam czas i zapętliliłam się, ta droga kusi do samobójstwa.

To okrucieństwo – siedzenie w domu, to wystawienie się na odstrzał. Jadąc tramwajem na dworzec, miałam nakaz otrucia się, głosy wewnętrzne kazały mi wrócić i dokończyć życia.

Udało mi się wysiąść z pociągu.

ROZDZIAŁ VII

Udało mi się dojechać do Warszawy. Powiedziałam Pawłowi, że nie mogę wrócić do domu, nie wyjaśniając do końca przyczyn. Spadłam mu jak z nieba i musiał zacząć działać. Na razie zamieszkałam na plebani i mogłam tam być jedynie tydzień. Wtedy poznałam Sonię, którą Paweł się zajmował, mieszkała na stacji pod Warszawą i miała pół roku abstynencji.

Odegrała nieco później ważną rolę w moim życiu. Siedziałam na plebani pełna napięcia i lęku, z poczuciem koszmarnej bezdomności, zawieszona pomiędzy halucynacjami a rzeczywistością, bez pracy, bez bliskiej osoby. Kasia musiała być w Krakowie, kończyła pisanie pracy magisterskiej i przygotowywała się do obrony.

27 maja – Czasami dopada mnie uczucie duszenia przez zawiniętą wokół szyi pępowinę.

Nigdy nie sądziłam, że jest to aż takie głębokie, że sięga życia płodowego i momentów zaraz po urodzeniu. Matka wtedy podświadomie, a także świadomie mnie zanegowała.

28 maja – Bezdomność jest stanem koszmarnym. Powrót do domu oznacza pełną psychozę i śmierć. Nie mogę tam na przykład przetrwać choćby kilka miesięcy. Jest to już niemożliwe.

29 maja – Poranne lęki. Wydaje mi się, że zaraz się na mnie zwali cały świat i przygniecie, dusząc bez krzyku.

1 czerwca – Każdy dzień pracuje na moją korzyść. Odracza wyrok, który się we mnie jeszcze tli, z którym podjęłam ostateczną walkę. Oddzielenie się od tona, rzeczywiste narodziny.

Poczułam to wczoraj w pociągu do domu. Pojechałam tam z Sonią po maszynę do pisania, by móc *przepisać „Kokainę”* i oddać ją wydawcy. Jadąc do Częstochowy, jechałam do łona, w sen, umieranie, pod „*respirator*”, w zależność. Pojawiły się pierwsze konflikty z Pawłem, który wyczuwa, że Sonia, z którą zamieszkałam na stacji, zaczyna się pod moim wpływem od niego uniezależniać.

W domu byłam kilka godzin, dłużej to nie mogło trwać. Nie potrafiłam podjąć walki, jeszcze nie potrafiłam im wykrzyknąć swojego cierpienia, do czego nieustannie mobilizował mnie Tadeusz. Inaczej to mnie doprowadzało do szaleństwa, nie mogłam wyzdrowieć trzymając to w tajemnicy.

3 czerwca – Walka, jaką toczę o siebie od 4 miesięcy, jest zbyt horrorystyczna. Tadeuszu, brakuje mi sił. Jak unieść ból siebie, kiedy nie mam już sił. Boże, co jest nie do uniesienia?

Świadomość? Nieświadomość mnie zabiła. Halucynuję, panicznie się boję. Kasiu, Kasiu,

gdzie jesteś? Nie zostawiaj mnie, już mnie nie opuszczaj.

4 czerwca – Nadal mieszkam z Sonią. Obie nie jesteśmy w najlepszej sytuacji, ją rozkłada depresja, brak poczucia stabilizacji. Paweł zamknął ją na stacji i do tego przychodzą jacyś skretyniali ludzie, by ją kontrolować.

Wybudzam się w porannym, silnym lęku. Problem matki . Nakaz powrotu i śmierci ściga mnie. Ból jest nie do uniesienia. I brakuje mi sił, by dalej walczyć. Przepisuję „*Kokainę*”.

Poddać się to wypełnić „*Nakaz*” matki do końca. Czuję się cały czas osaczona. Osaczona i zapętlona. Dokąd miałabym się udać, by nie ścigał mnie wyrok? Bycie z kimś bliskim jest lekarstwem.

Paweł rywalizuje ze mną o wpływ na Sonię, o pierzeństwo ruchu, który stworzył, by pomagać narkomanom. Nie mam żadnego zamiaru z nim o to walczyć i odebrać mu jego zasług.

Nadal zbieram męskie projekcje – tajemniczego ojca.

Sonia też we mnie widzi jakiegoś faceta. Jak przepisywałam „*Kokainę*”, miałam stale fantazje, że się truję i wymysły techniczne, jak to chciałam zrobić. Chcę zmartwychwstać albo przeskoczyć na poziom kobiety.

5 czerwca – Skończyłam przepisywanie „*Kokainy*”. Planowanie idealnego samobójstwa nie opuszcza mnie.

Nie chcę odchodzić. Chcę żyć.

Ciągle zadaję sobie pytanie dlaczego? Jak to się stało, że tyle lat uchowałam się w psychozie, maskując się. Dopiero Tadeusz rozpoznał, że jestem chora. Nie kochano mnie, więc nie zauważono choroby. Nikt nie chciał przyznać się do tego faktu. Nikt nie chciał przyznać się do winy.

Jak to wszystko mogło się zdarzyć? Jeszcze mi trzeba będzie walczyć z zagrożeniem psychozy, a raczej z zagrożeniem samobójstwa w psychozie.

Odłączenie od domu. Z chorobą sobie poradzę. Lecz głosy, które każą mi się otruć – nie mogę wrócić do domu.

6 czerwca – Nie wyszła sprawa z mieszkaniem, muszę nadal mieszkać z Sonią, pomagam jej pracować nad sobą, lecz jej lęki też są bardzo silne. Jutro jadę do Częstochowy na spotkanie z Kasią. Wszystko jest jakimś wyjściem. Tylko powrót tam na dużej jest śmiercią. Takiego wyjścia nie chcę. Nie chcę. Chcę żyć, prosto żyć, mieć swoje miejsce, pisać i pomagać innym. Tak niewiele pragnę, kochać i być wolną. To najwięcej. Mam na to szansę.

Wyrok śmierci zmusza mnie do rezygnacji z psychozy. Kocham, dlatego chcę wygrać.

W tym czasie dzwoniłam kilka razy do Tadeusza, mówiąc mu, że nie najlepiej się czuję.

Złościł się na mnie, że zamiast szukania pracy i mieszkania idę ponownie w chorobę, ale ja tego nie byłam w stanie kontrolować, wymykało mi się to i znowu szło własnym torem. Nie rozumiałam, dlaczego to stale we mnie jest, jeżeli doszłam do końca analizy. Była to prosta sprawa – konfrontacja z rodzicami, dla mnie prawie nieosiągalna.

Byłam na wykładzie Tadeusza, który opowiadał także o psychozie i o tym, co złego może się zdarzyć w życiu człowieka. Są to: Zabójstwo. Gwałt.

Brak miłości.

Tylko Tadeusz nie powiedział jak to unieść, kiedy te trzy sprawy wydarzyły się w życiu jednego człowieka. Jak to unieść, nie miałam odwagi zapytać Tadeusza. co mógłby mi odpowiedzieć?

Jak unieść taki los? Powiecie, że ludzie w obozach przeszli przez to samo i unieśli. Czy to jest na moją siłę?

To wszystko może się zdarzyć i nie ponosi się winy, nie jest się za to odpowiedzialnym, że stało się ofiarą. Nie jest się odpowiedzialnym, że go nie kochano. Jest się jedynie odpowiedzialnym za to, że się nie kocha.

Prawda jest najmocniejsza. Poznałam ją. Jak z nią żyć? Depresje, depresje.

Co mnie znowuż tak niepokoi?

Tadeusz tak pięknie podsumował życie psychotyka. Ja do tego doszłam w cztery miesiące, a wcześniej przez 32 lata.

Trzeba mi do końca oddzielić się od matki, urodzić się raz jeszcze, złapać pierwszy krzyk, który stale blokuje, bo dopada mnie w nieodpowiednim momencie, na ulicy czy w autobusie.

Nie mogę zrobić pierwszego krzyku, bo jestem zablokowana w macicy i narażona cały czas na aborcję, na wyrok, jaki wydała wtedy na mnie matka.

Psychoz jako gra. Nie dowala rodzicom, dobija klienta.

Namalowałam matkę jako ptaka, który chce mnie wchłonąć z powrotem w czarną dziurę.

Obrona to narodziny, a także w końcu prawdziwa konfrontacja i usamodzielnienie się. Danie sobie prawa do życia jako ja – Basia, tego czego ona mi zabraniała przez całe życie.

Boli mnie ich nieświadomość – nareszcie to przyznałam.

Oni stale prowadzą swoją grę w pseudomiłości!!!

Mam od nich „zakaz życia”, poza symbiotyczną formą, która prowadzi do unicestwienia.

Tadeusz: „Jeżeli w sobie zabije dziecko, to osoba zabija potem innych”. To mnie męczy, Tadeuszu, to mogło stać się ze mną.

Przyjechała Kasia, byliśmy razem na łąkach nad moją rzeką, oswajam te miejsca, gdzie kiedyś umierałam, które mi się kojarzą ze śmiercią dziecka z tamtych lat.

Najokrutniejsze są nasze rozstania.

Och, boska Schizofrenio. Gdybym mogła Tobą władać. Lecz Ty szalejesz tu i jesteś jedynie śmiercią moją.

Faza oralna oznacza dwupłciowość. Czy jestem w tej fazie, czy jeszcze się nie narodziłam, nie było pierwszego krzyku.

8 czerwca – Czasami patrzę zupełnie nie widzącymi oczami, słucham nabrzmiałymi uszami, tylko węch mi się wystrzył i dotyk wrażliwy na przytulanie.

9 czerwca – Rano lewitowałam, kołysałam się w Kosmosie, a myśli wewnątrz rozmawiały ze mną, bym uleciała ostatecznie, i przychodziły nowe kombinacje samobójstwa, lecz zwalczałam to. Kasia wyczuwa moje ucieczki i wtedy mnie przytula.

WALCZĘ ZE ŚMIERCIA, BO NIE UMIEM STANAĆ WOBEC MATKI.

Jeszcze nie pozwalam sobie na radość bycia tak po prostu, na bycie sobą do końca.

Na siebie pozytywną.

Na bycie naturalną.

Na natychmiastową prawdę.

Nie pozwalałam sobie na agresję.

Umiem:

Pomagać innym, kochać, wygrywać ze śmiercią, płakać, jestem silniejsza od lęków, zachowałam człowieczeństwo, pomimo takiego zyciorysu.

Walka jest stanem przynależnym człowiekowi. Ja walczę wewnątrz, w stanie psychotycznym, bo nie walczę na zewnątrz, z ludźmi czy realnymi zdarzeniami.

Kasia odprowadziła mnie na dworzec do Warszawy. To zbyt okrutne rozstawać się. Potrafię kochać, Kasiu, moja dusza, wcześniej całkiem zamrożona, odtajała i poraził ją przeogromny głód miłości.

Rozstanie na 11 dni.

10 czerwca – Zajęta walką wewnętrzną nie rozpoznaję wroga na zewnątrz i od razu mnie

atakują. Był Paweł. Jego antyterapia na Soni jest zbyt okrutna. Pracuję nad Sonią, by się wyzwoliła, lecz czy ona do końca tego pragnie? Dużo z Sonią malujemy, to wycisza emocje

Tadeusz: „Szatan chce się zbawić poprzez nas, poprzez naszą śmierć w świadomości”.

11 czerwca – Kasiu, gdzie jesteś, płynę, rozpływam się. Demony, schody, halucynacje. Jego oczy stale mnie obserwują.

Boję się życia. Boję się wszystkiego. Czego chcę? Wolności. Czy wytrzymam tę walkę, tę negatywną siłę, która się we mnie stale odradza? To kurestwo, które jeszcze mną włada. Jak to unieść, ciemne moce, śmiech szatana, absurd istnienia w normalności, rozpady, rozszczepienia, sny, kosmosy, paranoje, urojenia –niemożność, a jednak wciąż w walce, topiel poza mną jeszcze, nawet z otchłani mi się udało powrócić, z totalnej paranoi, z kompletnej samotności w miłość, potrafię tak kochać, tak tęsknić.

Kasiu, gdzie jesteś, dokąd dzisiaj odeszłaś, dlaczego Cię tu nie ma. Twoje pocałunki przywracają mnie ziemi. Jestem ziemską, erotyczną, spragnioną, bolesną, złą i dobrą, ludzką.

Uczę się przy Tobie i dzięki Tobie dawania prawdy jako największego daru w przyjaźni.

Kocham życie takim, jakie ono jest. Mam cudowną świadomość, że akceptujesz mnie, Kasiu, w każdym stanie mego istnienia.

Nie pozwolę sobie na odejście stąd, nie pozwolę, bym cię utraciła poprzez odlot w kosmos zupełnie nierealny, zbuntowany, patologiczny, nierealny do granic wytrzymałości. Nie pozwolę, bym w sobie ciebie utraciła. Twoja miłość i moja miłość chronią mnie przed całkowitym odejściem.

Nawet na bycie schizofreniczką sobie nie pozwalałam, bo tego by nie zaakceptowali rodzice.

12 czerwca – Chcę umrzeć, Tadeuszu.

Tadeusz namawiał mnie na jakąkolwiek działalność, mobilizował do znalezienia pracy, lecz nie mogłam niczego zorganizować, czułam się zupełnie wyczerpana bezdomnością i tym, co się wydarzyło przez ostatnie miesiące, potrzebowałam spokoju, bliskości z przyjacielem, wyciszenia się, i nie miałam tego w Warszawie, wszystko było niepewne, pogmatwane. Prawie codziennie dzwoniłam do Tadeusza, a on mnie strofował jak dziecko i przekonywał, że jak chcę, to potrafię. A ja już nie potrafiłam, nie miałam żadnych sił na ciągnięcie czegokolwiek.

Stale tkwił we mnie problem rodziców, zwłaszcza matki, musiałam tę sprawę dokończyć, inaczej mogło to się skończyć tragicznie.

14 czerwca – Halucynację. Jest to jedyna działalność, na jaką mnie stać, ucieczka i nic więcej. Jak to wszystko unieść, codzienne umieranie po sto razy, co chwilę, zbyt boleśnie, zbyt tragicznie. Kim jestem, że jeszcze to unoszę, wygrywam każdą godzinę, czasami minutę, ba, sekundy, kiedy można przeciąć nić istnienia rzucając się w przepaść.

Dlaczego tak, dlaczego właśnie tak przebiega moja choroba, Tadeuszu? Wykonuję wyrok za matkę.

Kim teraz jestem?

15 czerwca – Boże, co za horror, rano chciałam się otruć. Miałam dzisiaj połączenie z Kosmosem.

Namalowałam diabła na krzyżu.

W końcu doszło do konfrontacji z Pawłem, powiedziałam, że załatwia sobie swoje sprawy na Słońce, dręcząc ją.

16 czerwca – W nocy halucynacje – smoki, potwory, demony i te oczy, które stale mnie obserwują. A rano walka z głosem wewnętrznym, który nakazuje odejść, otrucie, i nieustanna walka i płacz. Boże, ile to będzie trwało.

Kolejny telefon do Tadeusza. Powiedział, że chcę być Bogiem, dlatego chcę się zabić, że to paranoja. Bo nie chcę się odłączyć od rodziców, nie chcę im zwrócić całej udreki, w którą mnie wpędzili bezmiłością i okrucieństwem. I że będę kombinowała, halucynowała.

NAPISAŁAM LIST DO DOMU. Napisałam im prawdę, że mnie zniszczyli, doprowadzili do samobójstwa. Oddałam im w liście 32 lata udreki. Samotność przerażonego dziecka.

Psychotyk nie potrafi oddać zła rodzicom, uwewnętrznia je. I projektuje na zewnątrz jako halucynacje. Rzeczywistość zostaje zlekceważona.

ROZDZIAŁ VIII

Mój stan w Warszawie zbliżał się do krytycznego, zapętliliłam się i nie widziałam wyjścia z sytuacji. Tadeusz namawiał mnie do konfrontacji z rodzicami, widząc, że samo oddalenie od domu nic nie daje. Skonsultowałam się z psychiatrą, który mi zaproponował dzienny oddział i pracę nad antylibidynalną postawą. Nie widziałam sensu w niczym, nie miałam żadnej motywacji do działania.

Odpowiadało mi życie z dnia na dzień, chodzenie po ulicach, zagłądanie ludziom w twarze.

Zapijanie lęku piwem na Starym Mieście. Lecz choroba podstępnie galopując rozwijała się i trzeba było podjąć jakiegokolwiek działanie.

Nie mogłam już mieszkać z Sonią. Tadeusz kazał mi gdzieś wyjechać na kilka dni i wpadłam na pomysł, by jeszcze raz zwrócić się o pomoc do pani Marii. Zabrałam swoje rzeczy i zjawiłam się w jej mieszkaniu usiłując wytłumaczyć, w jaki sposób znalazłam się w sytuacji bezdomności. Pani Maria mi nie uwierzyła, ale podjęła działanie i umieszczono mnie w dziwnym domu w Otwocku, wyobcowaną, u kresu.

18 czerwca – W mojej paranoi jestem Bogiem. Czy Bóg chce się unicestwić? Chce powrócić do nieba. Ja nie istnieję, po co mi ciało? Pobyt w Otwocku, w jakimś paranoicznym domu, wyobcowana, u kresu. Odliczanie czasu. Do czego?

Wieczorem, pogodzona z sobą i ze światem, teraz już zupełnie świadomie przedawkowałam leki i nie chcąc sprawiać kłopotu osobie, która mi zaufa, poprosiłam o wezwanie pogotowia z powodu ataku serca. Nie miałam dostatecznej ilości trucizny, by się otruć, ale tego nie wiedziałam. Podczas transportu do szpitala zaczęłam tracić świadomość i cała następna noc jest wielką niewiadomą. Byłam bardzo pobudzona, gryzłam personel, rozwiązywałam się z pasów. Rano powoli zaczęłam odzyskiwać świadomość i przewieziono mnie do szpitala psychiatrycznego w Pruszkowie, słynne Tworki. Na przywitanie dostałam w twarz od salowej.

To było dla mnie dopełnienie, sygnał końca, upadek.

Byłam ubrana w szpitalną koszulę i kaftanik od piżamy. Poszłam do ubikacji i poczekałam, aż wszystkie pacjentki wyjdą. Ponieważ był to oddział obserwacyjny, ubikacje nie miały drzwi. I powiesiłam się na kaftaniku. Ostatnia emocja, jaka mnie dosięgnęła, to uczucie ogromnej ulgi, że to już po wszystkim, że to naprawdę koniec.

Obudziłam się po kilkunastu godzinach, związana jak baran, w kaftanie bezpieczeństwa.

Wisiłam może około trzech minut. Pierwsza pacjentka, która mnie zobaczyła, wystraszyła się i powiedziała drugiej pacjentce, ta dopiero zawiadomiła personel. Decydowały sekundy.

Na szczęście na miejscu był lekarz, co na wielkiej psychiatrii zdarza się rzadko. Podjął reanimację.

Byłam już bez oddechu, serce stanęło. Śmierć kliniczna. Byłam w tunelu, a wokół mnie była doskonała czern.

Masaż serca i sztuczne oddychanie przywróciły mi pracę serca i oddychanie. Zaskoczyłam, jak mawiają lekarze.

Dwie następne doby, które mgliście pamiętam, leżałam związana w dziwnej sali obserwacyjnej, gdzie działo się wiele. Pacjentki szalały, wyły, śpiewały, głosiły swoją prawdę. Mnie uspiono fanactilem.

Tak odnalazła mnie Kasia. Już mnie nie wiazano, nie pamiętam, co do niej mówiłam, jaki czas ze mną spędziła. Była także matka, wobec której byłam agresywna.

22 czerwca przyjechali po mnie ciocia, wujek i matka. I na szczęście Kasia. Rodzice dostali mój list.

Wysłałam z powieszenia bez komplikacji. Kolejny cud. Czy mam opisać świtu swoją tajemnicę?

Kasia usiłuje mnie ratować, jest ze mną, po prostu jest. Ja też mam swoją wytrzymałość.

Powiesiłam się jak Judasz.

Psychoza i psychoterapia to gra. Psychotyk prowadzi nieświadomą grę wobec terapeuty, a terapeuta prowadzi grę wobec klienta, że jest OK.

25 czerwca – Dzisiaj są moje urodziny, skończyłam 32 lata. Ojciec mnie przeprosił, powiedział, że mnie kocha, prosił o wybaczenie. Matka dalej prowadzi grę w miłości, lecz coś do niej dotarło, opowiedziała mi o sobie trochę więcej, że nigdy nie umiała okazywać uczuć.

To prawda, wobec mego brata umie okazywać uczucia, bo go kocha.

Dzisiaj miałam halucynacje boskości, wielkości, moje ciało obejmowało kulę ziemską. Jakiej płci teraz jestem? Czy jestem kobietą? Czy powiesiłam mężczyznę?

Poza tym jest przy mnie Kasia.

Kasia opowiedziała mi, jak ona to wszystko uniosła. To nie dla mnie, nie na moje pojęcie.

Nie na moją siłę. Na moją siłę jest stąd odejść. Na to jestem gotowa.

Byłam u psychiatry, mam skierowanie na oddział w Częstochowie.

Jutro też jest dzień.

ROZDZIAŁ IX

Zgłosiłam się na oddział psychiatryczny w Częstochowie i zostałam przyjęta. Nie było tu mnie od 16 lat, a jednak pamiętano mnie. Długo rozmawiałam z ordynatorem, usiłując mu wyjaśnić potęgę diabła, który mnie prześladowuje. A szatan siedział sobie obok i przysłuchiwał się naszej rozmowie.

27 czerwca – W nocy OCZY powróciły i przyglądają mi się uważnie. Niestety nie jest to Bóg, to oczy szatańskie. Co się stało?

Czy sprzeniewierzyłam się ostatecznie Bogu przez powieszenie? Kto mnie wzywał wtedy w Tworkach? Kto nakazywał tak gwałtownie odejść? Czy była to boska moc czy szatańska?

Kim teraz jestem w psychozie? Bogiem o złej i dobrej stronie, ciemnej i jasnej. Podwójne imię, podwójne sny, dwie moce walczące z sobą. Jedna i druga wzywa mnie jednocześnie do odejścia. Zgubiłam się w analizie. Kara ostateczna – śmierć.

Dlaczego chcę umrzeć? Głód miłości jest tak olbrzymi, tak potworny, że może on mnie właśnie pochłania, może ta siła pcha mnie do śmierci, do boskiej miłości, tylko ta miłość jest najpotężniejsza.

Wygrywam z szatanem, poddaję się boskiej mocy, która we mnie wstępuje. Dopóki walczę z szatanem, Bóg mnie nie powołuje.

Ja siebie powołuję, wzywam TAM. Jeżeli jest we mnie tyle boskiej mocy, to TU szatan nie może ze mną wygrać. A śmierć? Jest jedynie formą urzeczywistnienia drogi.

Chciałabym zasnąć na dnie morza. Tu jestem nieustannie obserwowana. Zbyt wiele oczu przygląda mi się, zbyt wiele rąk mnie dotyka. Zapach jest zbyt intensywny. Słyszę zbyt wiele prawd. Nie wolno mi ich przekazywać. Mam wyrzec się wszystkiego, nawet pisania, mojej poezji, która rozkwita, świata realnego zupełnie do końca. Mam rozbić lustro i wejść TAM, na drugą stronę. Czas jest bliski.

Mam poczucie rozrywania czy przerywania czegoś we mnie, jakiejś pętli, te dłonie rozwalają mi trzewia, wyrrywają serce, o dziwo, podwójne, bijące sprzecznymi rytmami, wołają mnie, czekają na korytarzu z nożami, na moje potknięcie przy próbie ucieczki.

Rozstrzeliwują mnie. I z powrotem ładują broń. Kule są ostre, lecz nie roztrzaskują czaszki.

28 czerwca – Leki zaczynają działać, podsypiam. Mój Kosmos wygasa, coraz więcej czarnych dziur. Czas odmierzany obłędem. Czy wiem, że halucynuję, kiedy halucynuję?

Psychoza to walka dziecka z rodzicem, rodzaj obrony, ale i szantażu emocjonalnego, prośba o miłość, która nigdy nie może się spełnić.

Halucynacja jako rzutowanie świata wewnętrznego na zewnątrz, projekcja problemu, który zdaje się być nie do rozwiązania w rzeczywistości. Rodzaj halucynacji zależy od stopnia zranienia w dzieciństwie, urazu, nawarstwienia. W moim przypadku były to urojenia grzeszności i winy, potem, jako obrona, urojenia boskości.

Widzę płonący krzyż, cały w ogniu, a jednak nie wypala się, lecz świeci złotym blaskiem.

Obóz koncentracyjny. Powróciłam do niego, obłaskawiając moich katów. Kiedyś na tym oddziale skończyłam 17 lat, teraz mam 32 lata.

Wyjście z psychozy jest możliwe, trzeba chcieć. Inaczej pozostaje bezsilność ludzi wokół.

29 czerwca – Przesypiam cały czas. Krótkie halucynacje wzrokowe, nie boję się ich. Nic mi się nie chce, jestem specyfikowana lekami, odczuwam to teraz jako ulgę na ten czas, kiedy nie mogłam opanować lęku.

Jestem rozregulowana, z niepokojem ruchowym po lekach. Z samotnością w sercu, z pragnieniem w głodnych oczach, z rezygnacją w dłoniach. Kocham.

Ona we mnie znowu się odzywa, podszeptuje, kieruje moimi myślami, każe wypowiadać słowa, których nie chcę mówić, na przykład słowa modlitwy. Kim we mnie jest ta druga?

30 czerwca – Rodzina sądzi, że to tylko chwilowe załamanie, nie są w stanie pojąć, że choroba toczy mnie przez cały czas. Z mojej strony to też było „oszustwo”. Basia musiała być OK, zawsze i wszędzie. A teraz totalna rozsypka. Dół poniżej dołu, moje dno wkleśłe.

CHCĘ ŻYĆ.

1 lipca – Zwidy, majaki, sny. Jak to oddzielić od rzeczywistości? Czwarta doba w szpitalu.

Kim jest diabeł? Ja jestem Bogiem czy rodzicem? Wszystko mi się znowu poplątało. Świat nierealny jest realny! Co mi da wyciszenia neuroleptykami? Chwilowy spokój przetrwania?

Będę żyła. Chcę żyć, chcę wszystko „wykrzyczeć”. Chcę miłości. Chcę ofiarowywać siebie w zwykłej miłości.

2 lipca – Śpię i śpię. Obrazy pod powiekami przesuwają się nieustannie. Nie chcę teraz umierać. Odejdź!

Pomimo leczenia TO powraca. Nie chcę odchodzić w ten sposób. Dlaczego taka obsesja

śmierci? Matka, typ antylibidynalny. Dlaczego to kusi, by odejść?

Dokąd? Do nieba, do Boga, w jego objęcia. Lecz on nie chce twego czynu, wręcz szatańskiego.

Boże, dałeś mi ponownie życie, to teraz niech żyję. Ja chcę żyć. Mam do tego prawo.

3 lipca – Dzisiaj czuję się zdecydowanie lepiej. Podjęłam wczoraj decyzję, że chcę żyć. I będę żyła. Mam jeszcze trochę halucynacji i iluzji słuchowych.

Mam problemy zmyśleniem, tworzą mi się w głowie jakieś neologizmy czy inne sałaty słowne. Nie zdążę ich zapisywać, bo bardzo szybko ulatują. Jest to coś niesamowitego, taki zlepek sylab lub przetworzonych całych wyrazów i zdań.

Odwiedziła mnie matka. Tak trudno uwierzyć w oczywistą prawdę, jaką poznałam, momentami nie chcę w to wierzyć.

Moje połączenie z kosmosem słabnie. Czarne dziury płoną nowym światłem.

Co, Basiu, jesteś najlepszą dysymulantką, jaką poznałam. Kim jesteś, Basiu, czego ta druga teraz chce od ciebie, jeżeli już przezwyciężyłaś Anioła śmierci, to co pozostało? Dwie w jednym ciele czy dadzą się unieść? Czuję się trochę zagubiona w nowej postaci.

Ta rzeczywistość mnie przerosła, ta iluzoryczna, urojeniowa.

Kasiu, tęsknię za Tobą. Wygrywam, w końcu wygrywam z psychozą. Na życie nie jest za późno, życie jest teraz.

Mija kolejny dzień na psychiatrii.

4 lipca – List od Kasi. Wiem, że brakuje mi odwagi, by żyć. Za szybko doszłam do prawdy,

Tadeuszu, za mocno za boleśnie. Przeanalizowałam sama całe moje życie w cztery miesiące i prawda stała się naga, obnażona, a ja niezbyt gotowa do jej przyjęcia. A może to był ostatni dzwonek, by ją unieść.

Leki, jedzenie, spanie. Zbyt dużo czasu na myślenie.

Pierwsza istotna sprawa – ja chcę żyć.

Druga sprawa – będę pisała, chcę pisać.

Trzecia sprawa – samodzielność.

A czwarta – po prostu życie. Jak do tego wszystkiego doszło, już nie wiem. Nie należy tego rozpamiętywać. A jednak dzisiaj w łazience dopadła mnie tamta wizja siebie powieszanej.

Za świeże to wszystko, dopiero jestem po zamachu na siebie.

5 lipca – Prosiłam o przepustkę do domu. Już potrafię się obronić przed wizją śmierci.

Wtedy cała w środku krzyczę, że chcę żyć.

Odwiedził mnie ojciec. To po nim mam taką niesamowitą siłę przetrwania, on zwyciężył śmierć na Syberii wiele razy, w chorobach, kiedy nie było żadnej szansy na ratunek, nie poddał się. Tak jak ja teraz. Jestem silniejsza od wyroku śmierci.

Basiu, w końcu musi ci się to udać. W pędzie ku śmierci przeżyłaś już wszystko, śmierć kliniczną także. Na śmierć ostateczną jeszcze za wcześnie. Ja chcę żyć, jestem tego pewna.

6 lipca – Jestem na jednodniowej przepustce w domu. Kiedy lęk się wzmacnia, ogarnia mnie coś podobnego do głuchoty, jakby coś z zewnątrz nakładało na mnie ochronny kask, coś w kształcie kuli, jaką noszą kosmonauci. I wtedy słyszę szum w uszach, dźwięki do mnie nie dochodzą.

Mam problemy z podejmowaniem decyzji, bo sama do końca nie wiem, czego chcę.

7 lipca – Dziesiąta doba w szpitalu. Halucynacji chyba nie ma. Jeszcze pojawia się uczucie zagrożenia, lecz wynika ono ze mnie samej. Zdarza mi się często przeczuwać śmierć. Pobyt w domu zniosłam spokojnie.

10 lipca – Poprosiłam o wypis, szef się zgodził. Zobaczyłam rano twarz diabła wiszącą pod sufitem, w czerwono – czarnych barwach. OK, zabieram go stąd do domu.

11 lipca – Kasia przyjechała do mnie. Jest ze mną cały czas i jestem spokojniejsza.

12 lipca – Kuracja specjalna – przyjaciel, piwo, rozmowy, słońce. Śniła mi się epidemia AIDS w Polsce, ach te moje sny.

13 lipca – *Kocham, dlatego jestem.*

Jestem, bo kocham.

Jestem, kocham.

Kocham, jestem.

Jestem = kocham.

Kasia czyta moje dzienniki. Dowiaduje się, jak to było ze schi.

Nie ma nieskończonego zła czy dobra, takimi są jedynie szatan i Bóg. Kiedy istnieje się jako człowiek, albo zabija się siebie, albo rani się innych. Tak jest przez całe życie.

16 lipca – Kasia układa tekst, który będzie na okładce „Kokainy”. Jaki będzie tego efekt? I tak już jestem „etatową” narkomanką tego kraju, teraz mam zostać dziwką, pisałam ten tekst jako „Wielka Nierządnicą”.

Bóg jungowski jest doskonale wewnętrznie sprzeczny, zły i dobry jednocześnie. Tylko Chrystus jest nieskończenie dobry. Sam Bóg łączy sprzeczności w absolutnie dobra i zła.

Za szybko mnie to wszystko dopada, życie za szybko mnie dogania, jakby chciało powiedzieć, że już koniec z odlotami, już wystarczy gry w psychozy czy umieranie, że teraz trzeba mi tu zaistnieć, poczuć rzeczywistość, realne przeżywanie życia, a nie tylko w fantazjach, marzeniach, halucynacjach, kombinacjach, które w rezultacie realizuję na jawie.

Kasia mówi, że w Tadeuszu szukam spełnienia ideału miłości, bo on ma piękną duszę.

Kiedy słucham Kasi, kiedy opowiada mi o sobie, o przeszłości, dopada mnie tęsknota, by po prostu przeżyć choć kilka lat tak jak ona, trochę po wariacku, twórczo i radośnie, i nostalgicznie, bez wyznaczenia sobie kresu, bez dotykania pełni istnienia, które oznacza koniec bycia tutaj, studiując filozofię, czytając cudowną poezję, słuchając jeszcze piękniejszej muzyki, pisząc wariackie i genialne teksty. Tak pożyć, posmakować tej strony istnienia, której naprawdę nie znam, chociaż napisałam trzy książki i trochę wierszy.

Mój stały styl reagowania na stres to doprowadzanie się do stanu halucyjnego, ucieczka w chorobę. Bycie pacjentem to rola, którą odgrywam w sposób doskonały. Oczywiście cierpienie jest autentyczne, lecz podświadomie „wyreżyserowane”.

Obóz zagłady odradza się nieustannie od nowa w każdym schizofreniku, we mnie także.

Powraca wizja wykonania wyroku przez rozstrzelanie. Na szczęście jest to w rzeczywistości trudne ze względów technicznych.

Dlaczego nie chcę do końca powrócić? Czego tak naprawdę się boję? Dlaczego ponownie marzy mi się sen i senne bycie tutaj? Co mnie tak najbardziej zraniło? Brak miłości.

Wiesz Basiu, i nie chcesz się do tego przyznać ponownie przed sobą, w nowej świadomości, nie chcesz zaistnieć do końca jako osoba do końca dorosła, odpowiedzialna. Wolisz być tu, tam, ówdzie, nigdzie, ponad tam, lekka, bolesna, ponadczasowa, na swój sposób nieśmiertelna.

Jaka Bóg.

Dobrze, chcesz? Udowodnisz całemu światu, że byłaś schizofreniczką i wyszłaś z psychozy po 32 latach jej trwania. Ta praca jest do wykonania. Trzeba przez to przejść jeszcze raz, by sobie powiedzieć – to jest poza mną.

Kasie powiedziała mi, bym zapisywała radość. Nie potrafisz tego zrobić jak bólu i cierpienia.

Nie pamiętam dobrych rzeczy w moim życiu, a było ich przecież wiele. Były osoby, które mnie kochają i które ja kocham.

20 lipca – Diabeł nie zrezygnuje, ma nowe transformacje, był cały czarny z białymi ustami.

Tym razem nie przestraszyłam się.

22 lipca – Nie mogę mieszkać z rodzicami, zawsze będą próbowali mnie zniewolić. Siedzenie tutaj jest najbardziej wysublimowaną formą masochizmu, samoudręczenia. Kilka dni spędziłam z cicią. Jej miłość zawsze mnie ratowała przed czynami ostatecznymi. Gdyby nie jej miłość, zginęłabym dużo wcześniej.

24 lipca – Byłam z cicią w domku na wsi. Po prawie roku od tamtej historii z Ewą. Konfrontacja wypadła OK. Tamto zdarzenie mnie już nie rani. Nie mam już poczucia winy.

Mam swój świat fantazji, do którego miewasz wstęp, Kasiu, i to jak na mnie jest szalony postęp. Nie można wejść w człowieka do końca, jest ten element mrocznej duszy, gdzie nikt, ale to nikt nie wejdzie, ten margines absolutny prywatności niezbędny do zachowania własnego ja. To osobista wolność. Miłość bez wolności jest tylko udręką. To wszystko oznacza, że jesteś dla mnie najważniejsza.

25 lipca – Zaczęłam się uczyć bronić przed innymi. Popatrz, przyjacielu, kończy się ten szalony dziennik, jestem coraz bliżej zdrowia, częściej powracam tu dzięki miłości. Wiem, że człowiek najpierw musi siebie zaakceptować, pokochać, aby stać się osobą dla samego siebie i dla drugiego człowieka.

Pisząc teraz Schi, powrócę, by nabrać do niej dystansu. Jest mi to potrzebne, by ostatecznie żyć w zgodzie z sobą i w spokoju.

Przeszłam tak wiele, można rzec – wszystko, i Twój los, Kasiu, był piekłem. Trzeba nam rozpocząć inny los, twórczy, bez ładowania się w sytuacje paraliżujące, a kiedy przyjdą do nas mocne zdarzenia, chcę umieć spokojnie ocenić sytuację i mądrze pomóc sobie i innym.

Chociaż znając prawdę, do której dane mi było dojść, wiem że sytuacje często bywają beznadziejne.

I także pragnę się przy tym umieć ochronić, tj. przyjąć los takim, jaki on jest, kiedy niewiele można uczynić, bo ta druga osoba nie chce zmiany. Tak było ze mną, nie chciałam podświadomie żadnej zmiany, oprócz jednego, co było niemożliwe do spełnienia – aby matka mnie pokochała.

Wtedy, Tadeuszu, nie mogłeś niczego uczynić, tylko wspierać mnie na tyle, na ile pozwalałam.

Ty wiesz, Tadeuszu że na sobie poznałam straszliwą siłę bezmiłości ze wszystkimi jej konsekwencjami i dlatego moja dusza jest jeszcze w depresji.

Uczę się ponownie stanowczo wyrażać moje postanowienia i życzenia typu: chcę – nie chcę, potrzebuję, – nie potrzebuję. Nieumiejętność komunikowania jasno emocji powodowała, że nieustannie stawałam się ofiarą i powodowała autoagresję.

26 lipca – Topi mnie smutek, zbyt potężny, wszechogarniający moje istnienie i bycie z ludźmi. Trudne jest to życie do udźwignięcia, kiedy wydaje się, że wszystko się wydarzyło.

Mogę tworzyć ku miłości i życiu. Po co odchodzić, kiedy istnienie może być radością. To mi naprawdę można się udać, pomimo głosu, który nakazuje mi odejść. Potrafię go nie słuchać, bo to ja pragnę żyć i ta druga nie będzie mną rządziła.

Jestem także fizycznie. Jestem, Boże, jestem. Czyż to nie jest piękne, sam fakt istnienia, tak świadomego istnienia, bez względu na poznaną prawdę.

27 lipca – Życie, życie, jeszcze wczoraj cię żegnałam w tajnych myślach i umierałam symbolicznie po to, by ponownie się narodzić. Nie walczę o przetrwanie. Nie mam takiej potrzeby, nigdy nie było. Jestem przede wszystkim dla samej siebie, dla mego istnienia. Jeżeli mnie kochają, to przecież nie za coś, nie za osiągnięcia, a za sam fakt istnienia. Nikomu nie muszę udowadniać, że muszę tu być. Oto jestem. Ci, którzy naprawdę kochają, kochają zawsze i nigdy nie opuszczają. Tak jest z przyjaźnią.

Ta książka będzie bardzo trudna do napisani. Normalne wytłumaczenie zdarzeń i psychotyczne wytłumaczenie tych samych zdarzeń. Podwójna analiza. Basi normalnej i Basi chorej.

To takie proste – nie mogę jedynie wymierzyć ciosu przeciwko sobie. Zdecydowanie wybieram życie.

Schizofrenicy tęsknią za obłędem – to prawda. Ten świat jest przecież tak ogromny, przerastający wszystko, co możliwe, wszystkie nieprawdopodobieństwa.

Czego oczekuję od ciebie, miłości? Byś była ze mną tak często, jak to możliwe, bym mogła słyszeć twoje – kocham cię – bym mogła cię przytulić i poczuć blisko. Bym w słowach – kocham cię – czuła to, co czuję, bym mogła bez lęku opowiadać o moich tęsknotach, byś umiała unieść to spokojnie lub się na mnie zezłościła z tym cudownym uśmiechem i zaciśniętymi

pięciami. Kiedy jesteś przy mnie obecna, miłości, wszystkie fantazje są jedynie fantazjami.

31 lipca – Odkrywanie siebie wciąż od nowa, oto istnienie. Miłość należy do sfery życia, nie śmierci czy psychozy. Do człowieczeństwa. Nie przewidziałeś, Przyjacielu, jaką straszliwą prawdę niosę w sobie. Tak długo milczałam. Teraz we mnie miłość odkrywa prawdę codziennie od nowa.

3 sierpnia – To dopiero początek, wiem, że wszystko mi trzeba odbudowywać, nić po nici tkać, od spraw najprostszych. Boję się tego, dlatego uciekam w autyzm, halucynacje, urojenia.

To tak, jakby nagle wszystko przestało mi wystarczać, każda pozytywna sprawa jest jakby przeciwko mnie, *bo „Zmusza” do uczestnictwa* tutaj, do tego co najzwyczajniejsze, kontaktu z ludźmi. To mnie przeraża, powoduje szczękościsk i autoagresję. Ile czasu potrzebuję, by zrobić początki istnienia tutaj, bo stale wszystko jest poza mną, dalekie i obce, nienaturalne, bo niepoznawalne przez moje uczucia i zmysły. Nie dopuszczam do siebie świata realnego, bo do tej pory był zbyt bolesny i tragiczny.

I mimo że świat psychotyczny był bardzo okrutny, świat realny był całkowitą tragedią. Bo w świecie realnym nie było miłości.

Czy stało się we mnie coś nieodwracalnego, tak mocne uderzenie, po którym ugięłam się ostatecznie i całkowicie. Wybrałam schizofrenię jako ratunek i mechanizm utrwalił się – boję się emocjonalnego odrzucenia, więc w „*zapasie*” mam kombinacje na temat samobójstwa czy narkotyków lub kolejne halucynacje, lecz i one już mnie nie chronią. Ich rola została zakończona.

Doprowadziłam do ostatecznej eksplozji. Każdy krok emocjonalny wzbudza lęk, że zrobię coś nie tak. W dzieciństwie pozbawiono mnie nauki właściwych reakcji emocjonalnych i to teraz wyłazi w pustą przestrzeń i nie wie, gdzie przystanąć. A także ja sama nie potrafię odczytywać emocji innych ludzi, pomimo ogromnej intuicji, oddzielona od nich szklaną szybą.

Uczę się teraz wszystkiego.

Kim jestem poza obrazem ruchomym, przezroczystym, gdzieś tam falującym w przestworzach?

Nie, to nieprawda, ja czuję i to wiele, tylko sama przed sobą nie chcę się do tych emocji przyznać.

Może ja wcale nie kocham rodziców, tylko ich nienawidzę. Patologiczna symbioza dziecka, które nadal się domaga niemożliwego, tj. by je matka pokochała.

5 sierpnia – Tęsknię za tamtą Basią, zupełnie nieświadomą. Przyszedł dzisiaj nakaz

śmierci, przetwarzany po wielokrotności, i fruwałam gdzieś tam i nie było przy mnie ciebie. I zaczęłam się bać już wszystkiego – powrotu do domu, mojej do nich nienawiści, mojego życia tam, i ogarnęła mnie prawdziwa panika i rozplakałam się w twoich ramionach jak bezradne dziecko, zagubione, które nie wie, jak ma żyć, i wycierałaś mi łzy. I mówiłaś mi, czym jest życie, poprzez łzy, uśmiech, pocałunki. Słuchałam i powoli zaczęło do mnie docierać, że życie po prostu jest, jest mi dane i tylko ode mnie zależy, ile go sobie dla siebie wezmę, a przez to ile będę potrafiła go ofiarować innym i siebie innym przez własne życie.

8 sierpnia – Nie chcę już Anki, doprowadziła do tego, że odpowiedziałam nienawiścią na jej nienawiść.

9 sierpnia – To problem libido, panie Freund. Jedynie wobec śmierci jeszcze mam porywy namiętności. Wiem, że we mnie jeszcze jest wiele przekory i przewrotności wobec życia, a to dlatego, że jestem stale oszołomiona faktem istnienia i w ogóle.

13 sierpnia – Kiedy wsiodam na konia, cały świat przestaje istnieć, jestem tylko ja i koń, i bieg do przodu, i jestem spokojna i szczęśliwa.

Co zobaczyłam w śmierci klinicznej po powieszeniu? Czy skala tamtego przeżycia jest tak druzgocąca, że świat tutaj zdaje się być czymś nikłym i nie wzbudzającym emocji?

Tam jest czarna dziura.

Inni schizofrenicy głoszą swoją wizję i misję całemu światu, a ja ukrywałam się sama przed sobą. Jaka to było możliwe? Co tak zadziało, że dysymulowałam sama przed sobą i byłam przekonana, że jestem zdrowa? I przekonałam o tym wszystkich w około, tylko Ciebie, Tadeuszu nie udało mi się zwieść. Jest to dla mnie stale nie pojęte, dlaczego dla mnie samej tak przebiegała choroba. „Normalnie”, jak to zwykle bywa, powinnam chodzić i głosić, że jestem Bogiem albo szatanem, albo Chrystusem. A ja nawet o tym nie wiedziałam, że nimi byłam. Wszystko podświadomie zapisywałam w dziennikach, lecz nie wiedziałam, co zapisuję.

Mój pierwszy zapis z dzienników, które ocalały, to 18 rok życia i odwiedziny szatana w moim pokoju. To mnie nie przerażało, byłam zadowolona, że przychodzi On, Pan Ciemności, do mnie potępionej, „czyniącej” zło. Co się jeszcze wydarzyło, kiedy miałam 13,14 lat? Nie pamiętam.

19 sierpnia – Nie żałuję ani jednej sekundy cierpienia, przez które przeszłam. Nie żałuję niczego, co się w moim życiu wydarzyło, nie żałuję, że miałam schizofrenię, nie żałuję tych okrutnych lat, uważam, że pomimo choroby i niewyobrażalnego cierpienia nie są stracone.

To nic, że mnie nie kochano, zdradzono, byłam ofiarą wielu osób. To, co przeżyłam, potrafiłam zamienić w twórczość, stało się jądrem mego istnienia. Dzięki temu poznałam tajemnicę schizofreni do końca, tak jak zawsze chciałam.

Zapłaciłabym jednak najwyższą karę, straciłabym życie, lecz Bóg czuwa nad niewinnymi i zawsze daje mi szansę na odnalezienie siebie.

20 sierpnia – Rozstanie z ukochaną osobą. To tak, jakbym nagle stanęła przed białą ścianą i niepewnie dotykała jej palcami. Twoja obecność paraliżuje mnie. Jak to dobrze, że wrócono mi życie, jak to dobrze, że udało mi się przeżyć śmierć kliniczną. Kocham i żyję.

21 sierpnia – Jaka cisza wokoło, jakbym bez ciebie nie słyszała świata. Wyobraziłam sobie ptaki bez nieba.

22 sierpnia – Nie można żadnej prawdy dotknąć do końca. To boskie prawo. Ja jestem jedynie człowiekiem. Tylko w ten sposób kocham prawdziwie.

Miłość boska jest miłością nierealną. Nie jest miłością do końca. Nie jest miłością duchową czy przyjazną. Jest miłością ponad miłością, czymś, czego możemy doświadczyć w przeżyciach ostatecznych, granicznych, pod warunkiem, że staniemy nadzy na chwilę przed Bogiem na pograniczu dwóch światów, pozbawieni wszystkiego, i powrócimy tutaj w nowe życie.

Tak się stało ze mną. Wybrałam się TAM, w podróż zbyt daleką, bym mogła się spodziewać powrotu, a jednak dane mi było zawrócić, by doświadczyć prawdziwej miłości. I w tym objawiła się miłość Boga do mnie po całym okrucieństwie mego życia.

23 sierpnia – Oswajam w sobie twoją nieobecność tutaj, by lżej tu być. Kiedy myślę o tobie, ciepło wokół serca rozrasta się i staję zasłuchana w jego rytm. I chociaż tęsknię, jest mi tak dziwnie, niesamowicie. Jesteś namacalna we wspomnieniu i w rzeczywistości.

25 sierpnia – Wieczór mi się wydłuża, samotny jak ja, wędruje po pokoju, zdumiony niedawnym zachodem słońca, osaczony czasem, który gna do przodu w czas teraźniejszy, w przyszłość niepewną. I chociaż niepokój dogania wieczór, moje myśli biegną tam, gdzie ty jesteś, z ciepłem wokół serca, tak blisko, tak namacalnie cię wyczuwam. I mocniej staje się tutaj, w nadchodzącą ciemność. Kocham cię, szepczę, i jakaś moc mnie ochrania, czuwa nade mną. Moc niepojęta, silniejsza od tej, która jeszcze czai się w zakamarkach duszy.

Wierzę w naszą miłość, to wiara najsilniejsza.

ZAKOŃCZENIE

Na zakończenie, czytelniku, chcę przedstawić rozmyślenia Evy Syristovej na temat schizofrenii, które także pomogły mi w mojej analizie.

Schizofrenia jawi się jako spontaniczna, nie uświadomiona reorganizacja rzeczywistego świata, który legł w gruzach. Świat urojony jest rekompensatą za raniącą lub utraconą rzeczywistość i ma kruchą, całkowicie oryginalną, a nawet niekiedy dziwaczną architekturę. Nie jest ona bezsensowna. Twórczość świata psychotycznego, wykorzystująca obrazy senne, symbole i autystyczne zaspokajanie potrzeb, ma własną logikę, własny sens i znaczenie i pozostaje w ścisłym związku z historią życia jednostki. Z punktu widzenia podmiotu bywa to często wysoce funkcjonalna konstrukcja, którą człowiek tworzy *obok „ruin”* świata rzeczywistego lub zamiast nich. Symptomy schizofreniczne, jakkolwiek początkowo wydają się niezrozumiałe, powstają według ściśle określonych prawidłowości. W ramach psychozy możemy często obserwować autonomiczny i w pewnym sensie „ *płynny*” rozwój powiązanych z sobą irracjonalnych operacji, zmierzających – poza świadomością i niezależnie od woli jednostki – do rozwiązania zagrażającej sytuacji życiowej.

W iluzjach, omamach i halucynacjach powstają często niezależnie od świadomości podmiotu – urojone realia życia, które człowiek uważa za rzeczywiste i bez których w wielu wypadkach nie mógłby dalej egzystować. Jest to świat ze sztucznym słońcem. Wydaje się, że w przypadkach granicznych, gdy zagrożenie i niezaspokojenie przekraczają wytrzymałość jednostki, wówczas nawet konstrukcje senne lub zaspokajanie w fantazji może – przynajmniej na jakiś czas – utrzymać w równowadze aktywność psychiczną człowieka, może ono uchronić jednostkę przed rozpadem osobowości lub samobójstwem, będącym konsekwencją nieznośnego w wielu przypadkach „ *głodu psychicznego*”.

Psychotyk wkracza w swój świat urojony tak, jakby to był świat rzeczywisty. Dochodzi tutaj do uprzedmiotowienia subiektywnego przeżywania – rzeczywistym staje się to, co człowiek chce, by rzeczywistym było.

Schizofrenia jest światem wewnątrz świata. Świat urojony, którego nie sposób określić, jest jak otwarta rana, która wyrasta obok świata rzeczywistego, będąc zarazem jednym ze sposobów szukania ulgi przez chorego. Psychoza jest zarówno wyrazem uzewnętrznionego cierpienia człowieka z powodu świata rzeczywistego i stosunków międzyludzkich, jak też jedną z form tendencji człowieka do niepowstrzymanego przekraczania granic ludzkiego bytu, choćby w

marzeniu. Jest czasem psychoza wyimaginowaną odwrotnością realnego piekła życiowego, która może się jawić nie jako sytuacja bez wyjścia, lecz jako ogród wszelkich rozkoszy.

Według Freuda schizofrenia charakteryzuje się regresją libido do stadium oralnego. Chodzi o to, by ponownie, wyzwolić stłumione pierwotnie dziecięce urazy seksualne, przenieść je na poziom świadomości, zlikwidować stłumienie warunkujące powstanie symptomów.

Podstawowym warunkiem sukcesu psychoterapeutycznego jest zdolność pacjenta do tzw. przeniesienia. Chory, choć nie jest tego świadom, powtarza w stosunku do terapeuty przebiegające zwykle automatycznie łańcuchy zachowań. Leczenie polega na tym, że psychoanalityk w terapeutycznym kontakcie z pacjentem nie wzmacnia chorobliwych reakcji pacjenta i w ten sposób je likwiduje. Chorzy, których libido zostało utrwalone w autoerotycznym stadium rozwoju, pozbawieni są zdolności przeniesienia. Nie są oni w ogóle w stanie wytworzyć sobie libidalnego stosunku do obiektu lub realizują go w stopniu minimalnym.

Według Junga jest to zwiększona wrażliwość na bodźce o intensywności podprogowej – nawet drobne, codzienne urazy nabierają nadmiernej intensywności. Jednostka może wypierać ze świadomości każde zagrażające życiu przeżycie urazowe, którego nie jest w stanie usunąć lub przewyciężyć realnie.

Regresja w wyniku chronicznie nie rozwiązanego konfliktu prowadzi do zwrotu w rozwoju osobowości do ontogenetycznie i filogenetycznie wcześniejszych form zachowania, które

Jung nazywa archetypami; archetypy mają ustaloną formę ogólną, funkcjonują jak instynkty, spełniając podstawowe funkcje ukierunkowujące i motywujące aktywność psychiczną, są dziedziczone z pokolenia na pokolenie, zawierają nie tylko prymitywne podstawowe formy reakcji – ale także zasady moralne i religijne, które są prawzorem postępowania ludzkiego.

Proces psychotyczny w schizofreni jest gigantycznym procesem kompensacji, w którym ostatecznie zostaje rozwiązany ów nie rozwiązany wcześniej i wyparty ze świadomości konflikt, na przykład na poziomie zachowania prymitywnego, fantastyczno – symbolicznego.

Przy chronicznym przebiegu choroby nieświadome kompleksy mogą osiągnąć taki stopień autonomii i tak zdominować świadome procesy psychiczne, że odnowienie spójności osobowości i jej rzeczywistego kontaktu ze światem nie jest już możliwe.

Psychotyk traci zainteresowanie rzeczywistością. Patrzy na wszystko z punktu widzenia swej rozchwianej perspektywy osobistej. Jego spostrzeżanie i poznanie wraca ku formom

archaicznym. Sfera świadomości jest rozszczępiona i przesycona nie powiązаныmi z sobą fragmentami aktywności sennej, przeważają w niej infantylnе impulsy, fantazje i lęki. Chory przygnieciony jest lawiną procesów nieświadomych, pochodnych urazów z wczesnego dzieciństwa, nieopanowanych działań popędowych. Znajduje się we władzy lęku. Regresją jest tu prawie całkowita. Przeważają archaiczne mechanizmy obronne – projekcja, introjeksja i wyparcie.

Podstawowym powodem zlewania się w regresji schizofrenicznej rzeczywistości i nierzeczywistej fantazji są zaburzenia w postrzeganiu własnej osoby, obrazu ja, które jest odrębne od otoczenia. Najgłębsze przyczyny tego defektu tkwią w nieprawidłowościach wczesnych kontaktów uczuciowych między matką i dzieckiem. Matka, która nie wzmacnia obrazu ja, powoduje, że schizofrenik został wystawiony na nadmierne działanie lęku w okresie, kiedy nie mogły powstać jeszcze granice jego ja, nie mogły dojrzeć adekwatne i skuteczne reakcje obronne.

Niezaspokojenie potrzeb w wieku dojrzałym jest w istocie powtarzaniem, spotęgowaniem sytuacji stresowych wczesnego dzieciństwa. Wszystkie procesy schizofreniczne można przyrównać do rozległej inwazji procesów nieświadomych w dziedzinę struktur świadomych.

Przyczyną powstawania napięć i sprzeczności jest nie tylko niemożliwość zaspokojenia tych znaczących dla życia potrzeb, lecz także niemożność zaspokojenia ich w określony sposób, zgodnie z nawykami nabytymi we wczesnym dzieciństwie.

Symptomy psychopatologiczne są rodzajami reakcji obronnych, niedopuszczalnych ze społecznego punktu widzenia, za pomocą których psychika radzi sobie z trudną do rozwiązania sytuacją. Przyczyna to negatywne doświadczenia wczesnego okresu rozwoju, braku w tym okresie uczucia miłości, bezpieczeństwa i potrzeby doceniania.

Poczucie bezcelowości, wewnętrzny niepokój, zaburzenia snu, objawy ogólnego zmęczenia są wyrazem nie zaspokojonych potrzeb. Jednostka powraca do historii swego życia, poszukując takiego momentu okresu, który był dla niej bardziej satysfakcjonujący niż obecny.

Chory z obsesją niskiej samooceny wyrównuje ją poprzez identyfikowanie się z postacią wyrafinowanego czarodzieja, maga. Owe „operacje władzy” dają poczucie panowania nad wszystkim, co się dookoła dzieje.

Schizofrenia jest wyrazem „bankructwa kontroli świadomości” i całkowitej dezorganizacji aktywności psychicznej. „Spokój” odzyska dopiero chory w stanie głębokiej

regresji, na płaszczyźnie przeżyć przeważnie natury sennej. U mnie były to stany z pogranicza śmierci klinicznej, wtedy byłam prawdziwie szczęśliwa, jak dziecko przed narodzeniem, w tonie matki, tam czułam się najbezpieczniej.

Podstawowym źródłem zaburzeń psychicznych są sytuacje, w których jednostka zostaje pozbawiona swej życiowej roli i wartości; w których przeważa poczucie pustki, absurdu.

Schizofrenia jest odbiciem sytuacji życiowej, w której zawiodły wszystkie punkty oparcia, w której każdy projekt wydaje się już niepotrzebny, a każdy wolny wybór prowadzi w ślepią uliczkę.

Schizofrenia to następstwo kryzysu wolności w nierozwiązywalnej sytuacji, a jednocześnie próba jego zrozumienia i przełamania.

Jest ona jednym ze sposobów odpowiedzi na skrajne zagrożenie psychiczne, gdy człowiek nagle pozbawiony sensu istnienia, przyszłości, nadziei znalazł się w skrajnej sytuacji życiowej lub nawet został zmuszony do ucieczki od życia.

Schizofrenia jest określoną odpowiedzią na pytanie: – po co iść dalej? Psychoza jest szansą tymczasową, wyimaginowanym przeniknięciem nieprzekraczalnych w rzeczywistości ścian świata.

W psychozie człowiek nie ma dostatecznej możliwości do świadomej obrony. Jego odporność na przeciążenia jest znacznie zmniejszona w następstwie długotrwałego wyczerpania psychicznego i fizycznego. Świadomość jest zawężona, przeważają mechanizmy podświadome.

Psychotyk jest przytłoczony lawiną nieświadomości, autonomicznych procesów; narażony jest nieustannie na inwazję stłumionych urazów i konfliktów, które ożywają i narastają.

Pojawia się panika. całkowity brak poczucia bezpieczeństwa.

Tam, gdzie zawiodą psychotyczne mechanizmy obronne, eksploduje lęk, uwalnia się nie związana energia niemożliwych do przyjęcia, destruktywnych, niszczących przeżyć – sytuacja przerasta wytrzymałość chorego. W miejsce tendencji samozachowawczych pojawiają się siły niszczące, które deformują i opanowują świat wewnętrzny i zewnętrzny. Mogą pojawiać się momenty krytyczne, kiedy zamiast tendencji samozachowawczych występuje agresywna nienawiść do życia, w których śmierć, zniszczenie, destrukcja są dla psychotyka łatwiejsze do przyjęcia niż życie, które czasem odrzuca z niespotykaną łatwością.

W psychoterapii pacjentów psychotycznych musimy zadawać sobie pytanie, do jakiego stopnia jest w ogóle możliwe i celowe rozbijanie ich świata urojonego. Wolno nam to robić

dopóty, dopóki chory nie cierpi z tego powodu bardziej niż wtedy, kiedy żyje swoimi urojeniami i omamami, oraz dopóki nie uniemożliwiają mu one funkcjonowanie w społeczeństwie.

Początkowo musimy respektować głęboki lęk pacjenta przed rzeczywistością, którą uważa za obcą i wrogą. Musimy też pogodzić się z jego ucieczką do autystycznej wieży, w której szuka ocalenia.

Autyzm tylko do czasu spełnia funkcję ochronną. Człowiek wytwarza wokół siebie próżnię, wygaszając związki i kontakty, natomiast otoczenie odrzuca go, omija jako zbędny element.

Autyzm staje się „*śmiercią psychiczną*”.

Schizofreniczne halucynacje, iluzje nie mogą być uważane za izolowane złudzenia zmysłowe.

Są one częścią nieodłączną całościowo rozumianej, zaburzonej komunikacji chorego ze światem, elementem jego patologicznie zmienionej sytuacji i roli życiowej.

Nie odreagowana agresja w następstwie wzmożonego, realnego i długotrwałego zagrożenia jednostki (której motywacje własne i urazowe tło sytuacyjne pozostają poza świadomością) powoduje nieznośne narastanie napięcia, które spontanicznie zmierza do rozładowania.

W omamach dokonuje się subiektywne przeorganizowanie rzeczywistości, z zachowaniem zgodności z nieświadomymi motywami chorego. Powstaje jakby stan nowej równowagi między podmiotem a środowiskiem. Narastająca wrogość i agresja szuka pseudoobiekta, tarczy, która ma umożliwić rozwiązanie pierwotnie nierozwiązywalnej sytuacji stresowej.

Mój świat był modelowany strachem i nienawiścią. Nierzadko nawiedzały mnie myśli o śmierci rodziców. Były to Jednocześnie myśli, których nie mogłam dopuścić do świadomości, obwarowane wyrzutami sumienia i poczuciem winy. W ten sposób powstała sytuacja bez wyjścia. Nienawiść, której nie można było rozładować na rzeczywistym obiekcie, zwróciła się przeciwko podmiotowi. Ukryty zamiar zabicia rodziców zamienił się w otwarty autoagresyjny akt samobójczy. Narastająca, nieodreagowana potrzeba zemsty wymagała ujścia, groziła bowiem zniszczeniem.

W urojeniach prześladowczych dochodzi do uprzedmiotowienia wrogich uczuć chorego, do ich ekstrapolacji poza osobowość, do projekcji niebezpiecznych, agresywnych motywów na

środowisko zewnętrzne. Za pomocą tych mechanizmów *chory* „wciąga do gry” w swoim urojeniowym spektaklu inne osoby, które mogą być całkowicie neutralne, obce, nie znane choremu.

Chory dzięki mechanizmowi projekcji uwalnia się od nienawiści w ten sposób, że staje się ofiarą ekspansywnego i paranoidalnego pseudospołeczeństwa. Ale jednocześnie przenosi na nie swoje lęki i pragnienie usprawiedliwienia własnej agresji, znajdując w nim obiekt, na którym może agresję rozładować. Urojeniowa interpretacja sytuacji pozwala na zachowanie pewnej integralności osobowości, chroni przed rozpadem psychicznym. Stworzenie urojeniowej konstrukcji zmierza do ekspansji, wywołuje powstanie kolejnych urojeń, powoduje konstruowanie nowych ról, tworzenie nowych urojonych prześladowców.

Gdyby udało się we właściwym czasie uwolnić chorego od nieopanowanego, narastającego lęku, który sygnalizuje nadejście choroby psychicznej, gdybyśmy częściej dostrzegali jego panikę i strach, pojawiające się w wyniku wyciągnięcia w grę nieznanymi sił, którymi chory, zwłaszcza na początku choroby, jest przytłoczony, można byłoby zapobiec wielu gwałtownym czynom psychotycznym, samo okaleczeniem lub okaleczeniom innych osób, samobójstwom i zabójstwom.

POST SCRIPTUM – 1

Drogi Czytelniku, w listopadzie 1994 roku ponownie znalazłam się w szpitalu psychiatrycznym w Częstochowie, na oddziale dr Marka Sternalskiego. Nie rozumiałam, co się ze mną dzieje, sądziłam, ba, byłam przekonana, że choroba już nigdy nie wróci. Całkowicie ogarnął mnie lęk i opanowały halucynacje, chociaż nie wiedziałam, że nimi są. Do tego dołączyły urojenia, o których też nic nie wiedziałam. Żyłam w wymyślonym świecie, zupełnie zamknięta w szklanej kuli i nie można było ze mną porozumieć się. Rozmawiałam z głosami, głównym rozmówcą był Tadeusz, który domagał się mojej śmierci. Zupełnie tego nie rozumiałam, a lęk ponownie prowadził mnie ku samozagładzie. Już wcześniej wyczuwałam wrogość Tadeusza, po tym, jak mu wyznałam prawdę. Tadeusz nienawidzi psychotyków. Nie wiem dlaczego, ale niszczy ich i nie ja pierwsza padłam jego ofiarą.

Przez ostatnie dwa lata usiłowałam wyzebrać akceptację dla swojej osoby, co było kolejnym absurdem, bo od nikogo nie można w ten sposób uzyskać żadnego uczucia. Miałam tylko niejasne informacje od ludzi z ekipy Tadeusza, że mnie niszczy, i trwałam w tym dwa lata do kolejnej eksplozji poczucia winy. Targały mną nienawiść, żal, wściekłość i nie umiałam sobie

z tymi emocjami poradzić. Nie przytoczę tutaj faktów, bo o tym, Drogi Czytelniku, innym razem.

Do momentu konfliktu z Tadeuszem wszystko zdawało się być na swoim miejscu, byłam silna, spokojna, realizowałam się w pracy jako psycholog, pracowałam z rodzicami narkomanów i nikt nareszcie nie wypominał mi mojej przeszłości, wręcz odwrotnie, moja wiedza i doświadczenie były tutaj bardzo cenne. I rozsypałam się. Przez 5 tygodni pobytu w szpitalu usiłowałam sobie wytłumaczyć, dlaczego ponownie jestem w psychozie. Nie była to już schizofrenia, tylko stan psychotyczny wywołany konkretnymi sytuacjami. Bratam więc leki i modliłam się, by wizja pętli oddaliła się. Lekarze troskliwie zajmowali się mną, leki łagodziły lęk, a ja się bałam.

Miałam bardzo dużo czasu do myślenia.

Zrozumiałam, że ponownie muszę przewartościować moje życie. Pierwszym krokiem była rezygnacja z życia publicznego, które mnie rozstrajało, kosztowało zbyt dużo emocji. Potrzebowałam prywatności, spokoju, ciszy, by ponownie nie sprzeniewierzyć się Bogu, który też gdzieś mi się oddalił, przestałam z nim rozmawiać i zostałam całkowicie osamotniona.

Zrozumiałam, że mój życiorys jest dla mnie nie do uniesienia, a spotkania z innymi tylko to pogłębiają.

Zrozumiałam, że jestem bardzo nieszczęśliwym człowiekiem, pomimo sukcesów, jakie odnosiłam w życiu. Skończyłam studia pomimo choroby, pracowałam, pomagałam innym i zupełnie się w tym pogubiłam. Aż przyszedł czas, że musiałam przyznać się sama przed sobą, że sobie nie radzę, że za ogromny ciężar wzięłam na siebie.

Zaczęłam od prostych spraw, a może od najważniejszych. Pogodziłam się ze swoimi rodzicami, wybaczyłam im, a oni mnie. Było to nam potrzebne, chociaż wiem, że już nic mnie nie sklei, tam gdzie kiedyś pękło moje serce, że strata jest nie do odrobienia, ale też nie można się nią cały czas zadrećcać.

Przepraszam Cię, Mamo, przepraszam Cię, Tato, za tę książkę, ale czuję, że jest ona potrzebna ludziom.

Nie wiem, jakie konsekwencje poniosę po wydrukowaniu tego tekstu, jest to dla mnie kolejne wyznanie, tak jak wyznaniem był „*Pamiętnik narkomanki*” i „*Kokaina*”.

Potrzebuję go, może w kimś coś się obudzi, może ktoś coś więcej zrozumie.

Zaufałam Tadeuszowi do końca. Zawiodłam go kolejnym samobójstwem, a on okazał się toksycznym terapeutą.

Nie ma co już tego rozdrapywać, stało się.

Najgorsze jest wyczekiwanie, kiedy łudzisz się, że coś się zmieni. Tadeusz nie dał mi kolejnej szansy.

Pogodziłam się z Ewą. To niesamowite, jak nasza przyjaźń pięknie się rozwija. Czekałyśmy na siebie cztery lata, teraz gonimy stracony czas.

Kasia odeszła i zaczęła żyć własnym życiem, spełniła swoją rolę i pozostała przyjaźń.

Nie udało mi się porozmawiać z Anką. Trwa w swoim buncie i widocznie tak ma być.

Cóż, Diabeł powrócił i chyba już nigdy mnie nie opuści.

I zakończę. Drogi Czytelniku, tak jak zaczynałam pierwsze wydanie „*Pamiętnika narkomanki*”.

Wszystko jest fikcją, ja również.

POST SCRIPTUM – 2

Dożyłam do lat dziewięćdziesiątych, ba 2000 – lecia. Przez ostatnie 8 lat walczyłam o przetrwanie, opuszczona przez niektórych przyjaciół zdobyłam nowych.

Dr Marek Sternalski opiekował się mną przez ostatnie 10 lat. Gdyby nie On, nie wiem co mogłoby się zdarzyć. Cierpliwie słuchał moich urojeń i halucynacji. Teraz jestem córką szatana.

Ze schizofrenii nie ma wyjścia.

Były liczne poprawy, kiedy zdrowiałam ale jądro schi nieustannie mnie męczyło. Schi mnie dopadało w najbardziej zaskakujących momentach, powalało i nie potrafiło normalnie funkcjonować.

Jestem chora, drogi Czytelniku, słyszę głosy, mam urojenia, zaburzenia świadomości, gubię się w znanych mi miejscach.

Tylko dr Marek Sternalski pomaga ukoić mój ból. Pokochałam go jako dającego ukojenie bólu, jako genialnego człowieka, którego nie dziwi, że znowu się wiem czy truję.

Przez ostatnie 8 lat przyjmuje ze spokojem moje cierpienie, telefony o północy czy w święta, mam w nim prawdziwego przyjaciela, któremu mogę zaufać. Zawsze mnie wysłucha i zrozumie.

Jestem schizofreniczką i trzeba nauczyć się z tym żyć.

Przez ostatnie 8 lat byłam 26 razy u Niego w szpitalu, w lęku, z myślami samobójczymi, zdezorientowana.

Wieszałam się, bo nie mogłam unieść ciężaru choroby, głosów, które kazały mi się

powiesić, i toczyliśmy ze sobą walkę i zwyciężyła zawsze miłość, którą Go obdarzam, bo nie miałam innej miłości oprócz miłości rodziców a szatan kusił, kiedy się załamię i oddam mu moje życie.

Przez 8 lat oddawałam to, co ukrywałam przez 20 lat psychozy. Nareszcie przemówiłam.

Tadeusz Kobierzycki i Anna Marczak dołożyli swoje. Jak oni mnie nienawidzą. Za to, że nie rozróżniałam jaźni od rzeczywistości. Ale to już historia.

Odnalazłam się w psychozie i nikt mi tego nie odbierze.

A szatan towarzyszy mi w codzienności.

Zabijałam się przez ostatnie 8 lat.

I wierzyłam, że się odrodzę. Może ten 2000 rok przyniesie jakąś ulgę ze świadomością, którą teraz poznałam.

Na oddziale byłam pełna lęku nie do wytrzymania, gonił mi się czas, zdezorientowana i tylko Ciebie, dr Marku, rozpoznawałam, byłeś moim wentylem bezpieczeństwa, tylko Tobie wierzyłam i zufałam. Wyznawałam Ci miłość, kiedy już nic nie działało, a Ty mnie przytulałeś i lęk odchodził, to było jak oświecenie, że jest ktoś, kto mnie rozumie w całkowitej rozterce psychicznej.

Tylko Ty rozumiałeś mój lęk.

8 lat walki o przetrwanie. Jestem już bardzo zmęczona, Doktorze, ale się nie poddam.

Tylko

Ty znasz skalę mego cierpienia, byt i alkohol, by się nie powiesić.

Plączę.

Tyle musiałam wycierpieć. Ale na oddział przychodziłam trzeźwa, po dłuższej abstynencji i to nie miało wpływu na rozwój choroby. Głosy szatana mam od 14 roku życia, kiedy byłam jeszcze trzeźwa. Nie oszukiwałam Pana, po prostu nie mówiłam wszystkiego. Rozwój mojej choroby, to były dwa różne nurty mojej choroby. Najpierw była psychoza później eliminowałam lęk mojej choroby. Lęk mnie niszczy Panie Doktorze.

A ja tak kocham życie!

Nikt nie wiedział o mojej chorobie, jedynie Pan się domyślał 20 lat temu. Jaka jest granica cierpienia?

Jestem psychologiem. Kiedyś umiałam pomagać innym, teraz została tylko psychoza i ja, bezradna. Już nie popełnię samobójstwa. Nawet jeśli szatan będzie mnie kusił.

Niech mi Pan pozwoli siebie kochać, ta miłość pozwala mi przetrwać najgorsze.

Tyle razy byłam u kresu i Pan mnie ratował... Niekiedy nie pamiętam jak mam wrócić do domu i po co wyszłam z domu. Mam taką kartkę w dowodzie – żeby mnie odprowadzić do domu jak się zgubię, ale do Pana zawsze trafię.

Te wszystkie pobyty w szpitalu przez ostatnie 8 lat dawały mi siłę i utwierdzały w miłości, że jestem bezpieczna... Przez te lata napisałam 10 książek, stałam się stawna aż do bólu, do kolejnego cierpienia. Stało się to także dzięki Panu, Doktorze. Walczyłam z samobójstwem i każda książka miała być ostatnia. Tu rozkwita we mnie talent pomimo choroby, kiedy kontaktuję...

Kiedy Pan mnie przytuli rodzą się nowe pomysły.

I oto w tym wszystkim chodzi... Przy Panu czuję się bezpiecznie.

Przepraszam za wieszanie się na oddziale, za truciznę, to tylko mój lęk, z którym sobie nie radzę. Jestem dziwnym dzieckiem dla moich rodziców, prędzej rozumie mnie ksiądz na spowiedzi, i przyjmuję Chrystusa, i staje się światło w mojej duszy.

Zawsze zdąży mnie Pan uratować.

Pokochałam Pana czystą, platoniczną miłością. Wiem, że ma Pan setki takich pacjentów ale to mi nie przeszkadza.

Drogi Czytelniku, powtarzam, z psychozy schizofrenicznej nie ma ucieczki. Można jedynie łagodzić objawy lekami i miłością.

Pogodziłam się już z tym. Potrzebuję opieki drugiego człowieka. Nie wiem co to będzie, kiedy rodziców zabraknie. To Mama powstrzymuje mnie od wyjścia nago na ulicę, to Ona słucha moich urojeń i zagubień.

Jestem córką szatana. I bronię się przed przepaścią.

W chorobie wiele osób mnie opuściło. Tadeusz Kobierzycki wyciągnął ode mnie wszystko i mnie znienawidził. Wlał swój jad Annie Marczak, z którą byłyśmy jak siostry, a teraz ona mnie nienawidzi i nie potrafi ani wydorośleć ani przebaczać.

Za to zyskałam wielu nowych przyjaciół, którzy akceptują mnie taką jaka jestem. Pokochałam, myślałam, że już nigdy mi się to nie uda, wybaczyłam.

Postawa dr Marka Sternalskiego dodaje mi sił. Jest Kasia Niedźwiedź, moja powierniczka, jest Marzena Bratek z mamą, Jest Dorota z Arkiem, i wielu innych, którzy wierzą we mnie.

Żyję. Już nie targnę się na swoje życie. Jest dobra wróżka Anna.

Mój brat odwrócił się ode mnie, powiedział, że po śmierci rodziców nie będzie się mną opiekował. Bratowa powiedziała mi, że jestem wyrachowana od dziecka.

Mogę liczyć na rodziców, Danuskę, Jagódkę, której syna Michała jestem matką chrzestną.

A tak naprawdę żyję w ogromnej samotności. I w cierpieniu.

To trwa ponad 20 lat.

Doktorze, Marku Sternalski. Wierzę, że zawsze zdąży mnie Pan uratować.